



GALAKTYKA GUTENBERGA

BOB SHAW



Milion nowych dni

BOB SHAW

Milion nowych dni

(przełożyła: Małgorzata Grabowska)

Rozdział pierwszy

Był wczesny ranek. Carewe siedział spokojnie przy biurku i nie robił dosłownie nic. Dzięki bombie tlenowo-askorbinowej, którą zażył przed śniadaniem, nie odczuwał fizycznych skutków kaca, niemniej jakieś ledwo wyczuwalne napięcie, leciutkie drżenie nerwów, świadczyło, że natura nie daje się tak łatwo oszukać. Miał niejasne wrażenie, że czułby się lepiej odpokutowując przepicie ostrym bólem głowy i mdłościami...

Mam czterdzieści lat, pomyślał, i już tak dobrze tego nie znoszę. Nie ma rady, w niedalekiej przyszłości będę się musiał ostudzić. Odruchowo dotknął szpeciniastego zarostu nad górną wargą i na brodzie. Zgodnie z panującą modą dla sprawnych w jego wieku był on pięciomilimetrowy i kiedy naciskał go palcami, odchylając na boki, stawiał opór niemal jak drucziana szczotka, niczym rzędy małych przechylnych przełączników wyzwalających na przemian przyjemność, ból i ukojenie. Zamiast umierać, utrwalił się, powtórzył w duchu popularne hasło.

Wyjrzał przez przezroczystą ścianę swojego pokoju biurowego. W oddali, za błyszczącymi trapezoidalnymi budowlami miasta, połyskiwały bielą pulsującą w rytm bicia jego serca Góry Skaliste. Tego ranka powinno spaść więcej śniegu, ale ekipy sterowania pogodą pierwsze wkroczyły do akcji, przez co niebo nad lodowymi urwiskami wyglądało dziwnie niespokojnie. Światło słoneczne-falowało sącząc się przez nieuchwytnie membrany magnetycznych pól sterujących, widoczne dzięki zawartym w nich cząsteczkom lodu. W oczach przygnębionego Carewe'a niebo wyglądało jak panorama sfatygowanych szarych flaków. Odwrócił głowę i w chwili kiedy usiłował

skupić się na pliku kart komputerowych, rozległ się cichy dzwonek telepresu. W ognisku projekcyjnym odbiornika pojawiła się głowa Hyrona Barenboima, prezesa korporacji Farma.

- Jest pan tam, Willy? - Niematerialne oczy spoglądały pytająco, nic nie widząc. - Chciałbym się z panem zobaczyć.

- Jestem, jestem - odparł Carewe i zanim włączył wizję, usunął z pola widzenia karty komputerowe, z którymi powinien był się uporać dwa dni temu. - Czym mogę służyć?

Wzrok Barenboima znieruchomiał na twarzy Carewe'a i prezes obdarzył go uśmiechem.

- Nie na falach eteru - powiedział. - Proszę przyjść za pięć minut do mojego biura. Oczywiście jeżeli może się pan wyrwać.

- Naturalnie, że mogę.

- Doskonale. Chciałbym omówić coś z panem w cztery oczy - rzekł Barenboim i jego bezwłosa twarz rozplynęła się w powietrzu, wydając Carewe'a na pastwę niejasnych niepokojów.

Prezes był wobec niego przyjazny - inaczej się do niego nie odnosił wbrew temu, co mówiła o nim większość pracowników Farmy - ale przy tym dał mu wyraźnie poznać, że coś zamierza. A Carewe niechętnie stykał się ze starymi ostudzonymi, nawet na gruncie czysto towarzyskim. W jego pojęciu wiek stu lat stanowił granicę, poniżej której można było jeszcze uważać ostudzonego za zwykłego człowieka. Ale jeśli miało się do czynienia z kimś takim, jak Barenboim, który pięć lat temu obchodził dwusetne urodziny...

Carewe zaniepokojony wstał. Zmienił zewnętrzną ścianę w lustro, obciągnął tunikę i przyjrzał się sobie uważnie. Wysocki, barczysty, choć nie wyróżniający się atletyczną budową cia-

ła, z prostymi, czarnymi włosami i bladą twarzą o cokolwiek desperackim wyrazie, ocienioną szczeciniastym zarostem w kształcie hiszpańskiej bródki, prezentował się całkiem dobrze, choć może niezupełnie jak ideał księgowego. Czemu więc bał się rozmawiać z ostudzonymi w rodzaju Barenboima i jego zastępcy Manny'ego Pleetha? Dlatego, że już czas, żebyś i ty się ostudził, odpowiedział mu wewnętrzny głos. Czas, żebyś się utrwalił, a nie lubisz, kiedy ci się o tym przypomina. Jesteś sprawny w pełnym znaczeniu tego słowa, Willy, i nie mówię tego w sensie: sprawny fizycznie lub czynny biologicznie, ale tak jak mówią to ostudzeni. Po prostu sprawny!

Głaszcząc zarost pod włos, wbijając go w skórę aż do bólu, Carewe pośpiesznie wyszedł z pokoju do sekretariatu. Wyminął sięgające pasa maszyny administracyjne, w zamyśleniu skinął głową Mariannie Toney, dozorującej elektroniczne urządzenia, i wszedł w krótki korytarzyk prowadzący do biura Barenboima. Okrągłe czarne oko w drzwiach gabinetu mrugnęło raz, rozpoznając go, po czym gładka drewniana płyta odsunęła się na bok. Carewe wkroczył do dużego, słonecznego gabinetu, w którym zawsze pachniało kawą. Siedzący nad papierami przy czerwono-niebieskim biurku Barenboim uśmiechnął się do niego i wskazał mu krzesło.

- Proszę spocząć i chwilę poczekać, synu. Manny zaraz tu do nas przyjdzie, chcę, żeby i on był w to wprowadzony.

- Dziękuję, panie prezesie.

Tłumiąc ciekawość Carewe usiadł i przyjrzał się uważnie swojemu pracodawcy. Barenboim był mężczyzną średniego wzrostu, o płaskim, cofniętym czole, z wydatnymi łukami brwiowymi i z zadartym nosem o rozdętych nozdrzach. Z niemal małpio ukształtowaną górną częścią twarzy kontrastowały drobne i delikatne usta i podbródek. Białe dłonie porządku-

jące papiery i karty komputerowe były dość pulchne i bezwłose. W przeciwieństwie do wielu ostudzonych rówieśników Barenboim pedantycznie dbał o strój, wyprzedzając zawsze modę o kilka miesięcy. Wygląda na czterdziestkę, chociaż ma już dwieście lat, pomyślał Carewe. Ma prawo zwracać się do mnie „synu”, bo z jego punktu widzenia nie osiągnąłem jeszcze wieku młodzieńczego. Znow dotknął zarostu i osadzone głęboko w oczodołach oczy Barenboima drgnęły. Carewe wiedział, że jego odruchowy gest nie uszedł uwagi i został odczytany w świetle nagromadzonego w ciągu dwustu lat doświadczenia. Pojął też, że poruszając w sposób dostrzegalny oczami Barenboim oznajmia mu, iż odgaduje jego myśli i chce, żeby wiedział o tym, że je zna... Poczul pod czaszką rosnący ucisk, poprawił się niespokojnie na krześle i wyrzwał przez ścianę. Wzburzone, szare powietrze nadal przetrawiało śnieżycę. Przyglądał się tym gargantuicznym zmaganiom do chwili, kiedy drzwi do pierwszego przejściowego gabinetu dały znać o przybyciu wiceprezesa Pleetha.

W ciągu półrocznej pracy w Farmie Carewe widział Pleetha zaledwie kilka razy, zwykle z daleka. Ten sześćdziesięcioletek utrwalił się, sądząc z jego chłopięcego wyglądu, w wieku około dwudziestu lat. Podobnie jak wszyscy ostudzeni, miał twarz bez zarostu, jakby mu ją wyszorowano pumeksem, żeby usunąć z niej nawet najdrobniejsze ślady meszku. Całą skórę od włosów nad czołem aż do szyi oblewał mu jednolity jasny rumieniec, który rozszerzał się nawet na białka bladoniebieskich oczu. Carewe'owi nasunęło się nieodparte skojarzenie z postaciami z komiksów, jakie widział w programach poświęconych historii literatury - karykaturzysta oddałby nos Pleetha pojedynczą, haczykową kreską, zaś wąskie usta krótką wygiętą w górę linią odzwierciedlającą wymuszone rozbawie-

nie jakąś niezgłębianą, nieodgadnioną myślą czającą się pod gładkim jak plastik czołem.

Pleeth ubrany był w bursztynową tunikę i wąskie spodnie, a jedyną ozdobę całego stroju stanowił cyzelowany w złocie wisiorek w kształcie cygara. Skinął głową Carewe'owi, rozciągając odrobinę szerzej usta, i zajął miejsce u boku Barenboima, sadowiąc się na pozór w powietrzu, ale podtrzymywało go magnetyczne krzesło model Królowa Wiktorja wmontowane w siedzenie spodni.

- A więc do rzeczy - przemówił natychmiast Barenboim, odsuwając papiery na bok i wbijając w Carewe'a poważne, przyjazne spojrzenie. - Od jak dawna pracuje pan dla Farmy, Willy?

- Pół roku.

- Pół roku... a czy zdziwiłaby pana wieść, że odkąd pan tu pracuje, obaj z Mannym pilnie pana obserwujemy?

- Mm... wiem oczywiście, że utrzymujecie ścisły kontakt z całym personelem - odparował Carewe.

- To prawda, ale panem interesujemy się szczególnie. Interesujemy się osobiście panem, bo pan nam się podoba. A podoba nam się pan dlatego, że posiada pan bardzo rzadką cechę - rozsądek.

- Tak?

Carewe przyjrzał się uważnie obu szefom, szukając wyjaśnienia, ale twarz Barenboima była, jak-zwykle, nieprzenikniona, natomiast Pleeth, z oczami jak wyblakłe krążki, kołysał się lekko na swoim niewidzialnym krześle i uśmiechał się zaciśniętymi ustami, kontemplując jakieś tajemne triumfy.

- Owszem - ciągnął Barenboim. - Zdrowy rozsądek, chłopski rozum, olej w głowie - jak go zwał, tak go zwał - w

każdym razie żadna firma nie może bez tego prosperować. Powiadam panu, Willy, zabiegają u mnie o pracę naprawdę rozgarnięci chłopcy, a ja odsyłam ich z kwitkiem, bo są za inteligentni i tacy wykształceni, że nikt ich nie przegada. Zupełnie jak komputery, które wykonują milion obliczeń na sekundę, a w rezultacie wysyłają noworodkowi tysiąc dolarowy rachunek za elektryczność. Rozumiemy się?

- Tak, znam paru takich - odparł Carewe śmiejąc się przez grzeczność.

- I ja też, aż za wielu, ale pan jest inny. I właśnie dlatego tak szybko pana awansowałem, Willy. Pracuje pan tu od pół roku, a już zajmuje się pan kontrolą kosztów utrzymania całego działu biopoezy. Gdyby miał pan co do tego wątpliwości, to jest to naprawdę bardzo szybki awans. Inni pracują u mnie od czterech, pięciu lat i nadal zajmują najniższe stanowiska.

- Jestem szczerze wdzięczny za wszystko, co pan dla mnie zrobił -zapewnił Carewe z rosnącym zaciekawieniem. Zdawał sobie sprawę, że jest całkiem dobrym księgowym - czyżby mogło się zdarzyć, żeby jakieś osobliwe korzystne wzajemne oddziaływanie osobowości wywindowało go na wiele lat przed terminem na najwyższy szczebel zarządzania?

Barenboim spojrział na Pleetha, który bawił się złotym cygarem, i znów na Carewe'a.

- Ponieważ określiłem jasno swoje stanowisko, czy pozwoli pan, że zadam bardzo osobiste pytanie? Sądzi pan, że mam do tego prawo?

- Naturalnie - odparł Carewe przełykając ślinę. - Proszę pytać.

- Świetnie. Oto ono. Willy, ma pan czterdzieści lat i nadal jest pan czynnym biologicznie mężczyzną. Kiedy zamierza się pan utrwalić?

Pytanie to uderzyło Carewe'a z okrutną siłą, druzgocąc go i dlatego, że zadano je znienacka, i dlatego, że trafiało w samo sedno jego obaw o własne małżeństwo, które wzbierały w nim od ponad pięciu lat, a więc od chwili, kiedy na skroni Ateny pojawił się pierwszy siwy włos. Szukając z trudem odpowiednich słów czuł, że się rumieni.

- Jeszcze... jeszcze nie wyznaczyłem dokładnej daty. Oczywiście często rozmawiamy o tym z Ateną, ale wydaje nam się, że jest jeszcze dużo czasu.

- Dużo czasu! Dziwię się. Przecież ma pan czterdzieści lat. Sterole na nikogo nie czekają i wie pan równie dobrze jak ja, że rozwój miażdżycy naczyń to jedyny proces fizjologiczny niemożliwy do odwrócenia za pomocą biostatów.

- Są przecież środki przeciwkrzepliwe - odparł Carewe szybko, bez najmniejszego zastanowienia, jak bokser parujący cios.

Na Barenboimie nie zrobiło to wrażenia, ale widać postanowił zacząć z innej beczki, bo wziął jakąś kartę komputerową i wsunął ją do czytnika.

- To pańskie akta personalne, Willy. Widzę, że... - urwał, wpatrując się w ekran wielkości dłoni - ... pańska żona nadal figuruje w kartotece Ministerstwa Zdrowia jako śmiertelna. A z akt wynika, że ma już trzydzieści sześć lat. Dlaczego tak długo zwleka?

- Trudno mi na to odpowiedzieć. - Carewe westchnął głęboko. - Atena ma swoje dziwactwa. Powiedziała... powiedziała...

- Powiedziała, że nie zrobi sobie zastrzyku, dopóki pan tego nie zrobi. Sytuacja ta występuje nadspodziewanie często wśród małżeństw monogamicznych, żyjących jeden na jeden. Poniekąd nic w tym dziwnego, ale... -W uśmiechu Barenboima

odbił się smutek dwóch stuleci. - Ale tak naprawdę, Willy, jak długo może pan to ciągnąć?

- Właśnie... Prawdę mówiąc, za tydzień minie dziesiąta rocznica naszego ślubu.

Carewe ze zdumieniem wsłuchiwał się we własny głos, zastanawiając się, jakie potworności za chwilę wypowie.

- Postanowiłem po cichu - ciągnął - że dla uczczenia tej rocznicy ja i Atena powinniśmy powtórzyć swój miodowy miesiąc. Potem zamierzałem się utrwalić.

Z twarzą, na której odmalowały się zdumienie i ulga, Barenboim spojrział na Pleetha, a ten, rumiany i karykaturalnie zadowolony, skinął głową podskakując na sprężynującym krześle.

- Nawet pan nie wie, Willy, jak się cieszę, że się pan zdecydował - powiedział Barenboim. - Nie chciałem wywierać żadnego nacisku. Pragnąłem, żeby działał pan jak człowiek najzupełniej wolny.

Co się ze mną dzieje? - zadał sobie w duchu pytanie Carewe. Z trudem hamował odruch, żeby dotknąć zarostu na twarzy, gdy ta myśl zapłonęła mu w głowie zimnym ogniem - nie planowałem wcale, że się za miesiąc utrwale.

- Willy - zwrócił się do niego uprzejmie Barenboim. - Nie jest pan głupi. Jak dotąd nasza rozmowa była bezprzedmiotowa, więc pewnie siedzi pan i zastanawia się, po co pana tu poproszono. Mam rację?

Carewe skinął głową w roztargnieniu. Nie mogę się utrwalić, myślał. Wprawdzie Atena mnie kocha, ale straciłbym ją w przeciągu roku.

- A więc przystąpmy do rzeczy. - W słowach Barenboima, sformułowanych i wymówionych z wprawą nabraną w ciągu życia trzykrotnie dłuższego niż normalne, zabrzmiało

nieoczekiwanie pełne napięcia podniecenie i Carewe'a zmroziło złe przeczucie. - Czy chciałby pan zostać pierwszym w dziejach rasy ludzkiej mężczyzną, który zdobywając nieśmiertelność zachowa męską sprawność?

Umysł Carewe'a eksplodował obrazami, chaosem słów, pojęć, pragnień, obaw. Przemierzył niezliczone nieskończoności, nad srebrzystymi morzami przetoczyły się czarne gwiazdy.

- Widzę, że cios był mocny. Potrzeba chwili na oswojenie się z tą myślą - powiedział Barenboim i z zadowoloną miną rozparł się w krzesło, splatając białe palce.

- Przecież to niemożliwe - zaprotestował Carewe. - Powszechnie wiadomo, że...

- Nie różni się pan od nas, Willy. Nie może pan przyjąć do wiadomości, że hipoteza Wogana jest tylko tym, czym jest, mianowicie hipotezą. Koncepcja, że istota nieśmiertelna nie może być zdolna do reprodukcji, jest bardzo zgrabna i efektowna. Wogan twierdził, że jeśli związek biostatyczny pojawi się i zacznie działać przez przypadek bądź umyślnie, natura zahamuje męską płodność dla zachowania równowagi biologicznej.

Czy jednak nie posunął się w swoich przypuszczeniach za daleko? Czy przypadkiem nie podniósł lokalnego zjawiska do rangi uniwersalnego...?

- Macie go? - przerwał mu ostro Caiewe, którego otepiła myśl, że wszystkie firmy farmaceutyczne na całym świecie od ponad dwustu lat nie zważając na koszty, zawzięcie i jak dotąd bezskutecznie poszukują biostatu tolerującego spermatydy.

- Mamy - szepnął Pleeth, odzywając się po raz pierwszy w trakcie rozmowy, a rumiane krągłości jego oblicza tchnęły nieludzką pewnością. Potrzebny nam jest teraz już tylko królik

doświadczalny wart miliard dolarów, czyli pan, Willy.

Rozdział drugi

- Muszę dokładnie wiedzieć, co się z tym wiąże - powiedział Carewe, mimo że podjął już decyzję. Atena wyglądała atrakcyjnie jak nigdy, ale ostatnio spostrzegł na jej twarzy pierwsze słabe znaki ostrzegawcze, że czas skończyć tę grę w dreptanie w kółko i udawanie, że buty się od tego nie zdzierają... Spędzamy zachwycający weekend z księżycami w purpurowej poświacie, a kiedy przeciekają nam przez palce ostatnie jego minuty, nie starcza nam szczerości, by zapłakać z żalu. „Za tydzień będzie nam tak samo dobrze”, mówimy, udając, że nasz własny kalendarz powtarzających się tygodni, miesięcy i pór roku to prawdziwa mapa czasu. Ale czas to prosta czarna strzała...

- Naturalnie, mój drogi - odparł Barenboim. - Przede wszystkim musi pan pamiętać o konieczności zachowania najściślej tajemnicy. A może jestem jajem, które chce być mądrzejsze od kury? - Spojrzał na Carewe'a z pełnym skruczym uznaniem, składając hołd trzeźwości umysłu swojego księgowego. - To raczej pan mógłby mi powiedzieć, ile straciłaby Firma, gdyby jakiś inny koncern przypadkiem dowiedział się o tym przedwcześnie.

- Zachowanie tajemnicy jest absolutną koniecznością - przyznał Carewe, wciąż mając przed oczami twarz Ateny. - Czy to znaczy, że wraz z żoną musielibyśmy zniknąć?

- Skądże znowu! Wprost przeciwnie. Nic tak szybko nie zwróciłoby uwagi przemysłowego szpiega, jak pańskie zniknięcie stąd i pojawienie się, powiedzmy, w naszych laboratoriach na Przełęczu Randala. Obaj z Mannym uważamy, że najlepiej, gdybyście pan i żona prowadzili dalej normalne życie, tak jakby nie zaszło nic nadzwyczajnego. Zwykłe kontrole le-

karskie, o których nikt nie będzie wiedział, może przechodzić pan tu, w moim gabinecie.

- To znaczy mam udawać, że się nie utrwaliłem? Berenboim przyjrzał się uważnie swojej delikatnej prawej ręce.

- Nie - rzekł. - Ma pan właśnie udawać, że się pan utrwalił, prawda, jakie to okropne wyrażenie? Proszę pamiętać, że o żadnym utrwaleniu się nie ma mowy. Pozostanie pan czynnym biologicznie mężczyzną, jednak bezpieczniej będzie, jeśli zacznie pan stosować depilatory do twarzy i w ogóle zachowywać się jak na ostudzonego przystało.

- Ach tak - odparł Carewe zdumiony siłą wewnętrznego sprzeciwu, jaki to w nim wywołało. Miał przecież niewiarygodne szczęście otrzymując propozycję nieśmiertelności bez żadnych związanych z nią ograniczeń, co jeszcze kilka minut temu było nierealną, utęsknioną mrzonką, a mimo to wzdragał się przed takim drobiazgiem, jak zgolenie zewnętrznych oznak męskości. - Zgodzę się oczywiście na wszystko, ale jeżeli ten nowy środek jest taki rewelacyjny, to czy nie lepiej, gdybym udał, że nie wzięłem zastrzyku?

- W innych okolicznościach, tak. Domyślam się jednak, że większość przyjaciół wie o waszych oporach względem tych zastrzyków. Hm?

- Zdaje się, że tak.

- Więc zdziwi ich, jeżeli ni stąd, ni zowąd Atena stanie się nieśmiertelna, a pan na pozór w ogóle się nie zmieni. Przecież pan wie, jak trudno jest kobiecie ukryć fakt, że wzięła zastrzyk.

Carewe pokiwał głową, przypominając sobie, że to kobiety są prawdziwie nieśmiertelnymi tworam natury, bo tylko one mogą przyjmować związki biostatyczne nie niszcząc przy tym swojego układu rozrodczego. Działanie uboczne tego leku polegało na tym, że idealnie regulował on wytwarzanie estra-

diolu, tworzył aurę wyzywająco kwitnącego zdrowia, optymalne samopoczucie fizyczne, o jakim niegdyś kobiety mogły tylko marzyć. Carewe wyobraził sobie Atenę w tym stanie boskiej doskonałości, zachowanej na zawsze, i przeklął się w duchu za to, że zwlekał.

- Widzę, że nie nadążam za biegiem pańskich myśli, panie prezesie. Pewnie zechce pan omówić to z moją żoną?

- Stanowczo nie. Nie miałem jak dotąd przyjemności poznać pańskiej żony i choć z jej psychoteki wynika, że jest osobą dyskretną, lepiej, żebyśmy na razie pozostali sobie obcy. Wasze domowe życie musi się toczyć zwykłym trybem, bez żadnych zmian. Rozumie pan?

- Mam jej sam to wszystko wyjaśnić?

- Właśnie. Panu zostawiam uzmysłowienie jej, jak ważne jest dochowanie tajemnicy - - powiedział Barenboim i spojrział na Pleetha. - Myślę, że możemy na tyle zaufać naszemu Willy'emu, prawda, Manny?

- Tak sądzę.

Pleeth skinął głową i podskoczył sprężyście na krześle. Zaczerwienione białka oczu lśniły mu w świetle poranka, a złote cygaro na piersiach błyszczało.

Barenboim mlasnął językiem z aprobatą.

- No, to załatwione. Życzylibyśmy sobie tylko, żeby zaraz po zastrzyku poddał się pan kilkudniowym badaniom kontrolnym na Przełęczu Randala, ale z łatwością znajdziemy jakiś pretekst wymagający wizyty rewidenta ksiąg w laboratorium biopoezy. Tajemnica zostanie zachowana.

Carewe zdobył się na niewymuszony uśmiech.

- To kolosalne osiągnięcie naukowe, prawdziwy przełom. Ile mógłby mi pan zdradzić...?

- Nic a nic, Willy. To temat tabu. Jak pan wie, związk

biostatyczne z natury swej szkodzą androgenom. To fizyczne prawidło leży u podstaw hipotezy Wogana, mianowicie że niezmiennosc komórek, innymi słowy potencjalna nieśmiertelność, wyklucza zachowanie męskich cech płciowych. Nam zaś udało się przezwyciężyć - lub raczej ominąć - ten skutek; najlepiej jednak, żeby pan wiedział jak najmniej o stronie naukowej zagadnienia. Oznaczyliśmy ten nowy środek kryptonimem E80, ale nawet i ta informacja nie jest panu potrzebna.

- No, a czy w związku z tą próbą coś mi może grozić? - spytał oględnie Carewe.

- Może naraża się pan tylko na pewne rozczarowanie, bo jak dotąd nie przeprowadziliśmy prób na pełną skalę. Sądzę jednak, że jakoś by pan to przeżył, gdyby spotkał pana, co bardzo wątpliwe, zawód. Nie proponujemy ci tego za darmo, chłopcze, pozwolisz, że będę ci mówił na ty.

- Ależ ja wcale...

- Dobrze, dobrze - przerwał mu Barenboim machając pulchną ręką. - Całkiem słusznie zastanawiasz się, co będziesz z tego miał. Jeżeli widzę, że któryś z moich pracowników szasta swoimi pieniędzmi, to zadaję sobie pytanie, co robi z moimi. Rozumiemy się?

Wygięte w górę kąciki ust Pleetha podjechały jeszcze wyżej i idąc za jego przykładem Carewe uśmiechnął się z uznaniem.

- Dobrze - przyznał.

- To, co powiem teraz, spodoba ci się jeszcze bardziej. Jak wiesz, wprowadziliśmy ostatnio w księgowości sporo nowych metod. Zgodnie z dwudziestoletnim systemem rotacyjnym mojego głównego księgowego czeka za trzy lata degradacja, ale w związku z niedawnymi innowacjami proceduralnymi gotów jest przyspieszyć swoje przejście na niższe stanowisko.

W ciągu niespełna roku mógłbyś awansować na jego miejsce. Carewe przełknął ślinę.

- Ależ Walton to znakomity księgowy - powiedział. - Nie chciałbym spychać go...

- Bzdura! Walton pracuje u mnie od ponad osiemdziesięciu lat i zapewniam cię, że nie może się doczekać, kiedy znów znajdzie się u dołu drabiny i zacznie się piąć w górę szczebel za szczeblem. Dokonał tego już trzy razy i nic nie sprawia mu większej przyjemności!

- Naprawdę?

Carewe odsunął od siebie myśl, że w ramach systemu rotacyjnego on również będzie w końcu zmuszony do zrezygnowania z kierowniczego stanowiska. Czuł, jak złote stulecia rozścielają się przed nim niby miękkie, nie kończące się kobierzec.

Wiedząc, że jego odwiedziny w gabinecie prezesa nie ujdą uwagi większości pracowników, Carewe oparł się pokusie, żeby wyjść wcześniej z biura i podzielić się nowinami z Ateną. Godziny pracy bez zmian, powiedział sobie w duchu, i siedział przykuty do biurka, poddając się swobodnemu biegowi myśli, które chwilami przyprawiały go o zawrót głowy. Zrobiło się późne popołudnie, kiedy przypomniał sobie, że obiecał Atenie przyjechać punktualnie o piątej i pomóc jej w przygotowaniach do skromnego przyjęcia, które dziś wydawała. Spojrzał na tarczę wytatuowaną na przegubie ręki, której skóra zmieniała układ cząsteczek pigmentu w zależności od transmitowanych sygnałów czasu wzorcowego, i zorientował się, że na podróż do domu zostało mu niespełna pół godziny.

Kiedy wychodził z biura, siedząca przy biurku z komputerem administracyjnym Marianna Tonę uniosła głowę i spojrzała na niego.

- Wychodzisz wcześniej, Willy? - spytała.

- Troszeczkę. Wydajemy dziś przyjęcie i muszę zgłosić swój akces.

- Przyjdź do mnie, to urządzimy sobie prawdziwy bal - zaproponowała Marianna z uśmiechem, lecz poważnie. - Będziemy tylko ty i ja.

Była wysoką, tęgawą brunetką o zmysłowej, rozłożystej w biodrach figurze i rozczarowanym spojrzeniu. Wyglądała na jakieś dwadzieścia pięć lat.

- Tylko ty i ja? - powtórzył Carewe, uchylając się od odpowiedzi. - Nie wiedziałem, że w głębi ducha jesteś tak konwencjonalna.

- Nie jestem konwencjonalna, a zachłanna. I co ty na to, Willy?

- Kobieto, a gdzie twoja dziewicza skromność? - spytał, ruszając do wyjścia. - Do czego to doszło? Człowiek nie jest bezpieczny we własnym biurze.

Marianna wzruszyła ramionami.

- Nie przejmuj się, w przyszłym tygodniu odchodzę - powiedziała.

- Naprawdę? Bardzo mi przykro. A dokąd?

- Do Swiftsa.

- O! - wykrzyknął Carewe, wiedząc, że Swifts to biuro komputerowe zatrudniające wyłącznie kobiety.

- Sam widzisz. Ale tak chyba będzie najlepiej.

- Muszę lecieć, Marianno. Do zobaczenia, do jutra.

Z niejasnym poczuciem winy Carewe pośpieszył do windy. Biuro Swiftsa znane było z działalności swojego Klubu Priapa, tak więc przenosiny Marianny oznaczały, że rezygnuje z nieustannych prób zwrócenia na siebie uwagi sprawnych mężczyzn. Przypuszczał, że będzie tam szczęśliwsza, choć ubo-

lewał, że Marianna, dziewczyna o obłych udach i figurze jakby stworzonej do rodzenia, skazuje się na praktyki z plastikowym fallusem.

Przed biurowcem Farmy panował przenikliwy jak na późną wiosnę chłód, mimo że niedoszlą zawieruchę udało się zepchnąć w Góry Skaliste. Carewe wyregulował umieszczony w pasku termostat i minął pośpiesznie strażnika, wciąż przygnębiony decyzją Marianny. Eksperyment z E.80 musi się powieść, pomyślał. Dla dobra nas wszystkich.

Skręciwszy w stronę swojego bolidu dostrzegł kątem oka, że na ziemi, na skraju parkingu, rusza się coś małego. W pierwszej chwili nie mógł odnaleźć wzrokiem, co takiego zwróciło jego uwagę, ale w końcu wyłowił z tła kształt wielkiej żaby, całej oblepionej kurzem i popiołem. Jej gardło nadymało się miarowo. Zrobił krok, przestępując przez żabę, podszedł do bolidu i szybko do niego wsiadł. Wiedział, że przy wjeździe do stacji metra Three Springs tworzy się już, jak to w godzinach szczytu, kolejka i że jeśli chce być wcześniej w domu, nie ma ani chwili do stracenia. Włączył turbinę, dodał gazu i wyjechał na autostradę, kierując się na południe. Po przejechaniu około kilometra raptownie zahamował i, pomrukując na siebie z oburzeniem, zawrócił. Kiedy znalazł się znów przed budynkiem Farmy, wychodzili już inni pracownicy i na parkingu reflektory rzucały oślepiające błyski, jednakże odnalazł żabę, która tkwiła w tym samym miejscu i cały czas nadymała się wyzywająco.

- Chodź, malutka - powiedział zgarniając dłońmi zimnego, zapiaszczonego płaza. - Po półrocznym śnie każdemu pomieszałyby się strony świata.

Począł na przerwę w ruchu, przeszedł na drugą stronę autostrady i wrzucił żabę do zbiornika, którego ciemne wody

podmywały drogę. Mijały go teraz nieprzerwanym strumieniem bolidy i samochody, z trudem więc przedostał się z powrotem do swojego pojazdu. Zastanawiając się nad tym, czy jego poczynania obserwowano z budki strażnika, na siłę włączył się do ruchu, jednakże te kilka straconych minut okazało się decydujące. Na dojazd do stacji metra zużył dalsze dziesięć minut i jęknął na widok kolejki bolidów u wejścia.

Zmierzchało już, kiedy wreszcie dotarł do ładowni. Automatyczna ładowarka sfotografowała tablicę rejestracyjną bolidu, po czym wsunęła go do tunelu metra, zostawiając podwozie na pasie transmisyjnym, który uniósł je do północnego wyjścia, żeby mógł z niego skorzystać jakiś przyjeżdżający pojazd. Kiedy jego maszyna przedostawała się przez śluzę zwieraczową, Carewe usiłował się odprężyć. Dzięki wielotonowemu ciśnieniu sprężonego powietrza mógł dojechać do odległych o sto mil Three Springs w dwadzieścia minut, jednakże na północnym końcu trasy czekała na niego następna kolejka po podwozia, obliczał więc, że spóźni się do domu o godzinę.

Rozważał, czy zadzwonić do Ateny z wyjaśnieniami korzystając z bolidofonu, ale się rozmyślił. Zbyt wiele miał jej do powiedzenia.

Atena Carewe, wysmukła, szczupła w biodrach i zwinna jak wąż brunetka potrafiła odpoczywając zwijać ciało jak sprężynę, a w przyływie gniewu wyprężyć je jak stalowe ostrze. Regularność jej rysów zakłócała jedynie lekko opadająca lewa powieka - pozostałość po wypadku w dzieciństwie - przez co chwilami miała wyniosły, a kiedy indziej konspiracyjny wyraz twarzy. Kiedy Carewe wszedł do typowego dla pracowników o średnich dochodach kopułodemu, za który spłacał rozłożony na sto lat dług hipoteczny, Atena, przygoto-

wując się do przyjęcia, zdążyła już złożyć wewnętrzne ściany. Miała na sobie świetlny naszyjnik, który odziewał ją w blask klejnotów i odbitych w jeziorze promieni słońca.

- Spóźniłeś się - powiedziała bez żadnych wstępów. -
Cześć.

- Cześć. Przepraszam, utknąłem po drodze.

- Musiałam sama składać ściany. Dlaczego nie zadzwoni-
łeś z biura?

- Mówiłem już, że przepraszam. Zresztą utknąłem dopie-
ro po wyjściu z biura.

- Tak?

Carewe nie odpowiedział od razu - zastanawiał się, czy mówić Atenie o żabie, ryzykując, że jeszcze bardziej ją rozzło-
ści. Małżeństwa monogamiczne należały do rzadkości w spo-
łeczeństwie, w którym liczba kobiet na wydaniu w stosunku
do mężczyzn, którzy nie zażyli jeszcze leku zapewniającego
nieśmiertelność i zachowali potencję, miała się jak osiem do
jednego. Po podpisaniu zobowiązania, że przez kilkanaście lat
się nie utrwali, powinien był założyć małżeństwo poligamicz-
ne, które dzięki nagromadzeniu posagów zapewniłoby mu ma-
jątek. Jedno z niepisanych praw, jakimi rządził się jego zwią-
zek z Ateną, głosiło, że jest ona zwolniona z obowiązku oka-
zywania mu pokory i wdzięczności, a kiedy ma ochotę urzą-
dzić awanturę, robi to zawsze z autentyczną pasją. Pragnąc za
wszelką cenę uniknąć kłótni, Carewe skłamał na poczekaniu,
napomykając o wypadku w pobliżu wjazdu do metra.

- Ktoś się zabił? - spytała ponuro Atena, rozstawiając
popielniczki.

- Nie, wypadek nie był poważny. Tylko na jakiś czas za-
blokował drogę - odrzekł. Poszedł do kuchni i nalał sobie
szklankę wzbogaconego mleka. - Dużo dzisiaj przyjdzie ludzi?

- Kilkanaścioro.

- Znam kogoś?

- Nie wygłupiaj się, Will, przecież znasz ich wszystkich.

To znaczy, że przyjdzie i May ze swoim najnowszym byczkiem? Atena postawiła ostatnią popielniczkę z głośnym, podwójnym stuknięciem.

- A kto, jak nie ty, krytykuje zawsze ludzi za to, że są staroświeccy i konwencjonalni?

- Naprawdę? - zdziwił się Carewe i łyknął trochę mleka. - W takim razie nie powinienem ich krytykować dlatego, że w żaden sposób nie mogę się przyzwyczaić do widoku coraz to nowych trzynastolatków, którzy bez skrępowania spółkują z May na samym środku mojego mieszkania.

- A może sam masz na nią ochotę? Poleci na każde twoje skinienie.

- Dość tego - przerwał jej. Chwycił ją, kiedy koło niego przechodziła, i przyciągnął do siebie, odkrywając, że pod migotliwym blaskiem świetlnego naszyjnika nie ma na sobie nic.

- Aha, a co zrobisz, jak ci nawali elektryczność?

- Myślę, że jakoś zdołam się ogrzać - odparła przywierając niespodziewanie do niego całym ciałem.

- Nie wątpię - rzekł Carewe, łapiąc oddech. - Nie pozwolę, żebyś się zestarzała choćby o jeden dzień. To niedopuszczalne.

- Chcesz mnie zabić? - zażartowała, poczuł jednak, że jej szczupłe ciało sztywnieje mu pod palcami.

- Nie. Zamówiłem już dla nas w Farmie zastrzyki. Dostanę na pewno najlepsze, ze zniżką, ponieważ, jak wiesz, pracuję dla...

Atena wyrwała mu się z objęć.

- Nic się nie zmieniło, Will - powiedziała. - Nie zrobię te-

go i nie będę patrzeć, jak ty się starzejesz i starzejesz...

- Nie martw się, kochanie, zrobimy to jednocześnie. Jeżeli sobie życzysz, ja mogę pierwszy.

- O!

Piwnie oczy Ateny pociemniały z niepewności, po czym poznał, że żona wybiega myślami w przyszłość i zadaje sobie pytanie, na które odpowiedź obydwójce znali aż za dobrze... Co dzieje się z pięknym snem o miłości, kiedy oblubieniec zostaje impotentem? Jak długo przetrwa związek dusz atrofię jąder?...

- To już postanowione? - spytała.

- Tak. - Spozregł jej nagłą bladość i poczuł wyrzuty sumienia, że tak niezręcznie poruszył ten temat. - Ale nie ma się co martwić, Farma wynalazła nowy biostat, a ja będę pierwszy, który go użyje.

- Nowy biostat?

- Tak, środek, dzięki któremu mężczyzna pozostaje w pełni sprawny. Zadany przez nią na odlew cios zaskoczył go całkowicie i trafił prosto w usta.

- Co u...?

- Uprzedzałam cię, co cię czeka, jeśli jeszcze raz na coś takiego się odważysz. - Atena patrzyła na niego z odrazą, drgająca powieka niemal całkiem zasłoniła lewe oko. - Puść mnie, Will.

Na puchnących wargach Carewe poczuł smak krwi.

- Co ty sobie wyobrażasz? - wykrzyknął.

- A ty? Masz już to i owo na swoim koncie, Will - kiedyś próbowałeś mnie podstępnie namówić na zastrzyk, kiedy brałam illusogen, innym razem sprowadziłeś tu moją matkę, żeby mnie urobiła - ale jeszcze nigdy nie zabierałeś się do tego tak niezręcznie. Wbij sobie do głowy, że nie wezmę zastrzyku, dopóki ty tego nie zrobisz.

- Ależ to nie jest żaden podstęp! Naprawdę wynaleziono... Przerwała mu pojedynczym przekleństwem, które zabolowało go jak jeszcze jedno uderzenie, i odeszła. Fermentująca mu w żołądku posępna wściekłość napięła mu wszystkie mięśnie.

- Ateno, czy tak ma wyglądać monogamiczne małżeństwo? - spytał.

- Właśnie tak! - odparła z niepohamowaną złością. - Możesz mi wierzyć lub nie, ale tak właśnie ono wygląda. Takie małżeństwo to coś więcej niż jaśnie pan mąż paradujący z zaróżnioną twarzą, sączkiem i słowami: „Chętnie bym was obsłużył, dziewczyny, ale niestety słowo się rzekło, żonka czeka, więc muszę zachować czystość!” Nie ma co, ta rola sprawia ci wielką frajdę, ale...

- No, no, mów dalej - zachęcił ją. - Jak już wjechałaś w ten tunel, to jedź nim do końca.

- Małżeństwo takie jak nasze z założenia opiera się na bezwzględnym zaufaniu, a ty nawet nie wiesz, co to słowo znaczy. Zwlekałeś z utrwaleniem się tak długo, aż wkroczyłeś w wiek zagrożony zakrzepami, bo jesteś przekonany, że nie mogłabym żyć, gdybyś mnie trzy czy cztery razy na tydzień nie pieprzył. Tak jesteś tego pewny, że dałbyś za to głowę.

Carewe'a замуrowało.

- Jeszcze nigdy nie słyszałem tak tendencyjnego, zaślepionego...

- Mam rację czy nie? - przerwała mu pytaniem.

Raptownie zamknął usta. Wybuch Ateny stanowił mieszaninę złości, lęku i charakterystycznych dla niej przestarzałych poglądów na więzi międzyludzkie, nie zmieniało to jednak faktu, że wszystko, co powiedziała - w tym również na jego temat - całkowicie odpowiadało prawdzie. I właśnie w tej chwili, ponieważ ją kochał, poczuł do niej nienawiść. Jednym

haustem dopił mleko, żywiąc niejasną nadzieję, że zawarte w nim wapno ukoi mu nerwy. Nie dziwiło go wcale, że wciąż wzbiera w nim gniew. Tylko Atena potrafiła zamienić chwile, które powinny należeć do najszcześniejszych w ich życiu, w kolejny zepsuty wieczór, w kolejny z gorzkich regularnie powtarzających się epizodów. Wyglądało to tak, jakby ich wzajemne oddziaływanie na siebie wytwarzało niestabilne pole magnetyczne, którego bieguny musiały czasem zamienić się miejscami, gdyż inaczej zniszczyłoby ich oboje.

- Posłuchaj - zwrócił się do niej zrozpaczony. - Musimy o tym porozmawiać.

- Proszę bardzo, mów, jeśli masz ochotę, ale ja nie mam obowiązku tego wysłuchiwać - odparła Atena, uśmiechając się słodko. - Pomóż mi trochę z łaski swojej. Wystaw te nowe, samomrożące się szklanki, które kupiłam w zeszłym tygodniu.

- Prędzej czy później musiano dokonać tego odkrycia. Pomyśl, ile wysiłku włożono w te badania w ciągu ostatnich dwustu lat.

Atena skinęła głową.

- No i warto było, jak się okazuje - odparła. - Pomyśl tylko, już nigdy nie będziemy się babrać z kostkami lodu.

- Ale ja mówię o nowym środku Farmy - obstawał uparcie przy swoim, przygnębiony świadomością, że Atena jest najbardziej krnąbrna i uparta wówczas, kiedy postanawia zachowywać się beztrosko i wykrętnie. - Ateno, ten środek naprawdę istnieje.

- Przynies też zakąski.

- Jesteś bezczelną, głupią, wstrętną jędzą - oznajmił.

- Nawzajem - odparła, popychając go w stronę kuchni. - Will, prosiłam cię o szklanki.

- Chcesz szklanki? - Poddając się dziecinnej zachciance

Carewe zadrzał z podniecenia. Ruszył do kuchni, wyjął z termówki lodowato zimną samochłodzącą się szklankę i pośpieszył z powrotem. Atena w zamyśleniu lustrowała poczynione przygotowania. Carewe przebił szklanką mieniący się barwami strój, nacisnął ją mocno w talii i poczuł raptowny skurcz podrażnionych mięśni. Atena odskoczyła, szklanka poturlała się po podłodze i w tym właśnie momencie wszedł pierwszy z zaproszonych gości.

- To mi wygląda na świetną zabawę - powiedziała od progu Hermina Snedden. - Mogę z wami zagrać? Pozwólcie mi, proszę.

- W to mogą grać tylko pary małżeńskie - odparła cicho Atena, sztyletując spojrzeniem Carewe'a. - Ale, proszę, wejdz i napij się czegoś.

- Mnie nie trzeba namawiać.

Wśród nieśmiertelnych prawie nie spotykało się ludzi prawdziwie otyłych - zapewniała to niezmiennosc wzorów reprodukcji komórek - ale Hermina miała z natury majestatyczną figurę. Z rękami uniesionymi niemal na wysokość ramion popłynęła przez pokój ciągnąc za sobą szkarłatne jedwabie i dotarła do barku. Oglądając imponujący zestaw butelek, wyjęła coś z torebki i postawiła na kontuarze.

- Tak, tak, napij się czegoś, Hermino - zachęcił ją Carewe. Wszedł za barek i o mało nie jęknął, spostrzegając, że to projektor trójwymiarowych napisów. Zapowiadało to grę w „cytaty”. - A może wystarczy ci strawa duchowa?

- Jestem ubrana na czerwono, więc daj mi do picia coś czerwonego - poprosiła figlarnie. - Wszystko jedno co.

- Dobrze.

Z obojętną miną Carewe wybrał jakąś nieokreśloną, lecz wyglądającą podejrzanie butelkę, pamiątkę po dawno zapo-

mnianych wakacjach, i nalał jej pełen kieliszek.

- Co się tutaj z wami działo, Will? - spytała Hermina, pochylając się nad kontuarem.

- A kto mówi, że coś się działo?

- Przecież widzę. Twoja przystojna twarz wygląda dziś trochę jak rzeźba w granicie. Masz w sobie coś z Ozymandiasza.

A więc już się zaczęło, pomyślał Carewe i westchnął. Przyjaciele Ateny interesowali się książkami i stąd też brało się ich zamiłowanie do gry w cytaty. Podejrzewał, że w rozmowie z nim wychodzą z siebie, żeby szpikować ją literackimi aluzjami. Carewe, któremu nie udało się nigdy doczytać do końca żadnej książki, nie miał pojęcia, co znaczy słowo Ozymandiasz.

- Tego Ozymandiasza robię naumyślnie - odrzekł. - Właśnie go wypróbuję. Przepraszam na chwilę. - Podeszedł do Ateny. - Chodźmy do kuchni rozmówić się, zanim przyjdzie reszta gości.

- Ależ, Will, nie starczy nam na to czasu ani dziś, ani żadnego innego wieczoru - zapewniła go. - A teraz trzymaj się ode mnie z daleka.

Odeszła tak szybko, że nie zdążył jej nic odpowiedzieć. Stał samotnie pośrodku kuchni czując, jak serce wypełnia mu powoli lodowata uraza, i słysząc przyśpieszony rytm własnej krwi. Atena zasłużyła na karę: z beztroską bezwzględnością zamieniła ich związek w broń, którą niszczyła go, ilekroć przyszła jej na to ochota. Za takie postępowanie należało jej jakoś dokuczyć, pytanie tylko jak? Gdzieś w podświadomości zakiełkowała mu pewna myśl, kiedy z głównej części mieszkania dobiegły go odgłosy świadczące o przybyciu nowych gości. Zmusił się do spokoju, a potem swobodnym krokiem wyszedł

z kuchni, aby ich powitać, przywołując uśmiech na pulsujące wciąż boleśnie po ciosie Ateny usta.

Wśród sześciorga nowo przybyłych znalazła się May Rattray i niezdarny, mniej więcej czternastoletni blondynek, którego przedstawiono Carewe'owi jako Yerta. Gromadka rozgadanych pań oddaliła się, dostosowując do siebie nawzajem promienne blaski, barwy i perfumy i zostawiając Carewe'a na jakiś czas sam na sam z chłopcem. Vert przyjrzał mu się z wyraźnym brakiem zainteresowania.

- Masz niezwykle imię - zagadnął Carewe. - Po francusku znaczy ono zielony, prawda? Czy twoi rodzice...?

- To jest imię Trev czytane wspak - przerwał mu chłopak, a na jego porośniętej meszkiem twarzy pojawiła się przełotnie wojownicza mina. - Nazwano mnie Trev, ale uważam, że matka nie powinna mieć prawa wyboru imienia dla swojego syna. Mężczyzna sam powinien sobie wybrać takie imię, jakie zechce.

- Zgoda, ale ty, zamiast wybrać sobie dowolne imię, wzięłeś to, które nadała ci matka, i je odwróciłeś... - Carewe urwał, uświadamiając sobie, że wkracza na śliski grunt psychologii. - Napijesz się czegoś, Vert? - spytał.

- Obędę się bez alkoholu - odparł Vert. - Ale proszę się mną nie krępować.

- Dziękuję - powiedział szczerze Carewe.

Podszedł do barku i udając, że go porządkuje, pozostał za kontuarem, żłopiać szkocką whisky z samomrożącą się szklanki. Potrzebował jakiegoś wsparcia, żeby stawić czoło perspektywie wieczoru wypełnionego grą w cytaty przeplatana rozmowami z Yertem. Do powrotu pań zdążył wypić połowę drugiej szklanki nie rozcieńczonego alkoholu i nabrać wiary, że sprostą sytuacji. Co więcej, że sprostą nawet Atenie, bo

postanowił już, jak się jej odpłaci, i to srogo. Zjawiło się kolejnych czworo gości, zajął się więc obsługiwaniem przy barku. Dwaj z nich - Bart Barton i Vic Navarro - byli ostudzonymi znajomymi, niewiele od niego starszymi, i kiedy pilnie im nadskakiwał, usiłując zorganizować grupę przeciwników gry w cytaty, na środek pokoju wystąpiła Atena.

- Widzę, że wszyscy mają przy sobie projektory, a więc przystąpmy do gry - powiedziała absurdalnie brzmiącym tonem mistrza ceremonii. - Na autora najlepszego cytatu czeka nagroda niespodzianka, przypominam jednak, że wymagane są wyłącznie cytaty lekkie, spontaniczne, a każdy przyłapany na cytowaniu opublikowanych tekstów daje fant. - Rozległy się ciche oklaski i pod kopułą domu zawirowały postrzępione barwne plamy z regulowanych przez gości projektorów. W powietrzu zaroilo się od jaskrawych, pozornie trójwymiarowych liter i wyrazów. Kiedy Atena wycelowała swój projektor, Carewe z jękiem usiadł za barkiem.

- Ja zacznę, żeby was rozruszać - oznajmiła. Włączyła aparacik i kilka kroków przed nią zawisły w powietrzu jaskrawozielone litery składające się w napis: CO ZA SENS MÓWIĆ PO FRANCUSKU, JEŻELI WSZYSCY CIĘ ROZUMIEJĄ?

Carewe rozejrzał się podejrzliwie po gościach, którzy prawie wszyscy śmiali się z uznaniem, a potem jeszcze raz przeczytał uważnie słowa. Ich sens nadal mu umykał. Atena nieraz wyjaśniała mu, że w grze w cytaty cała sztuka polega na tym, żeby wyjąć jakiś zwrot lub zdanie z przyziemnego kontekstu zwykłej rozmowy czy korespondencji i przedstawić je jako samodzielną całość literacką, wytwarzając w ten sposób w umyśle czytelnika fantastyczny przeciwkontekst. Nazywała to hologramią werbalną, kompletnie go dezorientując. Odkąd przed rokiem gra ta stała się modna, unikał jej, jak mógł.

- To bardzo dobre, Ateno, ale co powiecie na to? - rozległ się w półmroku kobiecy głos i w powietrzu, pod kopułą domu, zawisły nowe słowa: WIEM TYLKO TO, CO WYCZYTAM W ENCYKLOPEDIACH.

Niemal natychmiast potem rozbłysły kolejne dwa napisy, jeden czerwony, a drugi topazowy: ALEŻ CI ROMEO I JULIA MIELI PECHA oraz TRZYMAMY TEN POKÓJ ZAMUROWANY SPECJALNIE DLA PANA.

Carewe przyglądał im się niewzruszenie znad szklane-
czki, a potem postanowił, że się nie da. Wziął do rąk dwie
butelki alkoholu i obszedł gości nalewając im do pełna i zachę-
cając do picia. Po kilku minutach nie rozcieńczony alkohol,
który wypił, współ ze zmęczeniem, głodem i zapalającymi się
plastycznymi napisami przeniosły go w świat pozbawiony
przestrzennej spoistości. PROMIEŃ TO JEDYNE SŁOWO,
KTÓRE ZNACZY PROMIEŃ, poinformował go migoczący napis,
kiedy sadowił się w grupie słabo widocznych gości siedzących
na podłodze. CZY POWIEDZIAŁBYŚ BEZ ZASTANOWIENIA, ŻE
PRZYPOMINAM CI WYDRĘ? - spytał go kolejny napis. Carewe
pociągnął jeszcze jeden długi łyk i nastawił ucha, łowiąc toczą-
cą się w pobliżu cichą rozmowę.

Po chwili przestał jej słuchać i rozejrzał się, żeby zoba-
czyć, co robi Atena. CZY TO NIE POTWORNE? - zapytywał na-
pis w kolorze indygo, JEST BOŻE NARODZENIE, A MY TU
UGANIAMY SIĘ ZA GWIAZDKĄ. Dostrzegł sylwetkę siedzącej
samotnie Ateny, widoczną na tle padającego od strony kuchni
światła. Śmiała się rozkosznie z jakiegoś cytatu, tak jakby sce-
na małżeńska, która rozegrała się pomiędzy nimi wcześniej,
wcale nie wytrąciła jej z równowagi. A więc dobrze, pomyślał,
skoro tak... Przeszkodził mu napis, mącąc jego myśli. ZAMIAST
OBOWIĄZKOWEGO SKŁADANIA WIZYT W BOŻE

NARODZENIE POWINNO SIĘ PRZYJMOWAĆ GOŚCI. Zamknął oczy, ale wyjątkowo głośny wybuch śmiechu sprawił, że szybko je otworzył. POMYŚLCIE, O ILE PRĘDZEJ PODBITO BY DZIKI ZACHÓD, GDYBY KOŁA WOZÓW OBRACAŁY SIĘ WE WŁAŚCIWYM KIERUNKU.

- Chwileczkę - zwrócił się zirytowany do sąsiada. -- Co to znaczy?

- To aluzja do filmów, które oglądamy w Instytucie Historii... ach prawda, ty zdaje się tam nie chodzisz? - powiedział Navarro.

- Nie.

- Otóż w starych filmach migawka kamery filmowej dawała często efekt stroboskopowy, przez co widz miał wrażenie, że szprychy kół obracają się w niewłaściwą stronę.

- I z tego się wszyscy śmieją?

- Wiesz co, staruszk - powiedział Navarro klepiąc go po plecach. -Lepiej się jeszcze napij.

Carewe usłuchał rady, a barwne napisy poza obrębem jego prywatnego, przyjaznego świata mieszczącego się w szklaneczce whisky drżały, falowały i raptownie opadały, zbiegając się w jego świadomości... OPOWIEDZ MI WSZYSTKO O BOGU... PRZYSZEDŁEM PO SWÓJ PRZYDZIAŁ PASTY DO BUTÓW... CHCESZ ZROBIĆ ZE MNIE ZERO?... A TYM USTRZELIŁEM TEGO PAJĄKA... OSTATECZNIE MOGĘ BYĆ UPRZEJMY, JEŻELI TO MI ZAOSZCZĘDZI WYDATKÓW...

- Ja na przykład uważam - perorował ktoś - że nieśmiertelność stała się dostępna zbyt późno, nie ma bowiem wśród nas pionierów na miarę braci Wright, którym można by przedłużyć życie poza jego naturalne granice po to, żeby podziwiali rozwój tego, co zapoczątkowali...

...JESTEM W TEJ CHWILI NA ETAPIE BRODZENIA W

SYROPIE... PRAWDOPODOBNIENIE ZGINAŁ W OBRONIE WŁASNEJ... ŚMIERĆ TO SPOSÓB, W JAKI NATURA KAŻE NAM ZWOLNIĆ TEMPO...

- Zaraz, zaraz! - parsknął z urazą Carewe popijając ze szklaneczki. - To ostatnie jest śmieszne. Czy to nie powód do dyskwalifikacji?

- Nasz nieoceniony Will - szepnął Navarro.

- Jeżeli można przytaczać śmieszne zdania, to ja też zagram - oznajmił bez zastanowienia Carewe, szukając wzrokiem jakiegoś wolnego projektora. Za jego plecami May i Vert ściskali się zapamiętale i widać było, że zupełnie stracili zainteresowanie grą. Carewe wziął projektor należący do May, przyjrzał się przez chwilę klawiszom i zabrał się do układania cytatu. W zadymionym powietrzu wypisał słowa: SPOSÓB NA ODÓR Z UST - NATYCHMIASTOWA ŚMIERĆ.

- To za bardzo podobne do ostatniego - zaprotestowała Hermina, której czerwona postać majaczyła po jego lewej ręce. - Poza tym, sam to przed chwilą wymyśliłeś.

- A właśnie że nie! - wykrzyknął triumfalnie Carewe. - Słyszałem w programie trójwizji.

- W takim razie to się nie liczy.

- Tracisz tylko czas, Hermino - zawołała Atena. - Will jedynie wtedy ma przyjemność z gry, kiedy łamie jej zasady.

- Dziękuję ci, kochanie - powiedział Carewe zginając się w jej stronę w przesadnie niskim ukłonie. Ty i ja rozgrywamy między sobą inną grę, pomyślał zagniewany, i jej zasady złamię również.

Rankiem, kiedy nerwy wprawiało mu w drżenie widmo pokonanego kaca, ogarnął go wstyd z powodu własnego zachowania na przyjęciu wydanym przez Atenę, niemniej jednak nie osłabł w postanowieniu, że jej dokuczy.

Rozdział trzeci

Oba pistolety do zastrzyków podskórnych spoczywały w czarnym futerale, w fałdach tradycyjnie purpurowego aksamitu, a lufa jednego z nich oblepiona była naokoło czerwoną taśmą samoprzylepną. Barenboim postukał w oznakowaną rurkę starannie wypielęgnowanym paznokciem.

- Ten dla ciebie, Willy - oznajmił rzeczowo. - Umieściliśmy ładunek w najzupełniej typowym pistolecie, żeby po fakcie nikt nie dopatrzył się czegoś niezwykłego. Po użyciu zerwij taśmę.

Carewe skinął głową.

- Rozumiem - powiedział. Zatrzasnął futerał i wsunął go do sakwy.

- To na razie tyle. A zatem wyjeżdżasz teraz na trzy dni w góry na swój drugi... mmm... miodowy miesiąc, a ja tak wszystko załatwiłem, że po powrocie kierownik laboratorium biopoezy zwróci się do ciebie z prośbą, żebyś osobiście skontrolował pewne posunięcia budżetowe na Przełęczy Randała. Można powiedzieć, że zapięliśmy wszystko na ostatni guzik, nie uważasz?

Barenboim rozparł się w wielkim fotelu, aż sterczący brzuch podjechał mu do góry pod fałdami tuniki. Pod maską dwustuletniego opanowania jego bezwłosa twarz swoją gładkością i nieodgadnionym wyrazem przypominała oblicze porcelanowego Buddy.

- Nie mam żadnych zastrzeżeń.

- Spodziewam się, Willy, masz przecież ogromne szczęście. Jak zareagowała twoja żona, kiedy jej o tym powiedziałaś?

- Nie mogła wprost uwierzyć - odparł Carewe ze śmie-

chem, starając się, żeby zabrzmiał on możliwie naturalnie. Od próby podzielenia się z Ateną tą wiadomością minęły już cztery dni i od tamtej pory tkwili w sidłach tężejącej szybko jak bursztyń goryczy, niezdolni zbliżyć się do siebie ani porozumieć... Wprawdzie zdawał sobie sprawę, że zachowuje się jak dziecko, pragnął jednak ukarać Atenę za to, że obnażyła jego duszę, odpłacić jej za przestępstwo polegające na tym, że zna go lepiej niż on sam siebie. Wobec nieubłaganej nielogiczności ich wewnątrzmałżeńskiej rywalizacji mógł tego dokonać tylko w jeden sposób, a mianowicie udowodnić, że nie miała racji, nawet jeżeli ją miała. Postanowił nie mówić Atenie o wynaleźni substancji E.80 wiedząc, że będzie się mógł później usprawiedliwić ze swego postępowania wobec niej koniecznością zachowania ścisłej tajemnicy.

- A więc dobrze. Pozostawiam teraz wszystko w twoich rękach, Willy. Wrócisz do swojego biura i przez jakiś czas nie będziesz się ze mną kontaktował. Jeden z nas, Manny albo ja, skontaktuje się z tobą po twoim powrocie.

Carewe wstał.

- Nie miałem jeszcze okazji podziękować...

- To zbyteczne, Willy, zupełnie zbyteczne. Życzymy ci udanego urlopu - rzekł Barenboim. Nie przestał się uśmiechać nawet wtedy, gdy zasłoniły go zasuwające się drzwi gabinetu.

Carewe wrócił do swojego biura i zamknął drzwi na klucz. Usiadł przy biurku, wyjął z sakwy czarny futerał, położył go przed sobą i przyjrzał się uważnie zawiasom. Zaprojektowano je tak, żeby pokrywa odskakiwała pod kątem prostym do pudła, zaginając jednak ostrożnie śrubokrętem metalowe osłony zdołał zmienić ich ustawienie w taki sposób, że pokrywa otwierała się pod mniejszym kątem. Zadowolony ze swego dzieła, zdarł czerwoną taśmę z pistoletu zawierającego E.80 i

umieścił go w przednim zagłębieniu futerału.

Błękitne wody jeziora Orkney parowały delikatnie w promieniach popołudniowego słońca. Schodząc po schodkach z pionowzlotu Carewe odetchnął głęboko i potoczył wzrokiem po widocznych w oddali ośnieżonych zboczach, małych jak zabawki sosnach i jasnych pastelowych konturach hotelu Orkney Regał. Jak ogłoszono z dumą przez głośniki odrzutowca, z powodu chłodnego frontu atmosferycznego oddziałującego na zachodnie stany, kierownictwo kurortu pokryło koszty związane z zainstalowaniem nad jeziorem pola soczewkowego przez Biuro Sterowania Pogodą. Patrząc w górę, w pusty błękit - który pomimo braku punktów odniesienia w przestrzeni sprawiał dziwne wrażenie zniekształconego - Carewe poczuł się tak, jak gdyby znalazł się wewnątrz antycznej szklanej ozdoby z padającym śniegiem w środku.

- Jak się nazywają te staroświeckie szklane kule z miniaturowymi płatkami śniegu? - zwrócił się z pytaniem do Ateny, kiedy wraz z innymi pasażerami wchodzili do zabudowań portu lotniczego.

- Nie wiem, czy mają jakąś specjalną nazwę. Olga Hickey ma ich w swojej kolekcji kilkanaście i nazywa je śnieguliczkami, ale to jest zdaje się nazwa kwiatu.

Atena też rozglądała się z zainteresowaniem po dolinie i mówiła głosem tak spokojnym, jak jeszcze się jej nie zdarzyło od czasu tamtej wieczornej kłótni. Była zarumieniona i miała na sobie nowy wiśniowy płaszcz podobny, jak nagle sobie uzmysłowił, do tego, który nosiła przed dziesięciu laty podczas ich podróży poślubnej. Czy miał być to znak dla niego?

- Udało mi się dostać ten sam pokój - powiedział bez zastanowienia, rezygnując ze zrobienia jej tym niespodzianki później.

Atena uniosła lekko brwi.

- Pamiętałeś? - zdziwiła się. - Aha, pewnie w hotelu sprawdzili numer pokoju.

- Wcale nie. Sam pamiętałem.

- Naprawdę?

- Tak samo jak pamiętam wszystko, co się łączy z tymi dwoma tygodniami.

Złapał Atenę za ramię i obrócił twarzą do siebie. Wymięło ich niecierpliwie kilka pasażerek.

- Will - szepnęła. - Tak mi przykro. To wszystko, co powiedziałam...

Jej słowa podniosły go na duchu i pokrzepiły.

- Nie wracajmy do tego - odparł napawając się nimi. - Zresztą wszystko, co powiedziałaś, to prawda.

- Nie miałam prawa tak mówić.

- Ależ miałaś. Przecież jesteśmy prawdziwym małżeństwem, zapomniałaś? Zbliżyła się do niego z rozchyłonymi wargami, a on zamknął jej usta swoimi, oddychając jej oddechem, gdy inni pasażerowie przechodzili szybko koło nich. Atena pierwsza wyzwoliła się z jego objęć, ale kiedy wchodzili do środka obrzucani ciekawskimi, taksującymi spojrzeniami, trzymała go pod rękę. Carewe spostrzegł, że jest tu jedynym sprawnym. Zbiorowisko ludzi rozproszonych po sali dla przylatujących pasażerów składało się z ostudzonych, którzy przyglądali się im z wyćwiczoną obojętnością, oraz kobiet z wymuszoną wesołością w oczach.

- Co się ze mną dzieje? - szepnął. - Zachowuję się jak jurny nastolatek.

- Nic nie szkodzi, kochanie.

- Tak, ale jakie zrobiliśmy z siebie widowisko! Jedźmy do hotelu.

Podczas zjazdu staromodną kolejką linową nad jezioro Carewe zastanawia się, czy to możliwe, żeby człowiek w jego wieku mógł odczuwać całkowite i niezmacone zadowolenie. Z tego właśnie powodu małżeństwa monogamiczne przetrwały i zachowały sens nawet pod koniec dwudziestego drugiego wieku. Prosta prawda, często powtarzana, ale dopiero teraz zrozumiana w pełni, brzmiała, że im więcej człowiek wkłada w taki związek, tym więcej z niego ma. Carewe wchłaniał w płuca słońce i obmacując ręką prostokątny kształt małego płaskiego futerału w sakwie usiłował pogodzić się z realiami nieśmiertelności. Po jednym zastrzyku dla obojga i - przy zachowaniu ostrożności - ani Atena, ani on nie musieli umierać. Szukał w sobie jakichś śladów euforii, która powinna towarzyszyć tej myśli, ale znalazł tylko dziwne otępienie. Wszystko było względne. Gdyby przyszedł na świat przed dwustu laty w głodujących Indiach, pogodziłby się z tym, że czeka go dwadzieścia siedem lat życia, i nie posiadałby się z radości, gdyby jakaś dobroczynna siła nieoczekiwanie zapewniła mu siedemdziesiąt. Przychodząc na świat w zadowolonym z siebie babskim społeczeństwie dwudziestego drugiego wieku, uważał, że przedłużone w nieskończoność życie to coś, co mu się należy jako świadczenie socjalne tylko skalą różniące się od, powiedzmy, odszkodowań za wypadek przy pracy. Mówiono, że twórczy geniusz ludzkości został sparaliżowany - przekonano się, że giganty intelektu nie wyrastają na żyznej glebie czasu - lecz być może wiązało się to z osłabieniem uczuć, z rozrzedzeniem się barw życia w żyłach wieczności.

Zerknął z ukosa na Atenę odświeżając w świadomości powody, dla których pragnął żyć wiecznie. W wieku trzydziestu sześciu lat cieszyła się wyśmienitym zdrowiem i znajdowała się u szczytu kondycji fizycznej, który biostaty miały prze-

mienić w nie kończący się płaskowyż. Kiedy tak siedziała, wyglądając z zachwytem przez okna kolejki, chłonał ją wszystkimi zmysłami aż do wrażenia, że Atena to nazwa całego wszechświata. Kiedy raz uśmiechnęła się do jakiegoś jej tylko znanego wspomnienia, przypadkowo pochyliła głowę odsłaniając przed nim wewnętrzne płaszczyzny zębów, przez które przeświecało akurat słońce. Zanotował, skatalogował i wciągnął do akt pamięci to odkrycie, tak jak obserwator zewnętrznego wszechświata zapisuje pojawienie się nowej gwiazdy. Przyszło mu do głowy, że Atena wygląda na swoje trzydzieści sześć lat, a jednocześnie jakby w ogóle się nie zmieniała od czasu, kiedy przed dziesięciu laty się pobrali, co przecież było niemożliwe. Jakie więc zaszły w niej konkretne fizyczne zmiany? Siłąc się na obiektywność, zauważył lekkie zapadnięcie policzków, inklinację do przemiany puszku na górnej wardze we włoski, zaczątki odkładania się warstewki tłuszczu po wewnętrznej stronie górnej powieki, która miała z czasem nabrać żółtawego odcienia. Raptem podjął decyzję. Planował przedtem, że zastrzyki zrobią sobie wieczorem ostatniego dnia pobytu nad jeziorem Orkney, ale taka zwłoka wydała mu się nagle nie do zniesienia. Nie mógł pozwolić na to, żeby Atena postarzała się choćby o godzinę.

- Przestań, Will - odezwała się Atena.

- Co mam przestać?

- Tak się gapić na mnie przy ludziach - odparła, czerwieniąc się lekko.

- A niech sobie patrzą, mnie to nie przeszkadza.

- Mnie też nie, ale dziwnie na mnie działa, więc przestań.

- Ty rozkazujeś - powiedział, udając nadąsanego.

Wzięła go za rękę i trzymała ją aż do końca jazdy nad brzeg jeziora kołyszającym się i podrzucającym wagonikiem.

Przez moment kusiło go, żeby kosztem własnego zadowolenia i niepowtarzalnej wspaniałości tej chwili spróbować od nowa przekonać ją o istnieniu E.80 i jego znaczeniu, jednakże chęć ta minęła. Zapowiadało się, że będą to najwspanialsze wakacje w ich życiu, a poza tym czuł nieprzepartą chęć posiadania Ateny przekonanej, wprowadzie na niezwykle krótko, lecz naprawdę, że dowiódł swojej wiary w pozafizyczny element ich miłości. Przewidywał, że gra ta potrwa aż do chwili, kiedy będą musieli wracać do Three Springs.

Kiedy wyszedł z wagoniku i podał rękę wysiadającej Atenie, do płuc wtargnęło mu powietrze przywiane znad jeziora. Niewielką odległość dzielącą ich od hotelu postanowili przejść pieszo, bagaże odsyłając samochodem obsługującym gości. Podczas tego spaceru Atena rozmawiała swobodnie i radośnie, ale jego umysł w obliczu bliskości przełomowego wydarzenia w ich życiu absorbowano całkowicie jakieś groźne przecucie. A jeżeli E.80 nie posiada tych własności, jakie przypisuje mu Barenboim? A jeżeli rzeczywiście się utrwale? - zapytywał siebie w duchu. Dopełnił formalności meldunkowych nie myśląc o tym, co robi, a potem dwa razy pomylił się idąc w kierunku wskazywanym przez strzałki, które - pobudzane bliskością klucza - oświetlały im drogę do apartamentu. Dziesięć minut później, w wyglądającej wciąż znajomo sypialni z widokiem na wody jeziora migoczące, jakby je obsypano diamentami, wyjął z sakwy futerał z pistoletami do zastrzyków i otworzył go. Atena wieszkała właśnie ubrania w szafce, ale słysząc cichy trzask, odwróciła się. Przez jej twarz przemknęła zapowiedź miliona nowych dni.

- Nie musisz tego robić - powiedziała chłonąc wzrokiem futerał z dwoma identycznymi pistoletami o nie naruszonych pieczęciach.

- Już czas, Ateno. Najwyższy czas.

- Jesteś pewien, Will? - zapytała z wahaniem. - Nie mamy dzieci.

- Nie są nam potrzebne - odparł podsuwając jej futerał. - Zresztą wziąłem w zeszłym tygodniu pigułkę i może upłynąć wiele miesięcy, zanim znów mógłbym zostać ojcem, a nie chcę czekać miesiącami. Chcę to zrobić teraz. Już.

Atena skinęła głową ze smutkiem i zaczęła się rozbierać. Wyczuwając właściwość tego gestu, Carewe odłożył futerał i też zdjął ubranie. Pocałował Atenę jeden raz, niemal chłodno, i ponownie podsunął jej futerał. Nie zdając sobie sprawy, że jej dłonią kieruje podstępny fortel z zawiasami, sięgnęła po leżący z brzegu pistolet i przełamała pieczęć. Wyciągnął rękę, nadstawiając przegub. Atena przytknęła pistolet do świecących mu pod skórą niebieskich trójkątów. Rozległ się głośny syk i maleńki obłoczek mgiełki przeniknął tkanki jego ciała wywołując przelotne uczucie zimna. Carewe wziął drugi pistolet i wstrzelił jego ładunek w przegub Ateny.

Jest bezpieczna, pomyślał później, kiedy leżeli spleceni w uścisku na przyjemnie chłodnej otomanie. Tylko jak jej teraz powiem, że ją oszukałem?

Rozdział czwarty

W nawiedzających go snach miał ciało ze szkła. Z jednego ciągu niebezpiecznych wydarzeń wpadał w drugi - raz odbywał służbę w brygadach antynaturystycznych w Afryce i Azji Południowej, to znów znosił trudy czwartej ekspedycji na Wenus albo brał udział w poszukiwaniu rud manganu na dnie Oceanu Spokojnego. Jego kruchym członkom i torsowi zagrażało unicestwienie na różne sposoby - od kuł, bomb, upadków, ślepej siły olbrzymich wałów korbowych, które mogły go w każdej chwili zetrzeć na roziskrzony pył...

Budził się wtedy z uczuciem zimna i osamotnienia, nie znajdując otuchy w bliskości żony. Pojmował sens tych snów, przez co jednak nie stawały się mniej okropne. Nauczyciel powiedział mu kiedyś, że zanim wynaleziono biostaty, populacja ludzi w porównaniu z populacją szklanych figurynek miała zupełnie odmienny wykres przeciętnej długości życia. W przypadku figurynek pewna niewielka ich liczba ulegała co rok rozbiciu, aż w końcu nie zostawała ani jedna; co do ludzi natomiast, to większość z nich dożywała sześćdziesiątki, po czym następował raptowny zanik populacji. Nadejście ery leków biostatycznych oznaczało, że mogą oni liczyć na przedłużanie życia w nieskończoność, ale nie na beztruską nieśmiertelność. Istota dysponująca możliwością przedłużania sobie życia w nieskończoność była „nieśmiertelna”, lecz wystarczyło rozbić ją o górskie zbocze z potrójną prędkością dźwięku, by je straciła. Osiągnęliśmy tylko to, zakonkludował nauczyciel, że dołączyliśmy do grona szklanych figurynek.

Ogrom osobistej odpowiedzialności za utrzymanie się przy życiu przeraził Carewe'a. Śmierć w wieku czterdziestu lat w katastrofie samolotowej lub samochodowej byłaby zdarze-

niem fatalnym, gdyby oznaczała stratę trzydziestu lat życia, lecz gdy miało się widoki na przeżycie tysiąca lat, było to po prostu nie do pomyślenia. Stojąc i spoglądając przez okno na mroczne jezioro Carewe trochę lepiej rozumiał to, co współczesny filozof Osman nazwał „babskim społeczeństwem”, określając tak ziemską społeczność, w której historyczne męskie cechy zanikły bezpowrotnie. Zlikwidowano wojny, jeśli nie liczyć niewielkich akcji prowadzonych przez brygady antynaturystyczne, ale po upływie z górą dwu stuleci od pierwszego lądowania na Księżycu planety Mars i Wenus pozostały właściwie nie zbadane. Nielicznym sprawnym gotowym podjąć się takich wypraw brakło poparcia sprawujących władzę ostudzonych i Carewe, choć nadal sprzężony z biologicznym kołem zamachowym męskości, pojął, dlaczego tak się dzieje. Przygniata nas przyszłość, pomyślał. Ot, i całe wyjaśnienie.

Najsilniej jednak domagały się rozwiązania problemy najbliższej przyszłości. Świt zaćmiewał już słabiej świecące gwiazdy, co znaczyło, że za parę godzin znajdą się w drodze powrotnej do Three Springs, a jemu nie udało się jeszcze powiedzieć Atenie prawdy o zastrzyku z E.80. Trzy dni spędzone nad jeziorem Orkney okazały się najwspanialszym okresem w ich dziesięcioletnim małżeństwie. On i Atena byli jak dwa dobrane i ustawione naprzeciw siebie lustra, tak więc składając pozorny dowód wiary w nią, Carewe stworzył promienny wizerunek samego siebie, którego blask odbijał się na przemian to w jednym, to w drugim z nich. („Miłość, jak powiedział Osman, to nic innego jak aprobata dobrego gustu partnera”). Teraz jednak miał przed sobą perspektywę odwrócenia lustra Ateny bokiem i skierowania bezcennego żaru w zimną pustkę, gdzie - zgodnie z prawami termodynamiki uczuć - przepadał bezpowrotnie.

Jego rozterka miała także czysto fizyczny wymiar. Przekonanie Ateny o tym, że zniszczył łączącą ich erotyczną więź, zdawało się wyjątkowo silnie ją podniecać. Jakby pragnąc wypalić do cna płonące w niej żądze, wciągnęła go w trwającą prawie bez ustanku przez trzy dni orgię seksualną, wzbraniając się nawet przed zaśnięciem, jeśli nie połączył się z nią, gdy leżeli przylegając do siebie - jej pośladki przy jego biodrach - jak dwie łyżki. Ale swoją męskość mógł demonstrować najwyżej trzy dni. Znano przypadki, kiedy właśnie przez taki okres po zazyciu biostatów organizm nadal wytwarzał androgeny, jednak w ciągu najbliższych godzin musiał albo udać, że stracił popęd płciowy, albo opowiedzieć Atenie o wszystkim.

Co gorsza wciąż się wahał, tracąc grunt pod nogami. Chwilami wydawało mu się to takie proste - Atena z pewnością nie posiadałaby się z radości na wieść, że są pierwszą na świecie parą małżeńską, której dane jest zarówno żyć bez końca, jak i bez końca uprawiać miłość. Kiedy indziej jednak godził się z realiami zamkniętego świata, jakim było jego małżeństwo. W tym zawiłym continuum branie czegoś bez odwzajemniania nie było niemożliwe; było jedynie po prostu niewybaczalne. Z rozmysłem utwierdził Atenę w przekonaniu, że wierzy w zasadniczy pozaerotyczny element ich miłości, okłamał ją i wykorzystał to bez skrupułów, sięgając do udostępnionych mu przez nią zasobów uczuć. A teraz nadeszła pora na wyznanie i ogarnął go lęk.

Stojąc w przesianym świetle wczesnego ranka, zmęczony i przygnębiony, postanowił ratować się w jedyny dostępny mu sposób. Po powrocie do pracy czekał go lot na Przełęcz Randała na kontrolę lekarską, żeby zbadać skuteczność E.80, i istniała niewielka możliwość, że środek zawiódł. Czuł się najzupełniej normalnie, ale - aż dziw, że myśl ta była mu niemal

przyjemna - może naprawdę się utrwalił, może istotnie uległ ostudzeniu. Z tego właśnie względu logika nakazywała zachowanie milczenia do czasu, aż fizjolodzy z Farmy wydadzą jednoznaczne oświadczenie.

Drżąc nieznacznie z chłodu, a być może z ulgi, Carewe położył się z powrotem do łóżka.

Rano, choć ściśle biorąc nie było to konieczne, ustawił odpowiednio ostrza swojej magnetycznej brzytwy i zgolił pięciomilimetrowy zarost. Teraz, kiedy wsiadał do lecącego na południe pionowzlotu, miał wrażenie, że jego szczeka i górna warga świecą golizną. Kierowniczką systemów pokładowych, czyli, jak mówiono dawniej, pilotką, miała na sobie szyty na miarę mundur, którego złoty odcień wspaniale harmonizował z jej opalenizną. Zatrzymując się, żeby przyłożyć kredysk do teledetektora w przednim włazie, Carewe posłał jej nieśmiały uśmiech. Odpowiedziała mu bezosobowym uśmiechem i natychmiast przeniosła wzrok na stojących za nim pasażerów.

Usiadł niepokieszony i siedział dotykając palcami twarzy i wyglądając przez okno, dopóki po króciutkiej jeździe nie oderwali się od ziemi. Maszyna wznosiła się pionowo przez ponad tysiąc metrów, aż opuściła nieuchwytne dla oka ściany systemu dźwiękochłonnego i pomknęła na południe równoległe do poszarpanych białych szczytów Gór Skalistych. Daleko w dole migotały węzły dróg i linii transportu podziemnego poszczególnych równomiernie rozmieszczonych okręgów administracyjnych stanów zachodnich, przywracając mu jakże potrzebną wiarę w siebie i poczucie przynależności.

Liczba ludności świata nie zmniejszyła się od końca dwudziestego wieku, ale i nie wzrosła, bo nieśmiertelni mężczyźni byli niepłodni, a poza tym ludzkość miała dwa stulecia na oswojenie się z nową sytuacją i znalezienie optymalnych

rozwiązań istniejących problemów. Życie w społeczeństwie szklanych figurynek stało się i nudne, i bezpieczne, ale wobec przygniatającej każdego osobistej odpowiedzialności za własną nieśmiertelność w pierwszym rządzie dbano o bezpieczeństwo. Nikt przy zdrowych zmysłach nie podejmował świadomie żadnego ryzyka. Wprawdzie Carewe podróżował do Przełęczy Randała maszyną wyposażoną w trzy całkowicie niezależne systemy utrzymujące go w powietrzu, to jednak drętwiał z przerażenia.

Co ja bym zrobił, zastanawiał się, gdyby doszło do jakiegś, choćby małej, kraksy i zobaczyłbym trupa?

Laboratorium na Przełęczy Randała leżało osiemdziesiąt kilometrów na południe od Pueblo, schowane dyskretnie u zbiegu dwóch górskich dolin. Prowadziła tam droga z topionej ziemi nadająca się wprawdzie dla zwykłych samochodów, ale nieodpowiednia dla bolidów z powodu ich wyżej umiejscowionych środków ciężkości. Osiemdziesięcioosobowy personel zamieszkiwał Pueblo i jego okolice, dolatując do pracy wahadłokopterem Farmy.

Na lotnisko w Pueblo Carewe dotarł przed południem i w wielkim salonie wahadłokoptera zastał zaledwie trzech podróżnych, samych ostudzonych. Pomny polecenia Barenboima, żeby stwarzał pozory normalności, podczas krótkiego lotu do Przełęczy Randała nie omieszkał z nimi porozmawiać. Dopytując się o położenie laboratorium biopoezy i budynku biurowego, poinformował ich mimochodem, że jest księgowym i leci do Przełęczy Randała na kontrolę spraw budżetowych. Jego rozmówcy wyglądali na niewiele ponad trzydziestkę, a w ich zachowaniu było coś, co wskazywało, że w rzeczywistości nie są wiele starsi. Brakowało im nieprzejednanej postawy cechującej Barenboima. Przyszło mu na myśl, że kiedy rozejdzie

się nowina o E.80, starzy nieśmiertelni, a zwłaszcza utrwaleni niedawno, poczują się zapewne pokrzywdzeni. Z drugiej strony jak nigdy dotąd mogły znaleźć potwierdzenie niektóre aspekty filozofii ostudzonych. Nawet w epoce przed nastaniem biostatów pewien niewielki odsetek mężczyzn miał dość czasu, żeby ulec znużeniu sprawami płci - po jakich dziwnych manowcach wędrowaliby zatem ci ludzie po dwustu latach nie zmniejszonej potencji? Niepokojąca myśl, że bezpłciowa nieśmiertelność ma być może swoje dobre strony, ponownie przyszła Carewe'owi do głowy, kiedy wahadłokopter minął wierzchołek porośniętego sosnami wzgórza i zniżył lot, kierując się do srebrzystych kopuł laboratoriów Farmy.

Carewe pośpieszył do głównego wejścia, czując, że w Kolorado jest wyraźnie cieplej niż w bardziej na północ położonym rejonie Three Springs, i wszedł do jednej z kabin ustawionych szeregiem w poprzek portierni. Nastąpiła minimalna chwila zwłoki, podczas której oddalony o tysiąc kilometrów komputer przedsięwzięcia sprawdził jego tożsamość, wyraził zgodę na jego obecność i za pośrednictwem mikrofalowego łącza otworzył wewnętrzne drzwi kabiny wpuszczając go do głównego korytarza.

- Pan Barenboim prosi, żeby zgłosił się pan w jego gabinecie na poziomie D, kiedy tylko złożą pan uszanowanie panu Abercrombie, kierownikowi księgowości - przekazała mu wiadomość maszyna.

- Zrozumiałem - odparł z pewnym zdziwieniem. Wiedział, że Barenboim bardzo rzadko odwiedza Przełęcz Randal, lecz przecież nigdy jeszcze ani Farma, ani żadna inna firma farmaceutyczna nie podjęła się równie ważnego przedsięwzięcia jak prace nad E.80. Carewe odszukał biuro kierownika księgowości i spędził tam blisko godzinę, omawiając sprawy

zawodowe i ustalając, na czym konkretnie polegają trudności, które ma usunąć. Wkrótce wyszło na jaw, że problem dotyczy nie tyle sposobu prowadzenia rachunków, ile raczej stosunków między wydziałem a Barenboimem. Abercrombie, korpulentny ostudzony ze łzawiącymi oczami i o czujnym spojrzeniu, sprawiał wrażenie dobrze zorientowanego w sytuacji i odnosił się do Carewe'a z rezerwą, jakby podejrzewał, że ma do czynienia z prawą ręką Barenboima od brudnej roboty. Reakcja ta rozbawiła Carewe'a i odebrał ją jako przedsmak tego, co go czeka, kiedy obejmie wysokie kierownicze stanowisko i zdobędzie władze, lecz zarazem trochę zażenowała. Postarał się jak najszybciej wyjść od Abercrombiego i udał się na poziom D.

Biuro Barenboima była mniejsze i nie tak luksusowe jak w dyrekcji Farmy. Okrągłe czarne oko w wewnętrznych drzwiach zamrugało rozpoznając Carewe'a i gładka drewniana płyta odsunęła się w bok. Wszedł do środka i od razu poczuł znajomy aromat kawy, który zawsze otaczał Barenboima podczas pracy.

- Witam, witam, Willy! - Barenboim, którego zastał siedzącego przy niekonwencjonalnym czerwono-niebieskim biurku, przeszedł przez pokój i uściśnął Carewe'owi rękę. Oczy błysnęły mu w głębokich oczodołach. - Jak to miło, że jesteś.

- Ja też się cieszę, że pana widzę.

- To wspaniale - powiedział Barenboim, wracając na swoje miejsce i wskazując Carewe'owi wolne krzesło.

- A... owszem - przyznał Carewe, myśląc w duchu, że wcale nie tak wspaniale, bo miał wolne tylko kilka dni. Dopiero teraz przyszło mu do głowy, że Barenboim stara się usilnie zachowywać jak sprawny, a przynajmniej nie jak typowy ostudzony; przypomniało mu to, że łącząca ich więź jest cał-

kowicie sztuczna i oparta wyłącznie na przypadku i względach praktycznych.

- No i jak tam było? Urlop się udał?

- Owszem, było bardzo przyjemnie, jezioro Orkney jest piękne o tej porze roku.

Po twarzy Barenboima przemknęło zniecierpliwienie.

- Nie pytam o widoki. Jak twoja chuć? Dopisuje jeszcze?

- A jakże! - odpowiedział Carewe ze śmiechem. - Aż w nadmiarze.

- To świetnie. Ogoliłeś się, jak widzę.

- Pomyślałem, że tak będzie najlepiej.

- Zapewne, ale powinieneś raczej używać depilatora. Twoja szczęka ma wyraźnie sinawy odcień i zupełnie nie wyglądasz jak ostudzony.

Carewe poczuł nagłą satysfakcję, ale ukrył ją starannie. To babsko w samolocie było chyba ślepe, pomyślał.

- Jeszcze dziś zaopatrzę się w depilator - zapewnił.

- O nie, mój drogi. Nie wolno zostawić najmniejszego śladu - nigdzie i nikomu - który wskazywałby, że nie użyłeś najzwyczajszego biostatu. Jakby to wyglądało, gdyby domniemany ostudzony kupował depilator?

- Przepraszam.

- Nie szkodzi, Willy, ale na takie właśnie drobiazgi musimy być wyczuleni. Dam ci coś, zanim stąd wyjdiesz. - Barenboim przyjrzał się swoim pulchnym, jakby omączonym dłoniom. - A teraz rozbierz się.

- Słucham?

Barenboim koniuszkiem palca delikatnie wygładził obie brwi.

- Potrzebne nam są próbki tkanek z różnych miejsc ciała - wyjaśnił - żeby sprawdzić, jak przebiega proces reprodukcji

komórek, no i oczywiście trzeba będzie koniecznie zbadać liczbę plemników w spermie.

- Rozumiem, ale myślałem, że zrobi to wszystko któryś z waszych biochemików.

- Udostępniając w ten sposób wyniki całemu personelowi laboratoryjnemu? O nie, dziękuję. Co prawda Manny jest lepszym biochemikiem praktykiem ode mnie, ale interesy zatrzymały go na północy, więc sam się tobą zajmę. O nic się nie martw, Willy, drzwi są zamknięte na klucz, a ja mam te kilka ładnych lat doświadczenia.

- Naturalnie. Powiedziałem to bez zastanowienia.

Carewe wstał i z nieprzyjemnym uczuciem, że sprawy przybierają zupełnie fatalny obrót, zdjął ubranie.

Dopiero po ponad półgodzinnym oczekiwaniu na lotnisku w Three Springs przyszło mu na myśl, że Atena być może wcale po niego nie przyjedzie. O tej niezbyt późnej popołudniowej porze poczekalnia dla pasażerów świeciła pustkami. Carewe wszedł do budki wideofonicznej, podał numer domu i wlepił niecierpliwe spojrzenie w ekran, czekając na pojawienie się Ateny. Po raz pierwszy w ciągu dziesięciu lat ich małżeństwa zdarzyło się, że nie wyjechała mu na spotkanie, kiedy wracał z podróży. Pocieszał się w duchu, że jedynie przypadkiem również po raz pierwszy powracał jako ostudzony, tak przynajmniej sądziła. Wybrane z elektronicznej palety kolory na ekranie ułożyły się w dwuwymiarowy obraz przedstawiający twarz jego żony.

- Cześć, Ateno - powiedział, czekając, aż zareaguje na jego widok.

- A, to ty, Will - odparła apatycznie.

- Czekam na lotnisku już ponad pół godziny, myślałem,

że po mnie przyjedziesz.

- Zapomniałam.

- O - zdziwił się. Być może sprawił to dwuwymiarowy obraz, ale twarz Ateny wydała mu się przez chwilę obca i wroga. - No, to ci teraz przypominam. Przyjedziesz po mnie czy nie?

- Jak chcesz - odpowiedziała, wzruszając ramionami.

- Jeżeli to dla ciebie zbyt wielki kłopot, wynajmę na lotnisku bolid - rzekł chłodno.

- Dobrze. Do zobaczenia.

Obraz rozplynął się, przypominając rój barwnych światełek, które pomknęły w głąb szarych nieskończoności. Carewe pomacał gładką skórę na szczęce i wezbrała w nim, przenikając go na wskroś, potężna fala uczucia. Dopiero po chwili udało mu się rozpoznać je jako... smutek. Atena była chyba jedyną znaną mu osobą, która zachowywała się zawsze wobec innych z absolutną szczerością i która bez żenady i skrupułów zaledwie po kilku minutach odwracała sens wypowiedzianych przez siebie słów, jeżeli odzwierciedlało to zmianę stanu jej ducha. Potrafiła kupić drogi wazon i tego samego dnia roztrzaskać go w drobny mak, potrafiła namówić go na wakacje w wybranym przez siebie kurorcie i zaraz po przyjeździe, jeżeli nie spełnił jej oczekiwań, zrezygnować z pobytu. A przenosząc to na inną płaszczyznę: czyżby całymi latami żerowała na jego uczuciach, przysięgając, że jej miłość do niego nic a nic się nie zmieni po jego ostudzeniu się, żeby potem, w niespełna tydzień po tym fakcie, potraktować go z nieukrywaną pogardą?

Wiedział, że odpowiedź na to pytanie brzmi: tak.

Jeżeli Atena odkryła, że Carewe minus seks równa się zero, nie spodziewał się z jej strony żadnego udawania. Na-

tychmiast z okrutną zdawałoby się łatwością powiedziałaaby mu to prosto w oczy i zabrała się do układania sobie życia na nowo. Ilekroć rozważał zamiar ostudzenia się, to przewidywał, że ich małżeństwo przetrzyma najwyżej rok, zawsze jednak dopuszczał możliwość, że potrwa ono miesiąc albo nawet tydzień. Muszę jej o tym powiedzieć, krzyczał w duchu. Muszę natychmiast jechać do domu i powiedzieć mojej żonie całą prawdę o E.80.

Otworzywszy ramieniem drzwi wyszedł z budki i pobiegł do wypożyczalni pojazdów. W drodze do domu, pędząc metrem pchany wielotonowym ciśnieniem sprężonego powietrza, przez cały czas powtarzał sobie, co jej powie. Próby przeprowadzone przez Barenboima wypadły pomyślnie dla E.80, a więc on, Carewe, jest i nieśmiertelnym, i mężczyzną. A zatem ich małżeństwo rozpocznie się jakby od nowa i utrzyma się nie sposób przewidzieć jak długo. Zamierzał wyjawić jej prawdę, zademonstrować ją całą mocą swoich lędźwi. Będziemy mieli dzieci, przemknęło mu przez głowę. Myśl ta uspokoiła jego drżące palce. Jak tylko ustanie działanie ostatniej pigułki antykoncepcyjnej, którą zażyłem, postaramy się o dziecko...

Okna kopułodomu wypełniała matowa czerń, kiedy Carewe parkował wynajęty bolid na otaczającym go podjeździe. Wszedł głównymi drzwiami i zobaczył, że w środku panują niemal zupełne ciemności, rozproszone jedynie blaskiem gwiazdnych kształtów wyświetlonych z rzutnika na dach. Wszystkie ścianki działowe zostały schowane i w pierwszej chwili pomyślał, że Atena gdzieś wyszła, ale zaraz potem spostrzegł, że leży na kanapie wpatrzona w wirujące w górze konstelacje. Podszedł do tablicy klimatyzacyjnej i sklarował okna, napełniając kopułodom światłem słonecznym.

- Już jestem - oznajmił, choć było to zbędne. - Przyjecha-

łem, jak mogłem najszybciej.

Atena nie poruszyła się.

- Zdumiewasz mnie, Will, fakt, że zrobiłeś z siebie eunucha, wcale cię nie spowolnił. To wspaniale - powiedziała z tak zimną zaciętością, że aż się przeraził.

- Muszę z tobą porozmawiać, Ateno. Mam dla ciebie nowinę.

- A ja dla ciebie, kochaneczku. Łap! - zawołała, rzucając mu mały, błyszczący przedmiot, który złapał w powietrzu. Był to srebrny krążek; pośrodku jednej z jego stron widniała czerwona plamka.

- Nic nie rozumiem - rzekł powoli. - To wygląda jak wskaźnik ciąży.

- Bo to właśnie jest wskaźnik ciąży. Widzę, że neutralizacja nie zaszkodziła ci też na oczy.

- Ale ja wciąż nie rozumiem... Czyje to?

- Jak to czyje, oczywiście, że moje. - Atena usiadła i zwróciła się twarzą do niego, lewa powieka wyraźnie jej opadła. - Polizałam go dziś rano i właśnie tak się ładnie zaczerwienił.

- Ależ to niedorzeczne. Nie możesz być w ciąży, bo ostatni raz brałem pigułkę niecały miesiąc temu i... - Carewe zawiesił głos, na czoło wystąpił mu zimny pot.

- Wreszcie zrozumiałeś. - Lewe oko Ateny niemal zupełnie się zamknęło, a jej mina, zastygła jak u kapłanki, wyrażała niemą wściekłość. - Nie myliłeś się co do mnie ani trochę, Will. Okazuje się, że nie mogę żyć bez regularnego er-żet-en-i-ę-ce-i-a. Nie minęły dwa dni od twojego wyjazdu, a już miałam w twoim łóżku innego. A może powinnam powiedzieć, że to on miał mnie w twoim łóżku?

- Nie wierzę ci - powiedział słabym głosem. - Kłamiesz,

Ateno.

- Tak myślisz? To popatrz. - Z podręcznego stolika wzięła drugi krążek i z miną magika robiącego sztuczkę położyła go sobie na języku. W jej oczach pojawiło się chłodne rozbarwienie, kiedy wyjęła krążek z ust i pokazała mu go. Po stronie, która zetknęła się z językiem, pojawiła się na środku ciemnoczerwona plamka. - I co powiesz na to?

- Co powiem? Posłuchaj. - Otaczający go pokój oddalił się gdzieś w gwiazdne przestrzenie, a on sam słuchał, jak jego zmartwiałe usta wygarniają Atenie, co o niej myśli, wypowiadając wszystkie sprośne słowa, jakie sobie przypomniał, tak długo, aż straciły sens od nadmiaru powtórzeń.

Atena uśmiechnęła się szyderczo.

- Świetne przedstawienie, Will - powiedziała - ale słowny gwałt nie zastąpi prawdziwego.

Carewe popatrzył na swoje ręce. Każdy palec z osobna, niezależnie od pozostałych, wykonywał drobne, sztywne ruchy.

- Kto to był? - spytał.

- Czemu pytasz?

- Chcę wiedzieć. Kto jest ojcem?

- Co zamierzasz, zmusić go, żeby cofnął to, co zrobił?

- Powiedz mi to natychmiast. - Carewe przełknął głośno ślinę. - Powiedz natychmiast, radzę ci.

- Nudzisz mnie, Will - odparła Atena i zamknęła oczy. - Proszę cię, odejdz.

- Dobrze - powiedział po chwili, która ciągnęła się jak arktyczny eon. - Odejdę, bo gdybym nie odszedł, to chyba bym cię zabił. - Nawet w jego uszach słowa te zabrzmiały czczo i bezsilnie.

Błogo uśmiechnięta Atena nadal leżała na kanapie, kiedy

wyszedł, wrócił do swojego bolidu i odjechał.

Rozdział piąty

- Moja żona jest w ciąży - oznajmił Carewe starannie wymawiając słowa i napił się kawy w oczekiwaniu na reakcję, jaką to wywoła.

Za czerwono-niebieskim biurkiem Barenboim i Pleeth tworzyli jakby mały żywy obraz, dokładnie taki sam jak w dniu, kiedy Carewe po raz pierwszy odwiedził gabinet prezeasa. Barenboim miał ręce złożone jak do modlitwy i patrzył sponad nich zamyślony głęboko osadzonymi oczyma, natomiast Pleeth z zadowoloną miną podskakiwał na swoim niewidzialnym wiktoriańskim krześle, zaczerwienione oczy mu błyszczały, a usta tworzyły ostro wygięty do góry łuk zadowolenia.

- Jesteś tego pewien, Willy? - spytał Barenboim głosem, który nie zdradzał żadnych uczuć.

- Całkowicie. Sprawdziła to dwa razy.

- Dawno zaszła w tę ciążę?

- W zeszłym tygodniu - odparł opanowanym głosem Carewe, chcąc za wszelką cenę ukryć to, co czuł, przed dwustuletnim wzrokiem Barenboima. Pragnął również zataić fakt, że jego prywatne małżeńskie piekło przekreśla wyniki eksperymentu za miliard dolarów.

- A więc nie ma już żadnych wątpliwości, to ostateczny dowód, że E.80 spełnia wszystkie pokładane w nim nadzieje. Co, ty na to, Manny?

Pleeth dotknął palcami wiszącej mu na piersiach złotej ozdoby w kształcie cygara i jego usta wygięły się triumfalnie w jeszcze ostrzejszy łuk.

- Zgadzam się z tobą całkowicie - rzekł. - Na to właśnie czekaliśmy. Popatrzyli obaj na siebie z satysfakcją, porozu-

miewając się bez słów w sposób dostępny tylko ostudzonym żyjącym już wiele dziesiątków lat.

- A co dalej? - wtrącił Carewe. - Podacie to do wiadomości publicznej?

- Nie! - wykrzyknął Barenboim, pochylając się nad biurkiem. - Jeszcze nie teraz. Utrzymanie tajemnicy jest w tej chwili ważniejsze niż kiedykolwiek, aż do czasu, kiedy wzór chemiczny substancji E. 80 zostanie ochroniony patentem.

- Rozumiem.

- Poza tym - mam nadzieję, Willy, że nie weźmiesz mi za złe tych słów - dobrze byłoby poczekać do końca ciąży, żeby się przekonać, czy zostanie donoszona i dziecko urodzi się całkowicie normalne.

- Nie, nie wezmę panu za złe tych słów.

- Dobry z ciebie chłopak. - Barenboim rozparł się na krześle. - Manny! Ależ z nas gapy! Siedzimy tu i rozmawiamy wyłącznie o interesach, a zupełnie zapomnieliśmy pogratulować naszemu młodszemu koledze osiągnięcia.

Pleeth rozpromienił się, aż jego zaczerwieniona, jakby wyszorowana szczołką chłopięcą twarz nabrała jeszcze silniejszych rumieńców, lecz nic nie powiedział.

Carewe odetchnął głęboko.

- Proszę mi nie gratulować - rzekł. - Prawdę mówiąc, Atena i ja rozstaliśmy się. Na jakiś czas, oczywiście, na próbę.

- Tak? - Barenboim ściągnął brwi, udając zatroskanie. - Trochę to dziwna pora na rozłąkę.

- Dojrzewało to w nas od ponad roku - skłamał Carewe, wspominając, jak wypadł z kopułodomu w kilka sekund po ciężkiej obeldze Ateny. - A ponieważ spodziewamy się dziecka, może to być dla nas ostatnia, najlepsza szansa, żeby się zorientować, co nas właściwie łączy. Mam nadzieję, że nie pokrzyżu-

je to waszych planów.

- Skądże znowu, Willy. Ale co zamierzasz ze sobą zrobić?

- Właśnie o tym chciałem z wami porozmawiać. Wiem, że moja osoba jest ważna dla przetestowania E.80 - pan Pleeth nazwał mnie królikiem doświadczalnym za miliard dolarów - ale mam chęć wyjechać na jakiś czas za granicę.

Barenboim pozostał niewzruszony.

- To da się bez trudu załatwić - rzekł. - Mamy przecież swoje filie w różnych miastach na całym świecie, ale tobie nie muszę przecież tego mówić. Dokąd chciałbyś się wybrać?

- Nie myślałem o posadzie w mieście - odparł Carewe, kręcąc się niespokojnie na krześle. - Czy Farma nadal zawiera kontrakty z brygadami antynaturystycznymi?

Barenboim spojrzał najpierw na Pleetha, a dopiero potem odpowiedział.

- Owszem. Mamy mniej kontraktów niż dawniej, ale nadal dostarczamy i aplikujemy biostaty na wielu terenach operacyjnych.

- Tym właśnie chciałbym się zająć - wpadł mu w słowo Carewe, bo zależało mu, żeby wyłożyć swoją sprawę, zanim ktoś mu przerwie. - Wiem, że w takiej sytuacji nie mam prawa się narażać, ale kusi mnie, żeby na jakiś czas rzucić wszystko. Chciałbym zgłosić się na ochotnika do pracy w brygadzie antynaturystycznej.

Czekał, spodziewając się odmowy Barenboima, ale, ku jego zdumieniu, prezes kiwał głową zamyślony, a na ustach zaigrał mu cień uśmiechu.

- A więc masz ochotę ostudzić paru naturystów? - rzekł.

- Wiesz, że wybierają czasem śmierć zamiast uległości... To cię nie odstrasza?

- Raczej nie.

- Jak sam powiedziałaś, Willy, z punktu widzenia naszej instytucji w grę wchodzi pewne ryzyko - to mówiąc Barenboim ponownie zerknął na Pleetha. - Z drugiej strony jednak dzięki temu zniknąłbyś na kilka miesięcy z widoku, co w obecnym czasie może nie byłoby takie złe. Z chwilą zgłoszenia patentu kwestia zapewnienia bezpieczeństwa stanie się jeszcze trudniejsza. Jak sądzisz, Manny?

Pleeth kontemplował swoje nieodgadnione triumfy.

- Jest w tym sporo racji, ale nie mam pewności, czy nasz młodszy kolega zdaje sobie sprawę z tego, w co się pakuje. Narzucanie komuś nieśmiertelności wbrew jego woli jest bodaj najgorszym aktem gwałtu na człowieku.

- Bzdura! - sprzeciwił się ostro Barenboim. - Jestem przekonany, że Willy da sobie radę w brygadzie antynaturystycznej przez kilka miesięcy. Weźmiesz to z marszu, prawda, synu?

W pierwszej chwili Carewe nie wiedział, co odpowiedzieć, ale potem przypomniał sobie o Atenie i zrozumiał, że musi natychmiast wyruszyć w daleką podróż, na wypadek, gdyby jej wybaczył, powodowany słabością lub szaleństwem.

- Dam sobie radę - odparł z goryczą.

W godzinę później zjeżdżał spadoszybem na parter, mając w sakwie oficjalne przeniesienie do ekipy Farmy w brygadzie antynaturystycznej. Ponieważ przed kilkoma minutami zakończył się dzień pracy, w portierni na dole było jeszcze pełno ludzi. Przyglądał się z zaciekawieniem mijającym go technikom i urzędnikom, zastanawiając się, dlaczego fakt, że wybiera się rano do Afryki, sprawia, iż wszyscy wydają mu się jacyś dziwni. Ja chyba śnię, pomyślał, za łatwo mi to przyszło...

- Się masz, Willy - rozległ się czyjś głos tuż przy jego uchu. - Czy ja dobrze słyszałem? Podobno wyrывasz się w

świat spod opiekuńczych skrzydeł Farmy? Nie mogę w to uwierzyć. Powiedz, że to nieprawda.

Obróciwszy się Carewe zobaczył zarośniętą twarz Rona Ritchiego, wysokiego blondyna, sprawnego dwudziestoparolatka, który pracował w dziale biopoezy na stanowisku młodszego koordynatora sprzedaży.

- To wszystko prawda - odparł z ociąganiem. - Nie mogłem już wytrzymać na jednym miejscu.

Ritchie zmarszczył nos i uśmiechnął się.

- Jestem z ciebie dumny, chłopie. Inni faceci w twoim wieku, którzy dopiero co się utrwalili, zabierają się za studiowanie filozofii, a ty skacząc z radości jedziesz do Brazylii.

- Do Afryki.

- W każdym razie gdzieś daleko. Chodźmy to uczcić, napijemy się, zapalimy.

- Ale... - Carewe urwał, gdyż dopiero teraz dotarło do niego, że nie ma żony ani domu, w którym mógłby spędzić wieczór. Trochę za dużo ostatnio piłem, chciałbym to ograniczyć.

- Do raję z tobą! - Ritchie objął Carewe'a ramieniem. - A czy pomyślałeś, że być może już nigdy cię nie zobaczę? Co jak co, ale dla jednego z nas jest to warte kilku toastów.

- Pewnie tak.

Carewe uważał zawsze, że nic go z Ritchiem nie łączy, ale miał do wyboru albo jego towarzystwo, albo spędzenie wieczoru samotnie. Jeszcze niedawno spodziewał się trochę, że Barenboim zaprosi go na kolację albo poświeci kilka godzin na omówienie z nim odejścia z biura - ostatecznie był przecież ważnym ogniwem największego jak dotąd przedsięwzięcia Farmy - jednakże formalności dopełniono z czarodziejską wręcz prędkością, po czym Barenboim i Pleeth zostawili go,

udając się pośpiesznie na jakieś umówione spotkanie. I chociaż wyjazd do Afryki był wyłącznie jego pomysłem, to nie wiedzieć czemu czuł się tak, jakby ktoś go spławił.

- A właściwie to chętnie bym się napił - powiedział.

- To rozumiem. - Ritchie zatarł ręce i odsłonił w uśmiechu wąski łuk zębów. - Dokąd się wybierzemy?

- Do Beaumonta - odparł Carewe, przywołując w myślach ściany w kolorze tytoniu, głębokie fotele i dziesięcioletnią whisky.

- Do rajy z takim pomysłem. Chodź, zawiozę cię w lepsze miejsce. - Ritchie chwycił koniec sącza, teatralnym gestem wymierzył nim w drzwi i ruszył pośpiesznie, jakby ciągnęła go naprzód jakaś niewidzialna siła. Na swoich szczupłych, muskularnych nogach kilkoma wielkimi krokami przemierzył portiernię przy akompaniamencie śmiechów grupki dziewcząt, które wyłoniły się właśnie z bocznego korytarza. Była wśród nich Marianna.

- Marianno, nie miałem ci jeszcze okazji o tym powiedzieć - zagadnął ją Carewe. - Jestem tu dziś ostatni dzień...

- Ja też - przerwała mu, wpijając wzrok w oddalającego się Ritchiego. - Żegnaj, Willy.

Odwróciła się obojętnie, a Carewe mimowolnie przytknął rękę do gładkiej, pozbawionej zarostu twarzy. Rozzłoszczony, przez chwilę odprowadzał ją wzrokiem, a potem ruszył szybko do drzwi, żeby dogonić Ritchiego. Jego młodszy kolega mieszkał niedaleko, w Three Springs, w związku z czym jeździł samochodem drogowym o niskim zawieszeniu, który wydał się mu dziwny w porównaniu z komfortowym, bardziej stabilnym bolidem. Carewe klapnął na fotel pasażerski obok Ritchiego i przygnębiony wyglądał przez boczne okno. Był wstrząśnięty reakcją Marianny, która nagle przestała widzieć

w nim człowieka. Zadawał sobie w duchu pytanie, czy też by się tak zirytował, gdyby naprawdę się ostudził? Atena była jego żoną, lecz w pewnym sensie spodziewał się właściwie jej przemiany, natomiast Marianna była dla niego nikim więcej, jak tylko kobietą, która dawała mu kiedyś regularnie do zrozumienia, że poleci na każde jego skinienie, lecz z jakichś nie wyjaśnionych przyczyn nabrał przekonania, że jego pozorne utrwalenie się nie wpłynie znacząco na ich przyjaźń.

- No, to jesteście na miejscu - oznajmił Ritchie wjeżdżając na parking.

- Na miejscu? Gdzie?

- W Świątyni Astarte.

- Jedź dalej - burknął Carewe. - Nawet kiedy byłem sprawny, nie ciągnęło mnie nigdy do burdeli, a...

- Nie denerwuj się, Will - przerwał mu Ritchie i wyłączył silnik turbinowy. - Nikt ci nie każe wchodzić na górę, a nie masz chyba nic przeciwko temu, żebym trochę zarobił?

Carewe znów miał wrażenie, że nim manipulują, że daje się wodzić za nos, ale wysiadł z samochodu i ruszył do wejścia Świątyni. Podeszła do nich smukła dziewczyna odziana w blask rzucany przez niebieskofioletowy świetlny naszyjnik, niosąc kasetkę na pieniądze. Obrzuciła spojrzeniem gładko wygoloną szczękę Carewe'a, natychmiast przestała się nim interesować i obróciła się do Ritchiego, który wyjął z sakwy stu-nowodolarowy banknot i wrzucił go do kasetki.

- Astarte zaprasza was do swojego przybytku - szepnęła dziewczyna i wprowadziła ich do wielkiego baru, który zajmował cały parter budynku.

- Nie rozumiem - powiedział Carewe. - Wydawało mi się, że działalność tych lokali polega na tym, że to dziewczęta płacą wam, a nie odwrotnie.

Ritchie westchnął ciężko.

- Czy wy, księgowi, zawsze jesteście tacy niepraktyczni? Oczywiście, że dziewczęta nam płacą, ale przybytek też musi mieć z tego jakiś dochód. Te sto dolców za wstęp zapewnia lokalowi ekskluzywność i pokrywa koszty utrzymania, a zresztą tacy jak ja i tak na tym zarabiają pobierając daninę od dziewcząt.

- O! A ile wynosi ta danina?

Ritchie wzruszył ramionami z rozmyślną niedbałością, przeciskając się w kierunku baru przez zatłoczony wielobarwny półmrok.

- Dwadzieścia nowych dolarów za zaspokojenie.

- Teraz rozumiem, dlaczego ten przybytek jest dochodowy - rzekł Carewe z przekąsem.

- Co to za aluzje, ty chłodnicze jajo? - zapytał ostro Ritchie. - Myślisz, że nie odzyskam tej setki? Poczekaj, to zobaczysz, wapniaku. Czego się napijesz?

- Whisky.

Ritchie dotarł do lustrzanego kontuaru i przytknął do oka autobarmana swój kredysk.

- Jedna szkocka i jedna zaprawiana - powiedział do zakratowanego otworu.

Wysunęły się dwie oszronione szklaneczki, brzeg jednej rozsiewał delikatny różowy blask, wskazując, że zawiera ona coś jeszcze oprócz alkoholu. Carewe sięgnął po niczym nie wyróżniającą się szklaneczkę i popijając uśmierzający troski trunk niek rozejrzał się krytycznie wokół siebie. Większość otaczających go osób stanowili sprawni w różnym wieku. Hostessy, strojne w świetlne naszyjniki, krążyły między stolikami i kabinami niczym kolumny zastygłych płomieni. Na sali znajdowało się też kilku ostudzonych, ubranych, jak spostrzegł z ulgą, cał-

kiem zwyczajnie i rozmawiających z kompanami z pozoru najnormalniej w świecie.

- Bądź spokojny, Willy - odezwał się Ritchie, jakby czytał w myślach Carewe'a. - To normalny lokal, nikt cię tu nie będzie nagabywał.

Wątpliwości, jakie ogarnęły Carewe'a na myśl o spędzeniu całego wieczoru w towarzystwie Ritchiego, raptem przybrały na sile.

- Nie jestem szczególnym zwolennikiem zakazów ze społecznego punktu widzenia - rzekł obojętnie - ale czy nigdy nie słyszałeś, że niesprawni mężczyźni nie znoszą, kiedy zalicza się ich do potencjalnych homoseksualistów?

- Przepraszam, profesorze. A co ja takiego powiedziałem?

- Dlaczego miałyby mnie ktoś nagabywać?

- Mówiłem już, że przepraszam. - Ritchie jednym haustem wychylił prawie całą szklaneczkę i uśmiechnął się. - Nie gorączkuj się tak, wapniaku, ja uważam, że wszystkie zakazy trzeba łamać. To jedyny inteligentny sposób na życie.

- Wszystkie zakazy?

- A jak.

- Jesteś pewien?

- Jak najbardziej. - Ritchie odstawił szklaneczkę. - Napijmy się jeszcze po jednym - zaproponował.

- Masz, skosztuj tego, ledwie napocząłem.

To mówiąc, Carewe odciągnął w pasie spodnie Ritchiego i wlał mu zawartość swojej szklaneczki, po czym puścił elastyczny materiał, który z trzaskiem powrócił na miejsce.

- Co u...? - wykrztusił Ritchie, któremu słowa uwięzły w gardle. - Co robisz?

- Łamię zakaz dotyczący wlewania alkoholu komuś w

spodnie. Ja też chcę inteligentnie żyć.

- Czyś ty oszalał? - Ritchie spojrział na moką plamę wędrującą w dół po jego szczupłych nogach, a potem z rosnącym gniewem, zaciskając pięści, podniósł wzrok na Carewe'a. - Za to, coś zrobił, stłukę cię na kwaśne jabłko.

- Tylko spróbuj - odparł Carewe z powagą. - Ale pamiętaj, że wtedy stracisz te sto nowych dolarów, które zapłaciłeś za wstęp.

- A więc chłopcy nie mylili się co do ciebie.

- Jak to?

- A tak to. Że jesteś tak samo podejrzany jak zegarek za dwa dolary. - Ritchie przysunął raptownie twarz do twarzy Carewe'a. - Wszyscy wiemy, dlaczego Barenboim tak cię winduje w górę. Gdzieście się obaj podziewali, kiedy wyjechaliście niby to do Pueblo?

Carewe, który w całym swoim dorosłym życiu nigdy jeszcze nikogo nie skrzywdził, uderzył Ritchiego pięścią w szyję. Wprawdzie zadał ten cios niefachowo, ale wyższy od niego Ritchie zwałił się na kolana chrypiąc przeraźliwie i z trudem chwytając oddech. Ni stąd, ni zowąd z wirującego półmroku wyłoniła się grupka krzepkich kobiet w skórzanych hełmach na głowach. Chwyciły Carewe'a za ręce i wyprowadziły go z baru. W hallu przytrzymało go przez chwilę nieruchomo przed teledetekтором, żeby komputer zapamiętał jego twarz i wciągnął do rejestru niepożądanych gości, a potem sprowadzono go po schodach na dół i puszczono wolno. Wchodzący do świątyni mężczyźni dawali wyraz żartobliwym domysłom, z jakiego to powodu wyrzuca się z burdelu ostudzonego, ale nie wprawiło go to wcale w zakłopotanie. Od dłuższego czasu wzbierała w nim chęć uderzenia kogoś i był wdzięczny Ritchiemu za to, że dał mu pretekst. W prawej ręce jako

wspomnienie zadanego ciosu pozostało mu mrowienie podobne do elektrycznych impulsów i w myślach niemal pogodził się z Ateną.

Dopiero znacznie później, kiedy przebrał miarę w picu whisky, zaczęła go gnębić myśl o tym, że Ritchie - w końcu dość daleki znajomy - wyrażał się tak, jakby wiedział o jego „potajemnych” konszachtach z Barenboimem. A przecież zarówno Barenboim, jak i Pleeth dołożyli wszelkich starań, żeby nie dopuścić do przecieku informacji wskazujących na związek Carewe'a z E.80. Czyżby popełniono jakiś błąd?

Kiedy zapadał w sen, widział przed sobą najeżone niebezpieczeństwami stulecia, a potem znów śniło mu się, że ma ciało ze szkła.

Rozdział szósty

Poranne niebo nad lotniskiem, jasne, czyste i bezchmurne, jeśli nie liczyć ogromnego słupa mgły otaczającej tunel wyciszonych startów, raziło oczy. Stosunkowo ciepłe powietrze tuż nad ziemią przedostawało się do niego wskutek niedoskonałości tworzącego go pola magnetycznego i wznosiło szybko do góry, przeobrażając tunel w niewidzialny silnik odrzutowy, wyrzucający gazy w górne warstwy atmosfery. Carewe, który przybył na lotnisko wcześniej, obejrzał start kilku samolotów, które kołowały do podstawy słupa z chmur, wznosiły się pionowo i znikaly. Wytężał wzrok, żeby dojrzeć, jak wyskakują u góry i ustawiają się na kursie, lecz od patrzenia w jaskrawe niebo rozboleły go oczy i musiał zrezygnować.

Przekonał się, że zrobił źle przyjeżdżając wcześniej na lotnisko. Krótkotrwałe dobroczynne skutki wypitego wczoraj alkoholu ustąpiły, pozostawiając mu w zamian złe samopoczucie, a w dodatku miał za dużo czasu na rozmyślania o najbliższej przyszłości. Było całkiem możliwe, że jeszcze tego popołudnia weźmie udział w akcji bojowej brygady antynaturystycznej. Ilekroć nawiedzała go ta myśl, wstrząsała nim z jednakową siłą, wpatrywał się więc w odległe szczyty Gór Skalistych z mieszanymi uczuciami nostalgii i rozgoryczenia. Nie chcę jechać do Afryki, myślał. A zwłaszcza nie chcę mieć do czynienia z żadnymi naturystami. Co ja tu robię? I nagle obudził się w nim znów gniew i wściekłość na Atenę.

Klnąc zawzięcie pod nosem ruszył w stronę rzędu budek wideofonicznych, ale przypomniało mu się, że nie ma jej nic do powiedzenia. Co do praktycznych spraw domowych, mógłby wprawdzie zakomunikować jej, że wyjeżdża za granicę, ale przecież wiadomo było, że kiedy komputer Farmy wprowadzi

spowodowane jego wyjazdem zmiany w systemie kredytowania, to automatycznie ją o tym powiadomi. Co zaś do spraw uczuciowych, to miał ochotę jej powiedzieć: „Zobacz, co zrobiłaś. Przez ciebie jadę do Afryki, gdzie mogę zginąć z rąk jakiegoś naturysty”. Ale nie było mu dane przeżyć nawet tego dzieciennego katharsis, po trosze z powodu dumy, a po trosze dlatego, że osoba, której chciał to powiedzieć, dawna Atena, przestała istnieć. Co mógł zyskać na rozmowie z wrogo patrzącą na niego nieznajomą, która zamieszkiwała teraz ciało Ateny? Uzmysłowił sobie, że szczycił się kiedyś swoim staroświeckim, dziwnym monogamicznym małżeństwem - związkim, który przetrwał jego rzekomą impotencję zaledwie o kilka godzin. Nawet sposób, w jaki zakomunikowała mu tę nowinę, mówił sam za siebie. Nie widać było po niej żadnych oznak żalu ani innych uczuć, z wyjątkiem pogardy dla tego bezpłciowego przedmiotu, który był niegdyś jej mężem. I to po kilku godzinach! Po kilku zasranych...

Spostrzegł nagle, że ludzie w poczekalni dla odlatujących przypatrują mu się uważnie. Przestał więc zaciskać ręce na sakwojażu i posłał wymuszony uśmiech ubranej na różowo kobiecie, która siedziała w pobliżu, trzymając na kolanach niemowlę. Nie zareagowała, tylko się w niego wpatrywała, aż wreszcie odwrócił się i podszedł do automatu z herbakawą. Obrócił tarczę zamawiając bańkę gorącego płynu. Popijając go w roztargnieniu doczekał się zapowiedzi swojego lotu, wszedł na ruchomy chodnik i stanął obok innych lecących na wschód pasażerów. Pierwsze drgniecie chodnika, przypominające o rozpoczęciu podróży, na nowo zdjęło go panicznym lękiem. Zmusił się do rozluźnienia mięśni i zaczął miarowo oddychać, co robił aż do wejścia na pokład odrzutowca, gdzie jego uwagę mogła odwrócić troska o własne bezpieczeństwo podczas lotu.

W ciągu czterdziestu lat swojego życia odbył bodaj tysiąc podróży samolotami liniowymi i nie przypominał sobie ani jednej, w trakcie której nie dostrzegłby jakiejś drobnostki, lecz potencjalnie śmiertelnej usterki w samej maszynie lub w jej wyposażeniu. Mógł to być ledwie wyczuwalny swąd tłęcej się izolacji, wilgotny ślad na szwach zbiornika na skrzydle albo jakiś niezwykły ton w szumie silnika - drobiazgi, na które zapewne nie zwróciłby uwagi zblazowany zawodowiec, ale które aż nazbyt rzucały się w oczy wyczulonemu inteligentnemu dyletantowi. Tym razem nie podobała mu się butelka ze sprężonym gazem, która w przypadku katastrofy spowodowałaby wyskoczenie z oparcia fotela przed nim wielkiego plastikowego balonu stanowiącego pneumatyczne zabezpieczenie przed wstrząsem. Butelka wydawała mu się lekko przekrzywiona w stosunku do końcówki wylotowej, co skłaniało do podejrzeń, że uszczelka odkształciła się, a gaz ulotnił.

Miał właśnie spytać stewarda, jak często przeprowadza się kontrolę butelek z gazem, kiedy miejsce obok zajęła jakaś pasażerka. Była ubrana na różowo i bezskutecznie próbowała odczepić szelki nosidełka, w którym znajdowało się dziecko. Poznał, że jest to ta sama kobieta, która wcześniej siedziała w pobliżu niego w poczekalni.

- Pani pozwoli - zwrócił się do niej z rozmyślnie starodawną uprzejmością. Uwolnił skraj jednej z plastikowych przypinanych osłon nosidełka od sprężynowego zapięcia na szelce, które bez trudu puściło.

- Dziękuję - powiedziała pasażerka.

Wyjęła milczące niemowlę z nosidełka i posadziła je sobie na kolanach. Carewe złożył nosidełko i wsunął je pod siedzenie, a potem zagłębił się w fotelu zastanawiając się, czy

zwrócić sąsiadce uwagę, że zapięcie na szelce wygląda niebezpiecznie słabo. Ostatecznie postanowił, że tego nie robi - pasażerka odnosiła się do niego z wyraźną nieufnością, wręcz wrogo - mimo to nie przestawał myśleć o tym, jak dziwne wydało mu się w dotyku stalowe okucie. W jednym miejscu metal był cienki jak papier, tak jakby - gdzieś z głębi świadomości wyłoniła się niepokojąca myśl - jakby używano go od bardzo, bardzo dawna. Nowoczesne gatunki stali służyły wiele dziesiątków lat, zanim...

Odgarnął włosy z czoła i pod osłoną tego gestu zerknął z ukosa na nieznaną. Jej blada twarz o regularnych rysach wydawała się normalna i opanowana, więc trochę się uspokoił, niemal wstydząc się tego, co sobie przed chwilą pomyślał. Kiedy przed dwustu laty stały się dostępne udoskonalone biostaty, władze szybko ustaliły, gdzie kryje się główna możliwość ich nadużywania. Tak surowo karano nielegalne aplikowanie biostatów osobom niepełnoletnim, że praktyki te były właściwie nieznane, choć na samym początku odnotowano erupcję przykrych i dziwacznych przypadków. Najczęstsze i najtrudniejsze do wyplenienia okazały się przypadki nadużycia biostatów, jakich dopuszczali się rodzice w stosunku do własnych dzieci. Zapatrzone w swoje pociechy matki, często takie, które się nie nadawały do przedłużanego w nieskończoność życia, próbowały zatrzymać czas w miejscu unieśmiertelniając swoje dzieci, kiedy te były jeszcze małe. Wraz z wprowadzeniem czynnika niezmienności do mechanizmu reprodukcji komórek rozwój fizyczny dziecka ulegał zatrzymaniu. Podobnie działało się z jego rozwojem umysłowym, ponieważ fałdowanie mózgu, konieczne dla zwiększenia powierzchni kory mózgowej, stawało się niemożliwe. Dziecko „zamrożone” na zawsze w wieku trzech lat mogło stać się z

czasem wyjątkowo rozgarnięte, nawet uczone, ale mając zamkniętą drogę do wyższych funkcji umysłowych, pozostawało w gruncie rzeczy wiecznym dzieckiem.

Zdarzały się również przypadki nadużywania biostatów z pobudek czysto handlowych. Do najgłośniejszych należała sprawa St Johna Searle'a, śpiewającego chłopca o sopranowym głosie, którego rodzice „zamrozili”, kiedy miał jedenaście lat, z tego tylko powodu, że był jedynym żywicielem rodziny. Ten wypadek, jak i spora liczba młodziutkich aktorów, którzy zostali podejrzenie infantylni, przyczyniły się do wprowadzenia surowych przepisów prawnych oraz ścisłej kontroli produkcji i dystrybucji biostatów. Legalne podanie środka osobie niepełnoletniej zdarzało się jedynie w rzadkich przypadkach nieuleczalnej choroby. Zapewniając organizmowi chorego dziecka niezmienność, ratowało się je od przedwczesnej śmierci, co jednak nie rozwiązywało moralnego problemu, polegającego na tym, że choroba zatrzymywała się i utrwałała. Nawet wtedy, gdy późniejszy postęp w medycynie zapewnił śmiertelnym odpowiednie leki, cierpiące na tę samą chorobę dziecko nieśmiertelne pozostawało nieuleczalnie chore, ponieważ obraz jego ciała został zakodowany w komórkach raz na zawsze.

Jeszcze jednym z początkowych problemów było używanie biostatów do niewłaściwych celów. Podczas wstępnej gorączkowej rywalizacji między producentami, kiedy z dnia na dzień zbijano fortuny usiłując jak świat długi i szeroki ratować wszystkich chorych stojących u progu śmierci, okazywało się, że niektórzy ludzie obdarzają nieśmiertelnością swoje psy i koty. Wprowadzone z czasem ustalenia prawne przewidywały ograniczone użycie biostatów przez weterynarzy, ale wyścigi konne i inne dziedziny, w których prawdziwy wiek zwierząt

odgrywa ważną rolę, przeżyły trzęsienie ziemi. Dzięki temu, że biostaty doprowadzają każdy normalnie zdrowy organizm do wyśmienitego stanu, zrodziła się moda na mięso nieśmiertelnych krów, owiec i świń, która na dobrą sprawę nigdy całkiem nie zniknęła, nawet pod koniec dwudziestego drugiego wieku... •

Czując na sobie czyjeś spojrzenie, Carewe obrócił głowę. Dziecko siedzące na kolanach pasażerki odwinęło się samo z kocyka i jego różową, lalkowatą buzię oświetlało teraz jaskrawe światło wpadające przez okna samolotu. Dwoje błękitnych oczu - mądrych, choć przecież uwięzionych w stanie permanentnej psychozy przez dziecięcą niezdolność odróżniania swojego „ja” od świata zewnętrznego - wpatrywało się pocieszenie w Carewe'a. Cofnął się instynktownie, kiedy niemowlę wyciągnęło do niego pulchną rączkę. Spostrzegając nagle jego reakcję, matka przycisnęła dziecko do piersi. Popatrzyła mu przez chwilę zaczepnie w oczy, po czym jej spojrzenie zesłiznęło się z Carewe'a i spoczęło gdzieś na horyzoncie prywatnego wszechświata, do którego nie miał wstępu żaden mężczyzna.

Sześciomiesięczne dziecko, pomyślał w popłochu. Niemowlę wyglądało na sześć miesięcy, ale całkiem możliwe, że miało tyle lat co on. Przez krótką chwilę wsłuchiwał się w narastający jęk silników samolotu, a potem wstał pośpiesznie z fotela i przeszedł do tyłu w poszukiwaniu wolnego miejsca. Jedyne nie zajęte znajdowało się obok stanowiska stewarda pokładowego. Carewe opadł ciężko na wolny fotel i siedział postukując palcem w zęby.

- Podziałała panu na nerwy, co? - spytał współczująco steward.

- Kto?

Steward ruchem głowy wskazał przód samolotu.

- Pani Denier, Latająca Holenderka - wyjaśnił. - Czasem myślę, że powinna płacić za dwa bilety.

- Zna ją pan?

- Wszyscy, którzy latają na trasie do Lizbony, znają panią Denier.

- Często podróżuje? - spytał Carewe, starając się okazać tylko lekkie zaciekawienie.

- Nie tyle często, ile regularnie. Co roku na wiosnę. Podobno trzydzieści lat temu rozbił się na tej trasie samolot, którym leciała ona, jej mąż i dziecko. Mąż zginął.

- O! - powiedział Carewe i pomyślał, że nie chce już nic więcej wiedzieć. Odetchnął głęboko powietrzem pachnącym plastikiem i wyjrzał przez okno. Samolot właśnie ruszał.

- Odsiedziała dziesięć lat za wstrzyknięcie biostatu dziecku i od tamtej pory nie ma wiosny, żeby się nie pojawiła.

- Niesłychana historia.

- Podobno chce w ten sposób wskrzesić przeszłość albo szuka takiej samej śmierci, ale ja w to nie wierzę. Ma pewnie jakiś interes po tamtej stronie oceanu. Kobiety tak długo nie rozpaczają.

Samolot dotarł na środek tunelu startowego i wycie silników osiągnęło wyższy ton. Tej fazy lotu Carewe nie znosił najbardziej - kiedy maszyna zaczynała się wznosić, nie miała dostatecznej prędkości, a pilot czasu na reakcję, żeby ją ratować, gdyby nawaliły silniki. Chciał oderwać się myślami od latania.

- Przepraszam - rzekł. - To te silniki.

- Mówiłem, że kobiety nie obnoszą się z żałobą aż tak długo.

- Jak długo?

- Z tego co słyszałem, najkrócej trzydzieści lat. Wierzyć się nie chce, prawda?

Carewe potrząsnął głową, myśląc o przetartym zapięciu nosidełka. Niemożliwe, żeby do tego stopnia się zużyło w ciągu trzydziestu lat. Wchodząc w atmosferę samolot zakołysał się podejrzenie i Carewe, przytrzymując się poręczy fotela, zadał sobie w duchu pytanie, czy przypadkiem w tym roku pragnienie pani Denier się nie spełni.

Rozdział siódmy

Było późne popołudnie, kiedy wahadłowiec Wspólnarodów z Kinszasy, śmigając z niemal balistyczną prędkością w kierunku północno-wschodnim, przeleciał nad luźnymi zabudowaniami miejscowości okręgu Nouvelle Anvers i zatoczył łuk w stronę leśnej polany.

Kiedy tego samego dnia, tylko wcześniej, Carewe leciał samolotem liniowym z Lizbony, przyglądał się z nadzieją rosnącym z rzadka drzewom i krzewom, które nadawały północnoafrykańskiej sawannie sielankowy wygląd. Miał bardzo blade pojęcie o tym, gdzie stacjonuje brygada antynaturystyczna, której Farma na mocy kontraktu dostarczała leków, i gdyby okazało się, że gdzieś na terenie przypominającej park sawanny, to najbliższe kilka miesięcy zapowiadałoby się nie najgorzej, niemalże przyjemnie. Jednakże krajobraz powoli ulegał zmianie i w tej chwili wahadłowiec pędził nad wiecznie zieloną dżunglą, wyglądającą tak, jakby mógł w niej zaginąć bez śladu nie tylko on sam, ale i cała ludzkość. Jego nastrój rozpaczy i samopotępienia jeszcze się pogłębił. Powinien był porzucić szaleńczy i melodramatyczny pomysł wstąpienia do brygady antynaturystycznej tamtego szarego ranka, nazajutrz po zerwaniu z Ateną. Służba w brygadach odbywała się na zasadzie dobrowolności, więc gdyby się wycofał, zrobiłoby to na niej jeszcze mniejsze wrażenie niż jego pierwotna decyzja, żeby do nich wstąpić. To był właśnie cały on - kiedy sytuacja wymagała zdecydowania, on się potulnie dostosowywał, kiedy zaś zwykły rozsądek nakazywał uległość, wówczas na przekór logice pozostawał nieugięty.

Gdy wahadłowiec brał zakręt w sennym, żółtym powietrzu, Carewe widział przez chwilę w odległości kilku kilome-

trów na północ przedziwnie zlokalizowaną burzę. Zdążył tylko spojrzeć wysoko w niebo, gdzie wykrył ledwie dostrzegalne naprężenie pól sterowania pogodą, i zaraz potem strzeliły w górę drzewa, zasłaniając mu widok. Wahadłowiec wylądował na końcu polany i warkot silników ustał. Carewe rozpiął pasy bezpieczeństwa, wstał i ruszył do wyjścia za czwórka pozostałych pasażerów, brodatych, milkliwych sprawnych. Tamci zeszli po schodkach na przygniecioną trawę, gdzie czekał na nich samochód terenowy, który ich powiózł w stronę prześwitu między drzewami, i Carewe został sam, czując się kompletnie zagubiony. Wyglądał właśnie przez właz, wdychając przesycone wilgocią obce powietrze, kiedy z komory na dziobie wyszła pilotka - krzepka blondynka w niebieskim uniformie Wspólnarodów. Popatrzyła na niego z ironicznym współczuciem, za co był jej głęboko wdzięczny.

Kiwnął głową wskazując palisadę drzew i spytał:

- Może mi pani powiedzieć, którą drogą do najbliższej cywilizacji?

- A pan kogo reprezentuje? Farmę? - spytała pilotka z akcentem zdradzającym, że jest albo Angielką, albo Australijką.

- Farmę - potwierdził, podniesiony na duchu faktem, że usłyszał nazwę swojej firmy w zupełnie mu nie znanym otoczeniu.

- Proszę się nie martwić, lada chwila tu będą, przywiozłam coś dla nich. Radzę panu usiąść i odpocząć do przyjazdu ciężarówki. Tu jest taka wilgoć, że człowiek raz-dwa pada z nóg. - Spojrzała na jego pozbawioną zarostu szczękę i ściągnęła bluzkę odsłaniając delikatnie umięśniony, lecz bardzo kobiecy tors. - W przyszłym tygodniu wracam do Laponii, więc póki mogę, korzystam z darmowej witaminy D - wyjaśniła.

Rzuciła bluzkę na fotel i usiadła na schodkach wahadłowca robiąc głęboki wdech, tak jakby chciała maksymalnie wystawić piersi na działanie promieni słonecznych.

Carewe'owi serce waliło jak młotem - me przewidział wszystkich następstw udawania ostudzonego. Światowa moda ulegając kolejnemu okresowemu wahnięciu odeszła wprawdzie od eksponowania kobiecej nagości, ale kobiety z reguły nie przestrzegały od dawna przyjętych norm obyczajowych, ilekroć znalazły się w towarzystwie niesprawnych mężczyzn.

- Poczekam w środku - powiedział. - Mam skórę wrażliwą na słońce. Usiadł zdumiony wrażeniem, jakie wywarła na nim niezbyt atrakcyjna dziewczyna. Wnętrze wahadłowca rozgrzało się i Carewe zamknął oczy. Czuł się trochę winny, że oszukał pilotkę, i to zapewne podziałało na niego jak katalizator...

Nie wiadomo, ile czasu upłynęło do chwili, kiedy zbudził go trzask samochodowych drzwiczek. Podszedł do wjazdu i zszedł po schodkach na zdeptaną trawę, gdzie ubrana znów pilotka rozmawiała cicho z niskim mężczyzną, który muskularnymi, spadzistymi barami przypominał ciężarowca. Przybysz miał brzuch, który wypychał cienką tkaninę jego munduru polowego Wspólnarodów, i choć siwiał już i łysiał, to twarz okalał mu srebrzysty zarost, zaświadczając wszem i wobec o jego sprawności.

- Nazywam się Feliks Parma, jestem szefem transportu - przedstawił się Carewe'owi tubalnym głosem ze szkockim akcentem. - Przepraszam za spóźnienie. Komputer zapowiedział pański przyjazd, ale trochę zasnęłam. Musiałem dojść do siebie po wczorajszym.

- Nic się nie stało - odparł Carewe. Zszedł na dół i uściśnął podaną mu rękę, boleśnie świadom kpiny malującej się w

niebieskich oczach przybysza, przyglądającego się uważnie jego twarzy. Ubodło go, że choć wokół Parmy unosi się słodki, zawieszony odór potu, to właśnie z jego powodu pilotka nałożyła z powrotem bluzkę. - Pracował pan do późna? - spytał.

- Powiedzmy, że pracowałem. - Krótką pantomimą Parma dał do zrozumienia, że pił, i uśmiechnął się. Carewe zauważył siatkę żyłek na jego perkatym nosie. - A pan? Lubi pan sobie golnąć?

- Zdarza się. Przy ważnych okazjach. - Carewe poczuł rodzącą się w nim sympatię do tego fizycznie wyniszczzonego sprawnego, który przyjechał nie wiadomo skąd i rozmawiał z nim językiem w pełni zrozumiałym. Zachodził w głowę, czemu Parma dopuścił do tego, żeby tak się posunąć w latach, i się nie ostudził, lecz pod każdym innym względem potrafił zobaczyć w nim przyjaciela.

- Był pan już kiedyś w Afryce?

- Nie.

- W takim razie jest to ważna okazja. Co ty na to, Williamie?

- Nieważne są tylko te, których nie ma - odparł Carewe, zadając sobie w duchu pytanie: „Dlaczego Atena to zrobiła?”

- Napijemy się - oznajmił Parma takim tonem, jakby podejmował ważką decyzję. - Pomóż mi nosić skrzynki.

W czasie gdy Carewe przenosił z nim od drzwi komory towarowej wahadłowca do ciężarówki kilkanaście hermetycznie zamkniętych pojemników, pilotka czesała się siedząc na schodkach dla pasażerów. Zastanawiał się, czy to też robi ze względu na Parmę - w świecie, w którym dojrzałe kobiety tak znacznie przewyższały liczbą sprawnych mężczyzn, zdarzało mu się widywać jeszcze bardziej zaskakująco skojarzone pary. Po przetransportowaniu wszystkich skrzyń Parma pomachał

pilotce niedbale ręką na pożegnanie i wskoczył na fotel kierowcy.

- Jedziemy, Williamie - mruknął. - Dziewczyna jest niczego sobie, ale skoro mamy się napić, to nie traćmy czasu. - Uruchoił ciężarówkę i po jechali trzęsąc się i podskakując przez polanę. Oglądając się za siebie, żeby po raz ostatni spojrzeć na pilotkę, Carewe ponownie dostrzegł oddaloną o kilki kilometrów burzę o dziwnie ograniczonym zasięgu - kłębiastą kolumn pylistych szarości i groźnych purpur, która rysowała się na tle zachodzącego słońca jak grzyb po eksplozji atomowej.

Carewe dotknął ręki Parmy i wskazując to zjawisko, spytał:

- Co tam się dzieje?

- To właśnie nasza akcja bojowa - odrzekł Parma. Ciężarówka skręcił; raptownie i wjechała w ciemniejącą już drogę wyciętą w obojętnym lesie. - Tam pracujemy.

- Nie rozumiem. Widziałem przed lądowaniem pola sterowania pogodą ale... Ściąganie takiej ilości wody znad Atlantyku musi kosztować majątek.

- Opłaca się. Ta burza jest zlokalizowana dokładnie nad wioski naturystów. Od trzech tygodni. Oficjalnie jest to fragment akcji zmniejszani; wilgotności powietrza w tym rejonie Afryki, ale prawdziwy jej powód jest inny.

- Trzy tygodnie bez przerwy? - spytał Carewe z konsternacją. - Co się w takim razie dzieje z ludźmi na dole?

- Mokną i miękną - odrzekł Parma ze śmiechem i splunął przez boczne okno.

- I chorują.

- I chorują - przyznał bez wahania Parma. - Gdybyś już kiedyś się tym zajmował, na pewno wolałbyś urządzać obławę na chorych niż na zdrowych naturystów. W tym cała rzecz.

- Powinien być jakiś lepszy sposób.

- Owszem, jest: gaz. Albo pył. Użycie jednego lub drugiego byłoby łatwiejsze, szybsze i tańsze, ale Konwencja Helsińska wiąże nam ręce. Naturysta może cię zabić i nikt nic na to nie powie, ale spróbuj tylko choćby drasnąć jednego z nich strzałą, a napytasz sobie biedy. - Parma włączył światła, żeby rozproszyć gęstniejący szybko mrok i drzewa po obu stronach jakby zwały szeregi. - Widziałeś już kiedyś trupa?

- Ależ skąd - zaprzeczył prędko Carewe. - Domyślam się, że desze demoralizuje tych ludzi.

- I o to chodzi. Zaczyna się od tego, że garstka tubylców oddziela się od szczepu i zmienia w naturystów. Budują osobną wioskę i żyją z grabieży, jak za dawnych dobrych czasów. Z początku wszystko się układa, ale z czasem zamieszkujący tę okolicę normalni rozsądni nieśmiertelni mają tego dość i zwracają się do nas ze skargą. My jednak nie wkraczamy od razu i nie walczymy z nimi. Przestaliśmy to robić. Najpierw nasze krzepkie dzikusy spostrzegają, że ni stąd, ni zowąd robi się piekielnie mokro, a po kilku tygodniach ulewnego deszczu w środku lata dochodzą do wniosku, że obrazili kogoś tam, na górze. No, a potem już zwykle bez trudu udaje się ich namówić, żeby dołączyli do babskiego społeczeństwa.

Carewe spojrział na Parmę, który z profilu żywo przypominał Hemingwaya.

- Z kim ty właściwie trzymasz?

- Na pewno nie z naturystami. Ich sprawa, że wolą żyć krótko, ale wesoło, przelewając krew, pot, spermę i te rzeczy, ale nie powinni zabijać innych. To niedopuszczalne, niedopuszczalne do tego stopnia, że usprawiedliwia podważanie ich wiary w to, że po zimie następuje lato.

Na odległym krańcu prostej jak strzała drogi zamigotały

pierwsze światła.

- Dobrze, że twórcy Konwencji Helsińskiej nie przewidzieli użycia pogody jako broni - powiedział Carewe.

- Czyżby? - Parma roześmiał się. - Moim skromnym zdaniem nie wprowadzono takiego zakazu tylko dlatego, że sterowanie pogodą jest jedynym współczesnym powszechnie i stale stosowanym rodzajem broni. Słyszałeś kiedyś o zamieszkach na Kubie podczas trzyletniej suszy w poprzednim stuleciu? Nie mówiono o tym głośno, ale założę się, że Stany już wtedy umiały sterować pogodą i wykorzystały to.

- Mówiłeś przecież...

- Mówiłem o dzisiejszych czasach. Wystarczy dysponować odpowiednimi środkami, żeby skonstruować większe pola sterowania pogodą i komputery takiej jakości, że obliczą ci wzajemne oddziaływanie na siebie różnych czynników, i już jest wszystko gotowe do prowadzenia wojny, cichcem, podstępnie i zdradziecko. Można niszczyć innym państwom zbiorry, doprowadzać do powodzi albo wywoływać takie upały, duchotę i parność, że ludzie cheszący się z przedziałkiem po prawej zaczynają zabijać ludzi cheszących się z przedziałkiem po lewej. O, to jest dopiero wojna, Williamie.

- Nadal nie wiem, z kim właściwie trzymasz.

- Mniejsza o to, robię, co do mnie należy. Nazywają mnie Parmą z Farmy.

Widoczne w przodzie światła raptem się rozrosły, bo ciężarówka dotarła do następnej polany otoczonej pierścieniem prefabrykowanych budynków rozmaitej wielkości. Parma zatrzymał się przed ostatnim z domków, których dwa rzędy tworzyły minaturową uliczkę wychodzącą na ciemny las.

- Twoja chata - wyjaśnił Parma. - Dopiero dziś po południu ją złożyliśmy i nie ma jeszcze instalacji, ale możesz tu na

razie wrzucić swój bagaż. Pojedziemy do naszego klubu, a chłopcy tymczasem dokończą robotę.

Carewe nie był całkiem przekonany.

- Chciałbym się trochę odświeżyć - powiedział.

- Zrobisz to w klubie. Chodź, wódka czeka, czas ucieka.

Carewe wysiadł, otworzył drzwi domku i wstawił swój sakwojaż do środka, w pachnące żywicą ciemności. Zaledwie dwadzieścia cztery godziny temu rozpoczynał z Ritchiem obcą mu jako doświadczenie kawalerską bibkę, liczył więc, że ten wieczór nie będzie podobny do tamtego. Co też porabia teraz, właśnie w tej chwili, Atena? - zadał sobie w duchu pytanie. Znów odczuwając samotność, wrócił do ciężarówki, która zawiozła go przez polanę do stosunkowo dużej geokopuły, gdzie mieścił się klub. W okrągłym wnętrzu, którego środek zajmował bar, panowała atmosfera typowa dla przykładowej świetlicy. Na sprężystej segmentowej podłodze porozstawiano składane stoliki i krzesła, a na tablicy ogłoszeń wisały przeróżne karteczki i karteluszkę, niektóre bez wątplenia urzędowe, inne, z zapałem ozdobione przez jakiegoś rysownika amatora, zapowiadały szykujące się wkrótce atrakcje. Mimo, że było tu ciepło, Carewem wstrząsnął dreszcz. Po powrocie z toalety zastał Parmę przy stoliku, a przed nim dwa półlitrowe kufle piwa.

- Przed ósmą nic innego nie podają - wyjaśnił Parma. - To podobno ze względu na takich jak ja, żebyśmy nie schlali się od razu jak świnie. - Uniósł kufel i ostentacyjnie jednym haustem wychylił go do dna. - Nie dość, że niedemokratyczne, to w dodatku naiwne.

Carewe skosztował piwa. Było zimne i miało przyjemny, cierpki smak, więc bez zastanowienia poszedł w ślady Parmy, mrużąc oczy, kiedy zapiekło go w gardle.

- Podoba mi się, jak wychylasz swoją kwartę - rzekł Parma, używając słowa oznaczającego dawną miarę objętości płynów, które stało się hasłem rozpoznawczym wśród trunkowych. - Zamów drugą kolejkę.

Carewe wziął kolejne dwa kufle od barmana, ostudzonego faceta, który obsługiwał klientów z tak znudzoną miną i tak niezręcznie, jakby chciał w ten sposób dać do zrozumienia, że w dzień ma inne, ważniejsze zajęcie. W klubie było pustawo, ale kiedy Carewe rozejrzał się po sali, ze zdziwieniem stwierdził, że wśród obecnych przeważają ostudzeni. Przypomniało mu się, że Parma nie wspomniał słowem o jego wyglądzie wskazującym na ostudzenie i potraktował go z bezstronną męską serdecznością, co podziałało kojąco na jego podrażnioną dumę. Zastanawiał się przez chwilę, czy gdyby naprawdę się utrwalił, to łatwiej byłoby mu się pogodzić ze zmianą zachowania kolegów z biura.

- Nie spodziewałem się, że w tej branży działa tylu ostudzonych - powiedział stawiając kufle na stole. - Co oni tu robią? Chcą być lepsi, niż są?

- Nie mam pojęcia - odrzekł obojętnie Parma. - Ja robię tylko to, co do mnie należy.

Opróżnił kufel do połowy, porysowanym żyłkami nosem z determinacją bodąc pianę, i Carewe poczuł rosnącą sympatię do starszego od siebie mężczyzny. Usiadł i zabrał się ostro do swojego piwa, którego było jakby więcej niż poprzednio. Kolejne piwa, pite później tego wieczoru, wydawały mu się coraz większe, lecz wystarczyło podnieść kufel do ust, żeby jego zawartość w cudowny sposób zniknęła. Kiedy Carewe, niedoświadczony piwosz, dziwił się w duchu tej nowo odkrytej umiejętności, okrągła sala po trochu wypełniała się, rozbrzmiewając gromkim gwarem, a następnie rozchwiała się

wokół niego i rozkołysała. Ludzkie twarze zmieniły się w dwuwymiarowe nic nie znaczące maski, a potem razem z Parmą znalazł się za drzwiami potykając się w ciemnościach. Nie umiałyby odnaleźć drogi do swojego domku, ale Parma odprowadził go pod same drzwi. Bez słowa uściśnął mu rękę i powłócząc nogami odszedł w mrok.

Czując, że musi się natychmiast położyć, Carewe otworzył drzwi i pstryknął przełącznikiem światła. Wnętrze domku pozostało ciemne i wtedy jego przyćmiona alkoholem pamięć podpowiedziała mu, że tego wieczora technicy mieli skończyć prace instalacyjne. Zaglądając poprzednim razem do domku dokładnie na wprost drzwi zauważył tablicę klimatyzacyjną. Ruszył teraz po omacku w jej kierunku, z rękoma wyciągniętymi przed siebie, aż poczuł pod palcami gładki, plastikowy główny przełącznik. Dał się on bez trudu przestawić i domek zalało światło - wtedy dopiero zobaczył, że na tablicy brak zabezpieczającej ją osłony.

Przez chwilę z bijącym sercem wpatrywał się tępo w szereg końcówek pod wysokim napięciem, w które byłby wetknął palce, gdyby nie wyjątkowo szczęśliwe zrządzenie losu. Niezdolny zdziwić się ani rozgniewać, podszedł powoli do łóżka i położył się.

Wkrótce zasnął, ale we śnie jego kruchemu szklanemu ciału zagrażały wielkie maszyny z wałami korbowymi, których ślepa siła mogłaby go rozetrzeć na roziskrzony pył.

Rozdział ósmy

Poranne promienie słońca przekłuły powieki Carewe'a. Podniósł się z wielkim trudem, czując w skroniach bolesne pulsowanie, i poszedł do maleńkiej łazienki. Kiedy stamtąd wyszedł, w pierwszej chwili chciał się z powrotem położyć, ale przypomniał sobie, że Parma napomknął mu, żeby z samego rana zgłosił się do koordynatora ekipy i oficjalnie podpisał kontrakt. Otworzył więc sakwojaż, wyjął kapsułki z tlenem i witaminą C, które stosował przeciwko kacowi, i szybko zażył jedną. Z powodu żelatynowej osłonki kapsułka utknęła mu nieprzyjemnie gdzieś w przełyku i miał już pójść po szklankę wody, kiedy jego wzrok spoczął na tablicy klimatyzacyjnej.

Nagie końcówki przewodów połyskiwały złowieszczo. Marszcząc brwi Carewe rozejrzał się dookoła i zobaczył, że osłona tablicy leży na krześle. Zaczął sobie mgliście przypominać. Wieczorem przeszedł po omacku przez domek i tylko szczęśliwym trafem nie wetknął palców między przewody pod wysokim napięciem. Czoło zrosił mu pot. Prychnął, uzmysławiając sobie własną głupotę - przecież bez osłony zabezpieczającej tablicę nie można było ruszyć głównego przełącznika i nie powinien płynąć prąd.

A mimo to światło w domku zapaliło się! Przełącznik dał się bez trudu przestawić!

Uciskając skronie, żeby złagodzić uporczywe pulsowanie, podszedł bliżej do tablicy i zajrzał do środka. Przewody blokujące główny przełącznik, póki ten nie szcypi się ze sworzniem na osłonie, były pozwijane i z pewnością nie działały. W oka mgnieniu zaświtała mu w głowie myśl: Ktoś chciał mnie zabić, a to wszystko przez Atenę! Po chwili ochłonął i zdjął go wielki i zapiekły gniew, jaki odczuwa nieśmiertelny,

którego życie zostało zagrożone przez cudze niedbalstwo. Po-
przysiągł sobie, że winny mu za to zapłaci.

Kiedy wrzucił brudne ubranie do likwidatora i włożył
czystą, świeżą tunikę i spodnie, ból głowy zaczął mu przecho-
dzić. Wyszedł przed domek. Poranne światło raziło go w oczy,
gdziekolwiek spojrzął, tak jakby na niebie świeciło koło ze
słońc. Wraz z ciepłym powietrzem wdarł mu się do płuc ciężki
zapach jakichś nie znanych mu kwiatów. Poszedł krótką ulicz-
ką aż do okrągłego placu, który okazał się pusty, jeśli nie
liczyć dwóch mężczyzn w niebieskich uniformach Wspólnar-
dów, którzy byczyli się w cieniu markizy. Przed geokopułą, w
której mieścił się klub, nadal stała ciężarówka Parmy. Carewe
miał już zapytać któregoś z tych dwóch o drogę, ale zauważył
godło Wspólnarodów na innej kopule, po przeciwnej stronie
placu.

W środku za długim kontuarem siedziała urzędniczka, a
za nią stały dobrze mu znajome końcówki komputerowego
terminalu. Przegrody z matowego plastiku tworzyły wokół
kopuły małe samodzielne pomieszczenia biurowe.

- Czym mogę panu służyć? - zapytała sennie i bez więk-
szego zainteresowania dziewczyna.

- Jestem z ekipy Farmy, nazywam się Carewe.

- Tak?

- Chciałbym porozmawiać z technikiem, który robił
wczoraj w moim domku instalację elektryczną - powiedział,
osłaniając zdepilowaną szczękę przed badawczym spojrze-
niem urzędniczki.

- Chce pan złożyć skargę?

- Owszem. Dopuścił się karygodnego niedbalstwa, o ma-
ły włos nie zostałem śmiertelnie porażony prądem.

- Współczuję panu, ale akurat ten technik odleciał dziś

rano pierwszym wahadłowcem.

- Czy może mi pani wobec tego podać jego nazwisko? Chciałbym komuś o tym zameldować.

- Komu?

- Nie wiem... komuś, kto mu może zaszkodzić.

- W takim razie proszę się zwrócić do pana Kendy'ego, koordynatora - powiedziała urzędniczka z takim wyrzutem, jakby Carewe łamał jakieś niepisane prawo. Skinęła na niego ręką i zaprowadziła do jednego z pomieszczeń, gdzie przy biurku siedział młodo wyglądający ostudzony blondyn, ostrzyżony na jeża. Kendy był bardzo muskularny jak na ostudzonego, a jego rumieńce świadczyły o kwitującym zdrowiu. Ucisnął dłoń Carewe'a mocno i serdecznie, po czym z uwagą wysłuchał jego opowieści, robiąc notatki.

- Oczywiście, nadam tej sprawie dalszy bieg przyrzekł - A, zmieniając temat, panie Carewe, ponieważ zrobiło się dość późno, czy jest pan gotów podjąć pracę?

- Po to tu przyjechałem - odparł z uśmiechem Carewe czując, że usta mi zmartwiały. - Ale szczerze mówiąc, nie bardzo wiem, na co się mogę przydać. Przyjechałem tu, bo...

- Nie musi się pan tłumaczyć, w dużej mierze funkcjonujemy właśnie dzięki syndromowi Beau Geste'a. - Kendy złożył kartkę papieru z notatnik; i użył jej rogu jako wykałaczki, dłubiąc w dużych i olśniewająco białych przednich zębach. - Reprezentuje pan Farmę, może więc pan pomagać przy aplikowaniu biostatu produkowanego przez waszą firmę. E.12, o ile się ni mylę?

- Ale ja jestem księgowym.

- Te sprawy załatwiane są w Nowym Jorku - odparł Kendy beznamiętnie, choć z nutką ironii.

- Wiem, ale myślałem... że może...

- Poza tym pomoc w biurze nie jest mi potrzebna.
- Nie o to mi chodzi... - Carewe urwał, porządkując myśli.
- Kiedy rozpoczyna się obława?
 - Już się rozpoczęła. Zajmujemy się przesiedloną gałęzią starego szczep Malawi, a ci są akurat szczególnie odporni na nasze czary z pogodą. - Kend wypisał nazwisko Carewe'a na formularzu i podał mu go przez biurko. - Proszę iść z tym do magazynu, wydadzą panu ekwipunek. Zaplanowaliśmy, że utrzymamy opady deszczu aż do zakończenia akcji i będziemy działać po osłonę przy gruntowej mgły. W tym celu... - Obok pierwszego formularz Kendy położył drugi, niebieski - dostanie pan automat.
 - Pistolet?
 - Tak. Typu podskórnego, na wypadek gdyby miał pan coś przeciwko stosowaniu gwałtu i przemocy. Masowe uniesmiertelnianie wyklucza stosowanie indywidualnych wstrzyknień.

Dwuosobowy poduszkowiec, który Carewe wziął z bazy transportowi Wspólnarodów, posuwał się z łatwością po wyboistej drodze wiodącej na północ, gdzie nad horyzontem wisiała nawałnica. Prowadził małą maszynę z zażenowaniem, wręcz wstydząc się tego, że odkrył w sobie żyłkę awanturniczą. W zwykły dzień o tej porze siedziałby przy biurku w dyrekcji Farm; udając, że śledzi przebieg księgowania prowadzonego przez komputery, a naprawdę liczyłby minuty, dzielące go od przerwy obiadowej. Za to tutaj, odziany w niebieski uniform Wspólnarodów, prowadził nie znany mu dotąd pojazd po drodze, którą nie jechał nigdy przedtem, a przez drzewa w obcym lesie przygrzewało gorące afrykańskie słońce.

Odkrył na nowo znaną prawdę, że sam przyjazd w nie

znane miejsce znaczy niewiele; naprawdę liczy się przybycie w wymiarze psychicznym i duchowym. To drugie następowało zawsze z opóźnieniem, czasem kilkudniowym albo nawet kilkutygodniowym, bo dopóki przebywał w towarzystwie innych ludzi, nie mógł być naprawdę sobą, a tym samym zapoznać się z nowym otoczeniem. Kiedyś, jako młody praktykant, pojechał na trzytygodniowe seminarium do Miasta Polarnego, gdzie przez cały czas nie opuszczało go dziwne odrętwienie i przerażenie faktem, że nie jest w stanie zasmakować inności tego miejsca. Dopiero ostatniego dnia, uwolniony od obowiązkowych wykładów i natrętnego towarzystwa kolegów po fachu, powędrował za miasto i zagłębił się na ponad kilometr w odwieczny lodowy pejzaż. Z chwilą kiedy skręcił za oślepiający białą pagórek, tracąc z oczu cywilizację, odkrył nagle, że znalazł się na Antarktydzie, zupełnie jakby przeniosła go tu jakaś czarodziejska moc, która zaledwie przed sekundą wyrwała go z normalnego życia. Ponadczasowe, groźne piękno sprawiło, że stanął jak wryty, wstrzymując oddech, chłonąc niezapomniane widoki.

Podobnego olśnienia doznał teraz, kiedy, nagle osamotniony, manewrował poduszkowcem omijając kępy krzewów z rodziny marzankowatych, obsypanych bajecznie kolorowymi kwiatami, których kielichy czyniły w powietrzu niemą optyczną wrzawę. Czekają go niebezpieczeństwa i silne wrażenia, nowe doświadczenia i przeżycia, no a jeśli tyle niosła ze sobą najbliższa przyszłość, to co dopiero mówić o szykującym się milionie nowych dni? Poczucie, że oto mierzy się z samym życiem, że syci się jego tęczowo barwną treścią, nie równoważyło wydarzeń, które go do tego przywiodły, ale przynajmniej czuł, że żyje. Ze świadomością, że poddaje się przyptywowi uczuć porównywalnych do chwilowych uniesień, jakich dozna-

je się podczas żałoby, chciał obniżyć temperaturę swoich przeżyć i zaczął fałszywie pogwizdywać. Droga raptownie opadła w dół ku dość szerokiej rzece, którą płynęła brunatna woda, zapewne z powodu długotrwałej ulewy, jaką wywołała w okolicy ekipa sterowania pogodą.

Zwolnił trochę, żeby nie zabłócić pojazdu, i skierował go na przeciwległy brzeg tam, gdzie droga podejmowała swój bieg. Poduszkowiec sunął pewnie naprzód nad powierzchnią rwącej wody, aż naraz - na samym środku rzeki - zgasł mu silnik. Stało się to bez żadnych sygnałów ostrzegawczych, takich jak zmniejszenie mocy czy zmieniony ton silnika - po prostu w jednej chwili całkowicie wysiadł. Opadł na wodę, która zalała silnik, głośno sycząc w zetknięciu z rozgrzanym metalem, i w kilka sekund później Carewe znalazł się na dnie rzeki, siedząc w brunatnej plastikowej bańce.

Zaczął wzywać pomocy.

W jakiś czas potem zrozumiał, że krzyki na wiele się nie zdadzą. Zmusił się do zamknięcia ust. Poducha ratunkowa uchroniła go przed uderzeniem w tablicę przyrządów, dzięki zaś wspaniałej konstrukcji kabiny nie przedostawała się do niej woda, gdyby jednak siedział tu dłużej, groziła mu śmierć przez uduszenie. Odblokował i pchnął drzwi. Bez powodzenia. Przestraszony, że przy uderzeniu karoseria się odkształciła, z całych sił zaparł się ramieniem o twardy plastik. Nogę opryskała mu woda, ale drzwi ani drgnęły, unieruchomione zewnętrznym ciśnieniem. Należało wyrównać ciśnienie w środku z tym na zewnątrz przez wpuszczenie wody, ale podłoga kabiny ledwie zawilgotniała, a tymczasem on już zdążył się porządnie zmęczyć napieraniem na drzwi. Chciał znów krzyknąć, ale musiał pogodzić się z ponurym faktem, że upragniony milion nowych dni leży wyłącznie w jego rękach.

Woda nie przedostawała się do kabiny, a przecież jadąc drogą miał pod dostatkiem powietrza - oznaczało to, że nawiewniki zamknęły się szczelnie w momencie zetknięcia się z wodą. Czy znalazłby się jakiś słaby punkt? Nie bez trudu ściągnął z sufitu płytę maskującą, odsłaniając plastikowe rurki rozbiegające się od węzła, który z pewnością przechodził przez dach pojazdu. Chwycił za rurki i szarpnął je. Rozciągnęły się trochę, ale nic ponadto. Znów tracąc opanowanie, rzucił się na system wentylacyjny, rwąc i wykręcając przewody z całych sił dopóty, dopóki żelazny ucisk w piersiach nie ostrzegł go, że zapas powietrza w kabinie jest na ukończeniu. Na plastikowych rurkach, wykonanych na specjalne zamówienie Wspólnarodów, nie było znać choćby najmniejszej skazy czy uszkodzenia.

Dysząc jak miech, Carewe opadł na siedzenie, przerażony chrapliwym rżeniem towarzyszącym jego rozpaczliwym próbom nabrania w płucu powietrza. Czyżby to już...? Jego wzrok spoczął na mikroskopijnym przełączniku na kołnierzu nawiewnika. Wyciągnął rękę, przesunął go czubkiem palca... i przez kratki wentylatora trysnęła woda.

Musiał panować nad sobą z całych sił, żeby trwać w bezruchu, aż kabina niemal całkowicie wypełni się wodą. Powietrze mieszczące się w ciasnej przestrzeni pomiędzy chlupoczącą wodą a dachem właściwie nie nadawało się już do oddychania, kiedy ponowił próbę otwarcia drzwi, które jednak tym razem ustąpiły bez większych oporów. Carewe odepchnął się od pojazdu, wynurzył na powierzchnię i popłynął do brzegu. Silny prąd zniósł go spory kawałek z biegiem rzeki, ale udało mu się bez trudu wydostać na drugi brzeg i dotrzeć z powrotem do drogi. Brunatna woda, zamieniająca siłę ciężenia w pozornie poziomy ruch, prześlizgiwała się szybko i bezszelestnie

nad miejscem, gdzie spoczął poduszkowiec, zacierając wszelki po nim ślad. Gdyby nie to, że spostrzegł ręczny regulator nawiewnika, siedziałby tam do tej pory - i aż do zmierzchu nikomu nie przyszłoby nawet do głowy, żeby go szukać...

Zorientował się, że znajduje się na północnym brzegu rzeki, a wysoko nad horyzontem wyrasta groźna kolumna rzęskiego deszczu. Lekka plastikowa zbroja, którą wydano mu w bazie, spoczywała na dnie rzeki, ale za to miał przy sobie schowany w sakwie pistolet do zastrzyków. Postanowił, że dotrze do celu podróży na piechotę, pomimo iż miał wszelkie powody ku temu, by zawrócić. Drugi zamach na życie w ciągu jednej doby każdego by zniechęcił, szepnął mu wewnętrzny głos. Ruszając w drogę w butach, w których chłupotała woda, odruchowo odsunął od siebie tę myśl, ale nawiedziła go ponownie, jako obojętny, chłodny, czysto logiczny wniosek. Cały sprzęt, którym posługiwały się Wspólnarody, wykonany był na zamówienie z najbardziej drobiazgową precyzją dostępną technice dwudziestego drugiego wieku - a zatem, jakie istniało prawdopodobieństwo przypadkowej awarii silnika w jedynym na trasie przejazdu punkcie, w którym groziło mu śmiertelne niebezpieczeństwo? I do jak astronomicznej wielkości wzrastała wyrażająca je liczba, jeżeli połączyć je z niezwykłym faktem, jakim był brak osłony zabezpieczającej tablicę klimatyzacyjną w jego domku?

Przecież żaden z mieszkańców obozu nie miał powodu dybać na jego życie - nikt go tu nie znał aż do zeszłego wieczora. Carewe odetchnął głęboko rozśonecznionym powietrzem, uzmysławiając sobie nagle, że jego nowe ubranie obciekło z wody i prawie wyschło, choć wyglądało trochę niechlujnie. Żeby zabezpieczyć się przed coraz silniejszym upałem, nasunął na głowę osłonę przeciwsłoneczną przyczepioną do tuniki

i przyśpieszył kroku. Nawałnica wznosiła się coraz wyżej i wyżej, aż dobiegło go jej złowróżbne syczenie i pomruki, które zakłócały spokój poranka. Gdzieś wysoko w górze, na granicy stratosfery, człowiek zaprzął technikę do manipulowania żywiołami, a za ich pośrednictwem umysłami innych ludzi. Myśl ta podziałała na Carewe'a przygnębiająco, bo rozumiał, co się dzieje, i brał w tym udział. Zastanawiał się, jak wpłynęło to na Malawów zamieszkujących wioskę, kiedy stwierdzili, że samo niebo obróciło się przeciwko nim.

W przodzie nad drogą rozsnuły się mgły i Carewe dostrzegł sylwetki ludzi i pojazdów. Ulewa przesłoniła mu już cały widok szara kipiela i choć w plecy prażyło go jeszcze słońce, czuł na twarzy zimne macki wilgoci. W powietrzu unosiła się atmosfera zagrożenia. Świat wokół wyglądał tak nienaturalnie jak oświetlona reflektorami scena, gdzie nad specjalnymi efektami czuwają reżyserzy odbywający podorbitalny lot. Carewe zaciągnął pod brodę suwak tuniki.

- Nazwisko - dobiegł go męski głos przez otwarte drzwi zaparkowanej przyczepy.

- Carewe. Z Farmy - odparł i sięgnął po dokumenty.

- W porządku. Proszę iść dalej, czeka na pana pan Storch.

- Dziękuję.

- Znajdzie go pan mniej więcej kilometr stąd. - Mówiący wychylił na światło dzienne ocienioną zarostem twarz i obrzucił Carewe'a zaintrygowanym spojrzeniem. - A gdzie pański pojazd?

- Został tam... Miałem defekt. Mógłby mnie pan podwieźć?

- Niestety nie. Od tego miejsca zabronione jest poruszanie się pojazdami - odparł mężczyzna i natychmiast się scho-

wał.

Carewe wzruszył ramionami i poszedł dalej. Po niespełna minucie widoczność zmalała do pięćdziesięciu kroków i posuwał się otoczony kokonem suchości w deszczu, który rozpryskiwał się wokół niego, załamywany przez osłonę przeciwsłoneczny. Po pięciominutowym marszu przez grząski ceglasty muł zbliżył się do grupy około trzydziestu mężczyzn w jasnozielonym rynsztunku. Jeden z nich odłączył się od reszty i podszedł do Carewe'a. Był to krępy sprawny o lekko kpiącym wejrzeniu, opalony i - o dziwo - przystojny, mimo złamanego, przekrzywionego nosa i białej blizny przecinającej górną wargę.

- Dewey Storch - przedstawił się podając mu rękę. - Uprzedzono mnie o pańskim przyjeździe, ale gdzie pan ma sprzęt?

- Został w poduszkowcu - odparł Carewe, odwzajemniając uścisk.

- Musi pan po niego wrócić. Czy nikt panu nie powiedział, że...?

- To niemożliwe. Poduszkowiec leży na dnie rzeki, utonął na samym środku.

- Jak to utonął? - spytał Storch, przyglądając mu się uważnie piwnymi oczami.

- A tak to. Poszedł prosto na dno. - Carewe zniecierpliwiał się. - Zgasł mi silnik i tylko cudem sam się uratowałem.

Storch potrząsnął głową z powątpiewaniem.

- Nadal nie rozumiem. Mówi pan, że silnik zgasł na rzece, a co z balonami pływowymi?

- Balonami pływowymi? - Carewe otworzył ze zdumienia usta. - Nic takiego nie widziałem, pojazd poszedł na dno jak kamień. - Umilkł, trawiąc świeżo uzyskaną informację. Je-

żeli awaryjny system ratunkowy zawiódł w momencie podejrzanego defektu silnika, liczba wyrażająca prawdopodobieństwo, że nie był to przypadek, wzrastała do całkiem nowego rzędu wielkości.

- Trzeba będzie to zbadać - orzekł Storch. - Widocznie dali panu pojazd częściowo rozmontowany do konserwacji. Do takiej awarii w ogóle nie powinno dojść.

- Też tak uważam - odparł Carewe, wzdychając ciężko. - Mało brakowało, a bym się stamtąd nie wydostał.

Storch popatrzył na niego z takim zatroskaniem, że podniosło go to na duchu.

- Nie będę dziś od pana wymagał wchodzenia z nami do wioski - powiedział. - Wróci pan do przyczepy, to dadzą panu...

- Wolę iść z wami - przerwał mu Carewe, bo chciał mieć już za sobą swój chrzest bojowy, a jeszcze bardziej zależało mu na tym - i to z jakiegoś bliżej nie określonego powodu - żeby zrobić na Storchu dobre wrażenie. Może była to żałosna chęć udowodnienia, że pod powierzchownością ostudzonego kryje się wciąż „prawdziwy” mężczyzna.

- Brakuje nam ludzi, panie Carewe, ale nie mogę pozwolić, żeby narażał się pan na takie niebezpieczeństwo.

- Biorę to na swoją wyłączną odpowiedzialność. Storch zawahał się.

- No dobrze, ale proszę się trzymać z tyłu i nie wychodzić naprzód, dopiero na mój znak. Zrozumiał pan?

- Tak.

Grupa pomaszerowała drogą. Z chaotycznej rozmowy Carewe dowiedział się, że osada Malawów nie jest właściwie wioską, lecz składa się ze skupisk liczących po kilkanaście chat, rozsianych na obszarze około czterech kilometrów kwadratowych. Położona bezpośrednio przed nimi część osady

miała pójść na pierwszy ogień i nie sposób było przewidzieć, jakie ich czeka przyjęcie. Z przeprowadzonego wcześniej rozpoznania wynikało, że tubylcy nie mają broni palnej, ale nikt nie wiedział, na ile ta informacja jest wiarygodna.

Kiedy pierwsza kryta strzechą chata znalazła się w zasięgu ich wzroku, grupa rozsypała się w tyralierę i wtopiła w roślinność. Carewe miał wrażenie, że jego towarzysze, w przeciwieństwie do niego, to nie są amatorzy. Onieśmielony, schował się za drzewo; czuł się jak chłopak bawiący się w Indian i czekał, co będzie dalej. Panującą ciszę mącił tylko nieustanny szmer deszczu.

Wtem spostrzegł, że członkowie brygady Wspólnaródów puścili się pędem, a ich zielony rynsztunek połyskuje niczym segmenty tułowi olbrzymich owadów. Biegli przez kłębiące się pasma mgły, otaczając chaty coraz ciasniejszym pierścieniem. Serce załomotało mu nieprzyjemnie, kiedy dobiegł go przytłumiony wrzask. Potem usłyszał ochryple okrzyki i nowe wrzaski, które szybko się nasiliły aż do wrzawy, by znów niemal zupełnie ścichnąć. Ukazała mu się zwałista postać Storchy, który skinął na niego ręką i na powrót znikł między chatami.

Carewe niechętnie pobiegł naprzód i dotarł do osady. Uzbrojeni członkowie ekipy otoczyli kilkunastu zgębionych tubylców. Większość z nich klęczała w błocie, kilku jednak nie dając za wygraną wrywało się i z trudem ich przytrzymywano. Przyglądały się temu stojące w progach chat kobiety i dzieci, które co jakiś czas zawodziły płaczliwie. Jeden z klęczących miał na głowie paskudne rozcięcie, z którego spływały mu na plecy rozmywane przez deszcz szkarłatne strumyki. Patrząc na krew Carewe poczuł, jak powoli, niepostrzeżenie kurczą mu się jądra. Ogarnęła go głęboka odraza do tego, co robiła

ekipa Wspólnarodów.

- Przedstawiam panu naszego antropologa, doktora Willisa - odezwa się stojący obok Storch. - Niech pan idzie z nim i zrobi zastrzyki wszystkim mężczyznom, których wiek oceni na szesnaście lub więcej lat.

- Szesnaście! Czy to oficjalnie ustalona granica?

- Owszem. Pana to dziwi?

- To chyba trochę za wcześnie na...

- To są naturyści, panie Carewe. Na-tu-ry-ści! Niech pan sobie nie myśli że pozbawi pan kogoś wiosennego tchnienia pierwszej miłości lub czegoś w tym rodzaju. W wieku szesnastu lat niektórzy z nich powinni się znajdować u kresu sił.

- A jednak to chyba za wcześnie - obstawał przy swoim Carewe spoglądając z ukosa na Willisa, który był ostudzony i miał zupełnie siwe brwi wygięte jak skrzydła mewy.

- Wiem, o czym pan myśli - rzekł Willis. - Ale mamy do czynieni, z ludźmi, którzy odrzucili wszystkie wartości naszego społeczeństwa. Naturalnie, mają do tego prawo, wcale nam się nie uśmiecha narzucanie komukolwiek nieśmiertelności. Ale tym bardziej nie pozwolimy, żeby odbierali życie innym.

- Nie pora ani miejsce na agitację - wtrącił energicznie Storch. Radziłem panu, panie Carewe, żeby wrócił pan do obozu i odpoczął. Jeżeli nie czuje się pan na siłach sprostać zadaniu, to tylko marnuje pan swój i cudzy czas. No więc jak, robi pan te zastrzyki, żebym mógł przejść do następnej części wioski, czy mam zostać i zrobić to sam?

- Ja to zrobię - bąknął Carewe, otwierając sakwę. - Przepraszam, chyba jednak trochę mnie to wzięło.

- Nie szkodzi. - Storch dał znak ręką i podeszło do niego czterech mężczyzn. Utworzona w ten sposób grupka ruszyła szybko i zniknęła między chatami.

- Zaczniemy od tych trzech - powiedział Willis, wskazując skrępowanych tubylców.

Dwóch z nich natychmiast się uspokoiło, natomiast trzeci zaczął się wyrywać ze zdwojoną siłą. Miał niewiele ponad dwadzieścia lat i silnie umięśnione ręce z lekko wypukłymi żyłami na bicepsach, świadczącymi o wielogodzinnej morderczej pracy. Dwaj przytrzymujący go ludzie omal nie upadli, ślizgając się w błocie w groteskowym tańcu. Carewe skoczył naprzód, trzymając w pogotowiu pistolet do zastrzyków. Tubylec, z twarzą ściągniętą strachem i nienawiścią, rzucił się w tył tak gwałtownie, że obaj obciążeni rynsztunkiem mężczyźni runęli razem z nim na ziemię.

- Na co pan czeka? - warknął jeden z nich, tracąc cierpliwość.

- Przepraszam.

Carewe obiegł ich zachodząc tubylca od tyłu i wstrzelił mu ładunek w żylastą szyję. Ofiara zwiotczała. W chwilę potem członkowie ekipy Współnarodów ostrożnie puścili go i podnieśli się z ziemi. Carewe obszedł pozostałych czując ulgę, kiedy z całą uległością wyciągali ręce nadstawiając przeguby do zastrzyków, a jednocześnie gardząc nimi za taką poddańczość. Nie spuszczać oka z pierwszego tubylca, któremu zaaplikował biostat, zobaczył, że idzie przygnębiony do drzwi chaty, gdzie bierze go w objęcia wysoka młoda kobieta. Strzepnęła mu, jak przesadnie troskliwa matka dziecku, część błota przyklepionego do kaftana, poza którym nic nie miał na grzbiecie. Jej oczy, lśniące w półmroku pod okapem chaty, otwierały się powoli i zamykały niczym dwa identyczne heliografy przekazujące Carewe'owi wiadomości, których sensu mógł się tylko domyślać. Zbyt pochopnie porzuciłem Atenę, eksplodowała mu w głowie myśl. Powinienem do niej wrócić.

- No, to tych mamy z głowy - odezwał się jeden z ekipy, ocierając zarośniętą twarz mokrą od deszczu i potu. - Wynosimy się stąd.

Carewe myślał teraz tylko o Atenie.

- A co z kobietami?

- Nimi nie zawracamy sobie głowy, zgłaszają się zwykle dobrowolnie do któregoś z ośrodków medycznych Wspólnarodów. Decyzja należy do nich.

- Ach tak. - Carewe schował do sakwy pistolet. - A więc się nie liczą.

- Kto mówi, że się nie liczą. One po prostu na nikogo nie napadają.

- No proszę, jacy tu wszyscy honorowi - skomentował Carewe. Przyglądał się, jak pozostali szykują się do odejścia w tym samym kierunku, w którym udali się Storch i jego wypadowa grupa. - Jedną chwileczkę. Chciałbym zamienić parę słów z tym tubylcem, który pierwszy dostał zastrzyk.

- Nie radzę ci tego, nowy.

Carewe też czuł, że postępuje nierozsądnie, ale dla niego tubylec, który tak zaciekle stawiał opór broniąc się przed zastrzykiem, był jego własnym odbiciem. Z tą jednak różnicą, że czarnoskóremu Carewe'owi nie wstrzyknięto do krwiobiegu, tkanek i mięśni dawki E.80, a więc on, prawdziwy Carewe, miał nad nim pod każdym względem przewagę. Wymijając ostrożnie gapiących się mężczyzn i dzieci przeszedł przez plac i zbliżył się do chaty gdzie z pochyloną głową stał ubłocony tubylec. Na jego widok kobieta cofnęła się do mrocznego wnętrza.

- Rozumiesz po angielsku? - spytał niepewnie.

Tubylec uniósł głowę i przeszył go spojrzeniem, oddzielony od niego muren milczącej wrogości, a potem obrócił się

twarzą do ściany.

- Przepraszam - powiedział ni w pięć, ni w dziewięć Carewe. Zamierza właśnie wrócić do swoich, kiedy z chaty z zaskakującą szybkością wybiegła kobieta. Dopadła go z błyskiem stali w ręku, a potem odstała. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w jej triumfującą twarz, zanim przeniósł wzrok na tkwiący we własnych piersiach nóż.

Kiedy przybiegli po niego członkowie ekipy Wspólnaródów, klęczał w błocie, wciąż z niedowierzaniem potrząsając głową.

Rozdział dziewiąty

- To był bardzo stary nóż - oznajmił Storch. - I to pana uratowało. Carewe patrzył spokojnie w sufit przyczepy, w której leżał.

- Co ze mną? - spytał.

- Wylize się pan. Nóż był tak zużyty od ostrzenia, że przypominał cienki szpikulec, a to akurat nie jest najskuteczniejsza broń.

- Na nic nie narzekam.

Ponieważ nic go nie bolało, Carewe spróbował unieść się na pryczy.

- Nie tak prędko - powstrzymał go Storch, ujmując go zdecydowanie za ramiona i kładąc z powrotem. - Przekłuto panu płuco i lekarz musiał zrobić zapad płuca.

- Zapad płuca? Czy to znaczy...?

- To chwilowa sprawa. Żeby płuco odpoczęło, nic więcej. - Storch obejrzał się za siebie na kogoś, kto znajdował się poza zasięgiem wzroku Carewe'a. - Prawda, doktorze?

- Oczywiście - odpowiedział męski głos. Nie ma powodu do niepokoju, panie Carewe. Pańskie płuco krwawiło przez jakiś czas, ale zatamowaliśmy krwotok i ściągnęliśmy krew. Teraz tylko trzeba dać mu odpocząć.

- Rozumiem.

Carewe'owi zrobiło się trochę słabo na myśl, że jedno płuco spoczywa zwiotczałe w jego piersiach. Oddychając, skupił się na swoich doznaniach wewnętrznych i po raz pierwszy w życiu zdał sobie sprawę, że wdech bierze swój początek nie w płucach, ale w mięśniach klatki piersiowej. Żebra unoszą się, rozciągając przymocowane do nich żywe worki, dzięki czemu przez usta i nos wpada do środka nie znoszące próżni powie-

trze. W jego przypadku funkcjonowało jednak tylko jedno płuco. Nieledwie spodziewając się, że zabraknie mu powietrza, podczas transportowania go na noszach z przyczepy do ambulansu starał się oddychać miarowo.

Po powrocie do bazy przeniesiono go do średniej wielkości kopułodому, gdzie mieścił się punkt pomocy medycznej. W jednej jedynej sali oprócz jego łóżka stały jeszcze trzy wolne, a w popołudniowym powietrzu brzęczały cisza i spokój. Co pół godziny wpadała do niego pielęgniarka, dwa razy też zjazał lekarz o nazwisku Redding, żeby dowiedzieć się o jego samopoczucie, i zawiadomił go, że nazajutrz zostanie stąd odesłany. Oboje odnosili się do niego z zawodową uprzejmością, co tylko wywoływało w nim przygnębienie i uczucie bezradności. Powszechnie wiadomo było, że brygady antynaturystyczne na całym świecie odczuwają brak chętnych do pracy i rzadko rezygnują ze zdatnego do służby ochotnika, a mimo to od samego początku czuł, że stare wygi uważają się za zawodowców, którzy co jakiś czas zmuszeni są godzić się na współpracę z pełnymi dobrych chęci amatorami. Kendy nazywał to syndromem Beau Geste'a. Carewe nie miał pojęcia, kto to jest Beau Geste, lecz przeczuwał, że z nadejściem wieczoru jego poranny wyczyn wywoła salwy śmiechu przy ogromnym okrągłym barze w klubie Wspólnarodów. Poddał się ogarniającej go senności w nadziei, że przyśni mu się Atena i dawne dobre czasy...

Wieczorem, kiedy o szyby tłukły się siwe ćmy, przewinęła się przez jego salę procesja gości, a wśród nich Kendy, Parma i kilka twarzy, które pamiętał jak przez mgłę ze swojego inauguracyjnego ochlaju. Jeden jedyny Parma chyba szczerze wyraził żal z powodu jego zaplanowanego wyjazdu, z uroczystą i poważną miną na posrebrzonej zarostem twarzy propo-

nując mu, że przemyci z baru do szpitala trochę piwa na poże-
gnalne przyjęcie. Carewe grzecznie mu podziękował i po jego
wyjściu poprosił pielęgniarkę o coś na uspokojenie. Połknął
prążkowaną kapsułkę i czekając, aż zacznie działać, wpatry-
wał się ze stoickim spokojem w sufit.

Po upływie długiego czasu ocknął się z uczuciem dziw-
nego niepokoju. Spojrzał na przegub ręki i przez chwilę wpa-
trywał się w gładką skórę, zanim uprzytomnił sobie, że rejon
Nouvelle Anvers leży za daleko od nadajnika czasu, żeby jego
zegarek działał. Koło łóżka rozległy się czyjeś kroki. Młody
człowiek o śniadej cerze, ubrany w biały strój lekarski, podał
mu szklankę wody i jasnoniebieską tabletkę.

- Przepraszam, że pana niepokoję, panie Carewe - ode-
zwał się cicho przybysz. - Ale pora na pigułkę wzmacniającą.

- A po co? - spytał sennie Carewe.

- Doktor Redding woli nie ryzykować, w tutejszym kli-
macie rany są niebezpieczne.

- Wobec tego chyba... - Carewe podparł się na łokciu i
sięgnął po szklankę wody. Bez słowa przyjął pigułkę i już niósł
ją do ust, kiedy spostrzegł, że nieznajomy ma żałobę za pa-
znokciami. Wyteńczył zmętniały wzrok i w słabym świetle ujrzał
na wierzchu jego dłoni utrwaloną siateczkę brudu.

- Chwileczkę - powiedział, z ogromnym wysiłkiem otrzą-
sając się z oszołomienia wywołanego środkiem uspokajają-
cym. - Jest pan pewien, że doktor Redding polecił mi zażyć ten
lek?

- Jak najbardziej.

- A gdybym odmówił, to co wtedy?

- Panie Carewe - rzekł nieznajomy z lekkim zniecierpli-
wieniem - proszę nie utrudniać nam życia i zażyć lekarstwo,
dobrze?

- Zażyję, ale po rozmowie z doktorem Reddingiem - odparł Carewe, próbując przyjrzeć się twarzy nieznanego, ale jego ramiona i głowa znajdowały się poza stożkiem światła z nocnej lampki.

- Jak pan chce, panie Carewe, nie będę się z panem wyklócał. Nieznajomy wyciągnął rękę i Carewe położył mu na dłoni pastylkę.

W następnej sekundzie został przygwożdżony do łóżka ciężarem ciała w bieli, a na jego ustach zacisnęła się silna ręka. Pigułka zgrzytnęła mu o zęby. Z mrozącą krew w żyłach pewnością, że umrze, jeżeli tabletkę znajdzie się na języku, usiłował zrzucić z siebie napastnika, ale nogi uwięzły mu w pościeli. Twarda ręka ścisnęła mu nos pozbawiając go dopływu powietrza, a to oznaczało, że wytrzyma najwyżej jeszcze kilka sekund. Przed oczami zaczęły mu już latać czerwone płaty, kiedy uzmysłowił sobie, że ma w ręku gładki przedmiot - szklankę z wodą. Trzymając ją od spodu zadał nią cios, celując w majaczącą mu przed oczami twarz. Szkło rozprysło się na kawałki, po ręce spłynęła mu woda i nagle poczuł, że znów oddycha. Nieznajomy z jękiem odskoczył do tyłu, jedną ręką trzymając się za zraniony policzek, a drugą sięgając po nóż. Carewe jak szalony odrzucił pościel, stoczył się z łóżka po przeciwnej stronie, zerwał na równe nogi i bez zatrzymywania popędził do drzwi, słysząc tuż za sobą goniące go kroki. Coś łopotało mu w piersiach niczym mokra szmata. Zaświtała mu w głowie paskudna myśl, że to jego nieczynne płuco, ale resztę uwagi skupił całkowicie na tym, żeby uciec przed pchnięciem nożem w plecy. Wypadł przez wahadłowe drzwi, zobaczył następne prowadzące do pokoju służbowego i naparł na nie ramieniem.

W środku nie było żywej duszy. Chwycił stojącą na biur-

ku rzeźbioną hebanową figurkę i obrócił się przyjmując postawę obronną, ale napastnik znikł. Słychać było tylko skrzywienie kołyszących się nie do taktu skrzydeł wahadłowych drzwi. Zachowując daleko posuniętą ostrożność, Carewe wyszedł do hallu w momencie, kiedy z czarnego prostokąta drzwi wejściowych wyłoniła się ubrana na biało postać. Uniósł prowizoryczną maczugę, ale okazało się, że przybyszem jest pielęgniarka, która opiekowała się nim wcześniej.

- Nie powinien pan wstawać, panie Carewe - powiedziała, patrząc podejrzliwie na drewnianą figurkę. - Co tu się dzieje?

- Ktoś mnie napadł i chciał zamordować - odparł z rezygnacją.

- Miał pan jakiś zły sen, proszę wrócić do łóżka.

- Wcale nie spałem, miałem oczy szeroko otwarte - powiedział Carewe, wręczając jej statuetkę. - Nie widziała pani, żeby ktoś przed chwilą wybiegał z budynku? A właściwie, to dlaczego pani wychodziła?

- Nie widziałam nikogo, a jeżeli koniecznie chce pan wiedzieć, to wyszłam, bo wezwano mnie telefonicznie do wypadku w dziale łączności.

- I rzeczywiście coś się stało?

- Nie.

- A więc wszystko jasne - triumfował Carewe.

- Co jest jasne?

- Że ktoś panią stąd wywabił, żeby umożliwić napaść na mnie.

- Panie Carewe - powiedziała pielęgniarka znużonym głosem, popychając go w stronę sali - jasne jest dla mnie tylko to, że Feliks Parma albo któryś z jego koleżków znów się dziś zalał w trupa. Pewnie pałętają się teraz po ciemku, wymyślając

głupie kawały. A teraz bardzo proszę położyć się z powrotem do łóżka, dobrze?

- Wobec tego proszę popatrzeć tutaj - rzekł Carewe, któremu przysłała do głowy inna myśl.

Poprowadził pielęgniarkę do łóżka z rozkopaną pościelą i obszukał je wokoło. Niebieska pastylka znikła, a na leżących na podłodze kawałkach szkła z rozbitej szklanki nie było śladów krwi. Obejrzał dokładnie lewy rękaw piżamy i znalazł pojedynczą czerwoną kropkę, niemal doszczętnie zmytą przez wodę, która ściekła mu po ręku.

- O, proszę, tu jest kropka krwi - oznajmił dobitnie.

- A tu jeszcze jedna - odrzekła pielęgniarka, wskazując szkarłatną plamę, jaka pojawiła się na piżamie. - Otworzył pan ranę i muszę zmienić panu opatrunek.

Carewe zaczerpnął tchu, chcąc ją dalej przekonywać, ale w końcu postanowił poczekać z wyjaśnieniem sprawy do jutra rana, kiedy spotka się z Kendym, koordynatorem ekipy Współnarodów.

- Widziałem na pewno w pańskiej kompkarcie, ale szczegóły wyleciały mi z głowy - powiedział Kendy. - Proszę mi powiedzieć, panie Carewe, ile naprawdę ma pan lat.

- Czterdzieści.

- O! A więc utrwalił się pan całkiem niedawno.

Wyrażenie „utrwalił się” nieprzyjemnie zazgrzytało Carewe'owi w uszach i o mały włos nie zwrócił Kendy'emu uwagi, żeby go nie używał, ale zaraz potem uprzytomnił sobie, co tamten ma na myśli. Było powszechnie wiadomo, że bardzo wiekowi ostudzeni, znużeni życiem, lecz i obawiający się śmierci, ulegają czasami nieodpartemu i przemożnemu pragnieniu wyjścia tej śmierci naprzeciw. Wówczas, bez udziału świadomej woli, szwendają się po niebezpiecznych okolicach,

gdzie raz po raz zdarzają się nieszczęśliwe wypadki, aż wreszcie dochodzi do nieuchronnej tragedii.

- Całkiem niedawno - potwierdził Carewe. - I zapewniam pana, że nie jestem pechowcem.

- Tak tylko sobie pomyślałem. - Kendy z awersją rozejrzał się po niewielkiej salce, jakby dawał do zrozumienia, że mu się spieszy i ma inne, ważniejsze sprawy do załatwienia. Jego rumiana cera tryskała zdrowiem w ukośnych promieniach słońca wpadających przez okno. - Najpierw ta historia w pańskim domku, potem awaria poduszkowca na rzece, a teraz...

- Nie jestem pechowcem i całym sercem pragnę pozostać przy życiu - przerwał mu Carewe.

- Mówiłem już, że tak tylko sobie pomyślałem.

- Rozumiem, ale nie nazwałbym pechowym zdarzeniem próby otrucia ani napaści z nożem w rękę.

- Wyciągnęliśmy poduszkowiec z rzeki - powiedział Kendy marszcząc brwi i wyraźnie nie mając ochoty na omawianie niczym nie potwierdzonego zamachu na życie.

- No i?

- Stwierdzono brak trzpienia w czujniku wysokości. Kiedy trzpień wypadł, dla czujnika był to sygnał, że pojazd został zaparkowany albo dotyka ziemi, no i - co zupełnie zrozumiałe - silnik zgasł.

- Zupełnie zrozumiałe.

- Tak czy owak trzeba to uznać za pechowy przypadek, bo naprawdę nie wiem jak trzpień mógł wypaść w określonym z góry punkcie podróży.

Carewe zaczerpnął tchu, chcąc ją dalej przekonywać, ale w końcu postanowił zaczekać z wyjaśnieniem sprawy do jutra rana, kiedy spotka się z Kendym, koordynatorem ekipy

Współnarodów.

Carewe przejechał palcem po wzorach ułożonych z fałd pościeli.

- Nie znam konstrukcji waszych poduszkowców - rzekł - ale wyobrażam sobie, że kiedy przejeżdża się przez rzekę, to czujnik wysokości zanurza się w wodzie.

- To nieuniknione.

- A gdyby ktoś usunął prawdziwy trzpień i na jego miejsce wstawił inny wykonany powiedzmy z gordonitu?

- A co to jest gordonit?

- Stop, który rozpuszcza się niemal natychmiast przy zetknięciu z wodą Kendy westchnął z teatralną przesadą.

- I znów wracamy do tajemniczego spisku na pańskie życie. Wysuwa pan przypuszczenie, że w bazie przebywa niedoszły morderca.

- Wcale nie! - Carewe poczuł nowy przypływ gniewu. - Takie przypuszczenie wysuwałem wczoraj, dziś stwierdzam to z całą pewnością.

- Sprawdziłem członków wszystkich ekip i nie znalazłem w bazie nikogo ze świeżą raną na twarzy - powiedział Kendy i wstał.

- A ten skrawek ziemi wokół bazy, który, o ile się nie mylę, nazywacie Afryką?

Kendy uśmiechnął się.

- Podoba mi się pańskie poczucie humoru, panie Carewe. Jest taki bardzo stary angielski kawał, o tym, jak król Dariusz rano przy śniadaniu spotyka się z Dawidem, którego poprzedniego dnia wtrącił do jaskini lwów. Król pyta; „Jak ci się spało?” „Źle - odpowiada Dawid - jeśli mam być szczerzy przeszkadzały mi lwy”. Na to król prychnął z pogardą i mówi: „Widocznie sam je sprowadziłeś, a to już nie moja wina”.

Carewe uśmiechnął się niepewnie.

- To miał być dowcip?

- Ja też się nad tym dłuższy czas głowiłem. Ale potem, a trzeba pan wiedzieć, że interesuję się literaturą dziewiętnastego i dwudziestego wieku odkryłem, że to ostatnie zdanie, włożone w usta króla, miały w zwyczaj wypowiadać angielskie gospodynie odnajmujące pokoje, ilekroć jakiś lokator narzekał na pchły w łóżku.

- Mimo wszystko to nie jest specjalnie śmieszne. Chciałem pana spytać, c to znaczy Beau Geste, ale doszedłem do wniosku, że nie warto.

- Chodziło mi tylko o to, że jeżeli ktoś naprawdę dybie na pańskie życie to nie ma to nic wspólnego z bazą Wspólnarodów, że musiał się pan komuś narazić przed przybyciem tutaj.

Carewe już miał się temu sprzeciwić, ale nie przyszedł mu do głowy żaden sensowny argument. Odprowadził Kendy'ego wzrokiem, aż jego barczysta sylwetka zniknęła za drzwiami, i próbował połączyć wydarzenia minionych kilku dni w jakąś logiczną całość. Jedyne ogólne wnioski, do jakiego doszedł, był taki, że całe jego życie piekielnie się pogmatwało mniej więcej od chwili, gdy dowiedział się o E.80. Barenboima i Pleetha niepokoiła możliwość szpiegostwa przemysłowego. Być może starannie obmyślane kroki, jakie podjęto dla utrzymania w tajemnicy ich wspólnych poczynań, okazały się wbrew oczekiwaniom nie dość skuteczne - na przykład kiedy wylał na Rona Ritchiego swoją whisky, tamten robił obraźliwe aluzje do jego związków z Barenboimem. Przypuśćmy jednak, że wieść o E.80 dotarła do uszu potężnych i bezwzględnych konkurentów, to w jaki sposób próbowaliby się dowiedzieć czegoś więcej? Czy nie zechcieliby porwać go żywego, żeby go przesłuchać i przebadać? No bo czego można się dowiedzieć

od trupa? I czy nie interesowałyby ich także Atena?

Carewe nacisnął guzik wzywający pielęgniarkę.

- Kiedy mam być stąd odesłany? - spytał, gdy się zjawiała.

- Doktor Redding zamówił na dziś wieczór pionowzlot przystosowany do przewożenia noszy. Poleci pan prosto do Lizbony.

Ton jej głosu zdradzał, że nie wybaczyła mu jeszcze zakłócenia jej rozkładu zajęć zeszłej nocy.

- Ach tak... i zostało to załatwione normalnymi kanałami? Wszyscy wiedzą, kiedy i czym odlatuję?

- Nie wszyscy - odparła chłodno pielęgniarka. - Mało kogo to interesuje.

Carewe odprawił ją gestem ręki.

- Dziękuję, to wszystko. Zawołam panią, jeżeli znów ktoś mnie zaatakuję.

- Proszę się nie trudzić.

Kiedy sobie poszła, wziął z nocnego stolika komunikator i powiedział, łechce rozmawiać z szefem transportu Farmy. Po krótkiej zwłóce uzyskał połączenie.

- Tu Parma z Farmy. - Głos Parmy z charakterystycznym szkockim akcentem brzmiał nieufnie. - Z kim mówię?

- Tu Will Carewe. - Carewe spojrział na drzwi sali, upewniając się, czy są zamknięte. - Gdzie teraz jesteś, Feliks?

- W klubie. Właśnie piję swoje litrowe śniadanie.

- Jedziesz dziś na spotkanie wahadłowca?

- Tak, przylatuje za jakieś pięćdziesiąt minut, nie wiem, czy zdążę.

- Zdążysz, a poza tym weźmiesz mnie za sobą.

- Ale przecież... - głos Farmy zamarł ze zdumienia.

- To dla mnie bardzo ważne. Mógłbyś po drodze wziąć z mego domku bagaż i podjechać tu po mnie za pięć minut? -

spytał Carewe, dokładając starań, zęby jego słowa zabrzmiały możliwie dramatycznie. - I nic nikomu o tym nie powiesz?

- No dobrze. Ale co się stało?

- Opowiem ci później, przyjeżdżaj jak najprędzej.

Carewe odłożył komunikator i ostrożnie wstał z łóżka. Przeszukał sąsiadującą z nią szafkę, ale nie znalazł w niej ubrania, w którym mógłby stąd wyjść. Stanął przy oknie i wyglądał przez nie, aż zobaczył uważnie prowadzoną ciężarówkę jadącą przez główny plac. Odczekawszy, aż podjedzie do wejścia, szybko znalazł się przy drzwiach i wyszedł z sali. Kiedy szedł, wiszące mu w piersiach prawe płaco podchwyciło rytm jego kroków i zaczęło się lekko obijać o żebra. idąc dalej równym tempem, niepostrzeżenie opuścił budynek, a potem wsiadł do czekającej na niego ciężarówki. Mimo ulgi, jaka go ogarnęła, w niewytłumaczalny sposób czuł się urażony faktem, że nikt nie zauważył jego ucieczki.

- Nie zrozum mnie źle - powiedział Parma, rozsiewając w kabinie odór piwa. - Jak wszyscy lubię się rozerwać, zwłaszcza w takiej zapadłej dziurze, ale czy przypadkiem nie powinienem leżeć w łóżku?

- Jedźmy już - ponaglił go Carewe, spoglądając niespokojnie na drzwi szpitala.

- No dobrze, Willy, ale to mi się nie podoba - oznajmił Parma raptownie puszczając sprzęgło, aż koła zawirowały w miejscu wzbijając kurz, a potem ciężarówka ruszyła przez plac z piskiem i zgrzytem podwozia i karoserii, protestujących przeciwko takiemu traktowaniu. - I powiem ci od razu, że nie jest to wymarzony samochód do ucieczki.

- Ujdzie.

Ciekawe rozejrzył się uważnie dookoła, szukając jakichś oznak zainteresowania jego niezwykłym odjazdem. Ale w pra-

zonej słońcem bazie panowała ciemność i widać było jedynie dwóch mężczyzn w niebieskich uniformach Wspólnarodów, bijących się w cieniu markizy. Całkiem możliwe, że to ci sami których widział poprzedniego ranka dokładnie w tym samym miejscu. Żaden z nich nawet się nie obejrzał za ciężarówką, która minęła ich wlokąc za sobą wir pyłu i suchych liści.

A właściwie to co ty takiego przeskrobałeś? - spytał Parma, kiedy ciężarówka wjechała na leśną drogę i drzewa po obu stronach zwały się, rzucając na nią cień.

- Nic. Zupełnie nic.

- Ach tak - mruknął zaskoczony Parma. - Pytam dlatego, że lubię wiedzieć zawczasu, kiedy pakuję się w jakieś nieprzyjemności.

- Przepraszam cię, Feliksie - odparł Carewe, nagle pojmując, jak daleko się posunął, wykorzystując ich niezmiernie krótką znajomość. Nie próbowałem się wykręcić od wyjaśnień. Ja naprawdę nic nie zrobiłem, chyba że uznasz za wykroczenie niewypełnienie poleceń lekarza.

- Czemu tak ci zależy, żeby być tam, kiedy przyleci wahadłowiec?

- Zależy mi nie tylko, żeby tam być, ale żeby nim odlecieć - wyjaśnił Carewe i dodał po chwili: - Jak myślisz, da się to zorganizować?

- Ale tu gorąco - rzekł ponuro Parma. - Trzeba było zabrać ze sobą parę baniek piwa.

- No więc, jak będzie? - dopytywał się Carewe.

- Przypierasz mnie do muru, Willy. Ja też pracuję dla Farmy, a szef transportu nie powinien szmuglować ludzi razem z ładunkiem.

- Nie chcę, żeby mnie szmuglowano. Wpisz mnie na listę przewozową, czy jak tam to się nazywa, i nic więcej.

Parma westchnął i wypełniający kabinę odór piwa zmieszany z wonią potu stał się prawie me do wytrzymania.

- Co masz przeciwko podróży samolotem zamówionym dla ciebie przez doktora Reddinga?

- Nic. I dlatego właśnie nie chcę nim lecieć.

- Co? - spytał Panna i zaklął, bo ciężarówka podskoczyła na wyboju i zarzuciło nią. Mocując się z kierownicą wyprowadził woź z powrotem na drogę.

- Jest w bazie ktoś, kto dybie na moje życie, i może się posunąć do tego, że podłoży w samolocie bombę.

Słyszając to Panna ryknął śmiechem, aż zjeżył mu się srebrzysty zarost na pokrytych czerwonymi żyłkami policzkach.

- Ach ty głąbie - tak mówią w Glasgow zamiast kapuściany łbie - komu zależy na twojej śmierci?

- Tego właśnie chciałbym się dowiedzieć.

- Willy, jedyni ludzie w tych okolicach, mający coś przeciwko tobie, to ci byli naturyści, których wczoraj ostudziłeś, a oni nie mogą się nawet zbliżyć do bazy - powiedział Parma, parskając radosnym śmiechem.

Carewe zapanował nad irytacją ogarniającą go z powodu faktu, że sprawy, które dla niego były sprawami życia i śmierci, u innych wywoływały najwyżej śmiech lub powątpiewanie.

- To się zaczęło jeszcze przed moim udziałem w ekspedycji - wyjaśnił. - A zeszłej nocy jakiś człowiek wszedł na salę w szpitalu i chciał mnie zadźgać nożem.

- To był sen, normalna sprawa po tym, co się wydarzyło w ciągu dnia.

- To nie był sen. Zostałem zaatakowany - powiedział Carewe, po czym szczegółowo opisał napastnika, uświadamiając sobie jednocześnie, że płuco zaczęło mu się ocierać o żebra, zgodnie z rytmem podskakującej na nierównościach cięża-

rówki. - Mógłbyś jechać trochę wolniej? Znów mi rezonuje płuco.

- Oczywiście - odparł Parma zwalniając i spoglądając ze współczuciem na klatkę piersiową Carewe'a. - Widzę, że naprawdę chcesz się stąd wydostać za wszelką cenę. Nie znam nikogo, kto pasowałby do rysopisu, który przedstawiłeś, ale możliwe, że dostał się do bazy ktoś obcy.

- Tak właśnie sobie pomyślałem. No więc, jak będzie? Wsadzisz mnie na ten wahadłowiec czy nie?

Przez chwilę Parma ugniatał palcami czerwony perkaty nos.

- Wiesz, Willy, podoba mi się, jak radzisz sobie z piwem, ale gdyby nie to...

- Dziękuję ci, Feliksie. Gdzież ten mój sakwojaż?

Carewe przeczołgał się na tył ciężarówki i zdjął z siebie piżamę. Pocieszyło go, że opatrunek na piersiach jest mały i dobrze się trzyma. Szamocząc się z ubraniem, włożył je i ledwie wrócił na fotel obok kierowcy, kiedy gromki huk ustawionych pionowo silników odrzutowych zagłuszył warkot ciężarówki Parmy. W zasięgu ich wzroku przeleciał srebrzysty samolot, zadarł dziób do góry i znikł im z oczu za drzewami.

- Masz swój wahadłowiec, trochę się pośpieszył - rzekł Parma.

- Nie wiedziałem, że tak hałasuje.

- Wszystkie samoloty pionowego startu i lądowania hałasują. To ich cecha konstrukcyjna, ale ty normalnie słyszysz je tylko, jak startują i lądują w wyciszonych tunelach - wyjaśnił Parma pociągając głośno nosem. - Tutaj nikt nie zawraca sobie głowy takimi wymysłami.

- A co z pilotem? Będzie robił z mojego powodu jakieś trudności?

- Raczej nie - odparł Parma spoglądając na zegarek. Był to przestarzały model radiowy, ale - jak z żalem zauważył Carewe - działał on tam gdzie jego tatuaż odpierający fale radiowe okazywał się nieprzydatny. - To pewnie Colleen Bourgou. Kiedy znajdzie się w naszych stronach, zawsze przylatuje przed czasem, żeby się trochę poopalać. Zdążyłem dość dobrze ją poznać.

- Czy to ta, z którą tu przyleciałem?

- Zgadza się, zapomniałem o tym. - Parma szturchnął Carewe'a w bok. - Wpadła ci w oko, co?

- Owszem.

Carewe wrócił myślami do ciemnowłosej dziewczyny, która na jego oczach tak niedbale zdjęła bluzkę. Ogarnęło go wówczas podniecenie zmieszane z poczuciem winy, ale było to niczym wobec prymitywnej żądz, którą zapłonął teraz na samą myśl o jej obnażonym biuście. Nie pomylili się co do tego E.80, pomyślał, wcale nie jestem ostudzony. W kilka minut później ciężarówka wjechała na zalane światłem lądowisko. Pilotka, która siedziała już na przednich schodkach, ze zwinnością dzikiego zwierzęcia, łyskając opalonym ciałem, wciągnęła bluzkę.

- Jest - szepnął Parma i, po raz pierwszy robiąc aluzję do wyglądu Carewe'a wskazującego na jego stan, dodał: - Przeżyłeś, Willy, kilkadziesiąt dobrych lat. Niczego nie żałujesz?

- Trochę tak - odparł Carewe - ale być może nie tego, o czym myślisz.

Rozdział dziesiąty

- Dzień dobry, Colleen! - krzyknął Parma. - Nie przerywaj sobie opalania z mojego powodu.

Mrużąc zalane słońcem oczy pilotka uniosła głowę i zaszła do kabiny ciężarówki.

- Przestaję się opalać nie ze względu na ciebie, ale na siebie - odparła. - Im prędzej zrobisz sobie zastrzyk, Feliksie, tym lepiej dla wszystkich.

- Miła jesteś - powiedział Parma urażonym tonem. - Oto mi podziękowanie za to, że się konserwuję w stanie gotowości.

- Ciekawe co to za środek konserwujący?

- Jak dla mnie, to masz dziś za ostry język - rzekł Parma i wysiadł z ciężarówki, a zaraz za nim Carewe. - Znasz już Willy'ego Carewe'a, prawda?

- Tak - odparła pilotka, spoglądając na Carewe'a.

Spostrzegł, że źrenice jej oczu, w których odbijały się promienie słońca, błyszczą jak dwie złote monety.

- Chciałem cię prosić, żebyś podrzuciła go do Kinszasy. Spiesz mu się do domu.

- Tak? Szybko pan stąd ucieka.

- Willy dostał nożem między żebra od naturysty - pośpieszył z wyjaśnieniem Parma. - Właściwie to nie powinien nawet wstawać z łóżka, ale, jak powiedziałem, ma powody, żeby czym prędzej stąd wyjechać.

Dziewczyna popatrzyła na Carewe'a z zainteresowaniem, ale kiedy się odezwała, w jej głosie zabrzmiało powątpiewanie. - Mogę zmienić listę przewozową, jeśli sobie życzysz, ale pamiętaj, że ja nie latam samolotem sanitarnym. Co będzie, jak mi zemdleje w czasie lotu?

- Coś ty, taki duży i silny chłop miałby zemdleć? Zdradzę

ci sekret, Colleen, ten młody człowiek...

- Potrafi mówić sam za siebie - wpadł mu w słowo Carewe. - Zapewniam panią, że nie zrobi mi się słabo, nie zemdleję, ani nie popełnię żadnego innego głupstwa. Zabierze mnie pani czy nie?

- Tylko spokojnie - powiedziała Colleen, patrząc znów na Carewe'a, któremu wydało się, że dostrzega, na jej twarzy cień zakłopotania. - No dobrze, jeżeli jest pan gotów do drogi, to proszę wsiadać.

- Dziękuję.

Zauważywszy minę dziewczyny, Carewe poczuł, jak drgnęła w nim z nadzieją męska duma - czyżby zewnętrzne oznaki ostudzenia nie zdołały ukryć jego męskości? Usiadł na stopniu ciężarówki, obejmując rękoma drętwiejącą klatkę piersiową, a Parma z pilotką zajęli się wyładowywaniem dostaw z komory towarowej samolotu. Miał cichą nadzieję, że wystartują od razu, ale czekali jeszcze blisko godzinę na inne pojazdy, które podjeżdżały, zabierały albo zostawiały skrzynie i znikwały w lesie. Większość kierowców była zaprzyjaźniona z pilotką, a z rozmów wywnioskował, że pracowali dla wielu kontrahentów programu Wspólnarodów, specjalistów od sterowania pogodą, zaopatrzenia, transportu naziemnego, inżynierii budowlanej i dla innych służb niezbędnych do utrzymania zagubionej w głuszy wysepki cywilizacji technicznej. Niektórzy wchodzili do samolotu na papierosa i zamieniali parę słów z pilotką, a wówczas widział, jak rzucają w jego stronę zaciekawione spojrzenia. Martwiło go opóźnienie i to, że nie udało mu się zniknąć nagle i niepostrzeżenie, tak jak zaplanował. Każdy z tych ludzi kursujących pomiędzy bazą i samolotem mógł być agentem ukrytej potęgi, która usiłowała go zgładzić...

Słyszając niespodziewanie gromki wybuch śmiechu w samolocie, zerwał się na równe nogi i dokonał upokarzającego odkrycia, że jest zazdrosny. Na podstawie kilkuminutowej rzekomej zażyłości i jednego pytającego spojrzenia ubrdał sobie, że ma jakieś szczególne prawo do Colleen Bourgo. Ta sama logika co w bajce o księżniczce, która podświadomie rozpoznaje księcia ukrytego pod postacią żaby, a potem automatycznie wiąże się z nim na całe życie. Poczuli do siebie takie obrzydzenie, że aż prychnęli. „Nie ma co, ta rola sprawia ci wielką frajdę, powiedziała mu kiedyś Atena, ale to coś więcej niż paradowanie z zarośniętą twarzą i sączkiem”... Było to jednak, zanim jeszcze sprzeniewierzyła się wszystkiemu, co powiedziała w swoim kazaniu na temat monogamicznych małżeństw. Tym samym utraciła prawo do sążenia jego słabostek. Podszedł do przedniego wjazdu i zajrzał do samolotu. Colleen śmiała się z czegoś serdecznie i szczerze, a kiedy ich spojrzenia się spotkały, zobaczył, że jej oczy jeszcze bardziej przypominają migotliwe złote krążki. Z wyrachowanym rozmarzeniem odpowiedział uśmiechem na jej uśmiech i usiadł z powrotem w ciężarówce.

Wyglądało, że pomimo beztroski i swobody w zachowaniu Colleen bardzo starannie zaznacza w swoim notesie przywożone i odbierane towary. Ruch przy samolocie z wolna ustawał, aż wreszcie pozostała na miejscu tylko ciężarówka Parmy. Kiedy Colleen sprawdzała, czy luki ładowni są dobrze zamknięte, Carewe pożegnał się z Parmą.

- Dziękuję za wszystko - powiedział. - Jak tylko się dowiem, dlaczego to życie tak mi się pochrzaniło, skontaktuję się z tobą i wszystko ci wyjaśnię.

- Chętnie tego posłucham, Willy. Uważaj na siebie.

Carewe uściśnął mu rękę, wszedł do samolotu i przypiął

się pasami do fotela pasażerskiego w przedzie, tuż z boku za stanowiskiem pilota. Ucieszył się niezmiernie, kiedy okazało się, że będzie jedynym pasażerem.

- No to jazda - powiedziała Colleen zamykając hermetyczne przednie drzwi i przypinając się pasami do fotela. Z imponującą biegłością włączyła systemy sterowania, zapaliła rozruszniki nabojoye turbin i wolno skierowała samolot w górę. Kiedy wysunęli się ponad linię drzew, opuściła lekko dziób i wystartowała wspinając się ostro wzwyż, co wywołało u Carewe'a dziwne sensacje w pustym miejscu pod żebrami. Chwycił się za klatkę piersiową i nie puszczał.

- Przepraszam - powiedziała pilotka oglądając się na niego. - Boli pana?

- Niespecjalnie, ale mam wypuszczone powietrze z jednego płuca, które tak silnie reaguje na przyśpieszenie, że mogłoby służyć za bezwładnościowy układ sterujący.

- Jak to się stało?

- To kłopotliwa sprawa - odparł, a następnie opowiedział jej historię pchnięcia nożem, starając się nie przedstawiać siebie w bohaterskim świetle.

To fatalnie - powiedziała ze współczuciem - ale nadal nie rozumiem, dlaczego tak się panu śpieszyło, żeby uciec z bazy. Przez chwilę Carewe zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Chciał mnie zabić jeszcze ktoś, właśnie w bazie - rzekł i umilkł, ale nie usłyszał wybuchu śmiechu, którego się spodziewał. Colleen siedziała marszcząc brwi, a on dziwił się, jak mógł uważać, że jest zaledwie średnio atrakcyjna.

- Domyśla się pan, kto to mógł być i dlaczego to zrobił?

- Hmm... nie.

W jakimś zakamarku umysłu skojarzył wiszącą mu nad głową groźbę z faktem, że zaaplikował sobie dawkę E.80, ale

jedyną osobą, której mógł się zwierzyć z tych niepokojów, był Barenboim.

Colleen wzdrygnęła się zachwycająco.

- Jakie to wszystko tajemnicze i fascynujące - powiedziała.

- Tajemnicze, owszem - odparł Carewe - ale nie rozumiem zupełnie jaki przewód, to znaczy powód... przewód... przemówił do mnie przez patefon...

- Dobrze się pan czuje? - spytała Colleen odwracając się w fotelu. - Niejasno się pan wyważa... gwałtownie.

Wpatrywał się w nią z przerażeniem. Jakieś zastraszająco dziwne rzeczy działy się ze złotymi krążkami jej oczu... nie, nawet nie z samymi oczami, tylko z ich rozstawieniem... potwornie się rozbiegły, dzieliła je teraz odległość równa obwodowi wszechświata pomniejszonemu o szerokość nosa, dlatego choć nadal znajdowały się na jej twarzy, to jednak były oddalone miliony lat świetlnych od siebie...

- Nie powoli - krzyknęła. - Bezoddychaj!

- Twoje oczy to nie Einsteińska równoczesność mru-gania.

Ręce Colleen zatrzepotały jak spłoszone ptaki.

- Nie powiem, że nie potrzebujemy odwrotnej górnosci.

Ryk białej wichury, napór siły ciężenia... napór? Carewe zamrugał oczami i wyężając wzrok wpatrywał się w pozostałe fotele dla pasażerów. Zmieniały położenie względem siebie, ale tym razem naprawdę. Na ciele zacisnęły mu się metalowe ramiona. Zdrowe płuco łomotało mu w piersiach jak serce. Spojrzał w dół na tańczące w oddali wierzchołki drzew, a potem znów w górę. Wahadłowiec z ziejącą prostokątną dziurą w poszyciu leciał dalej i znajdował się wysoko ponad nim, malejąc coraz bardziej. Pozostałe fotele wokół niego unosiły się i

opadały na powietrznych prądach albo obracały się powoli wokół własnych osi, z wiszącymi bezużytecznie pasami. Czyste, zimne powietrze piekło go w nozdrza.

- Nie bój się - zawołała Colleen i tuż koło niego przesunął się większy od innych fotel pilota, z którego sterczały na wszystkie strony różne rurki, przewody i dźwignie. - Świat jest jak gruszka, której wierzchołek wyjdzie nam naprzeciw obrotowo.

- Co... co się stało? - krzyknął otępiały, wpijając palce w poręczę fotela. Gdzieś na zachodzie błysnęła wstążka rzeki i wydało mu się, że dostrzega na jej bliższym brzegu obłoczek dymu. Czubki drzew znajdowały się tuż, tuż i pięły się ku niemu z zastraszającą szybkością. - Co nas trafiło? - spytał.

- Każda rachuba to pewna zguba - odpowiedziała Colleen, której głos prawie zginął w szumie pędzącego powietrza.

- Uważaj - ostrzegł ją. - Zaraz lądujemy.

Przyjrzał się dokładnie poręczom fotela i odkrył w zagłębieniu sterczącą dźwignię, którą można było przestawić palcem. Przypomniały mu się setki broszur na temat bezpieczeństwa lotu, które kiedyś z uwagą przewertował. Pamiętał, że wciśnięcie dźwigni zwiększa porowatość niewidzialnej magnetycznej powłoki podtrzymującej fotel, a tym samym przyspiesza opadanie, zwolnienie jej nasila pole, a przesuwanie na boki odkształca powłokę tak, że fotel leci we wskazanym kierunku.

Carewe wzdrygnął się, bo minął właśnie wierzchołki drzew i zewsząd otoczył go i pochłonął bezkształtny kocioł z liści. Słyszał niewyraźnie, jak inne fotele przebijają się z trzaskiem przez bujną roślinność, ale całą uwagę skupił na minimalnych i pozornie nieważnych poruszeniach kciuka, które miały mu zapewnić bezpieczne lądowanie. Tuż pod nim wy-

strzeliło w górę jakieś mniejsze drzewo. Pchnął dźwignię w prawo, celując w szarzejącą czeluść, ale fotel nie zareagował dostatecznie szybko i poleciał skosem w dół przedzierając się przez gałęzie drzewa. Podskakiwał, drżał i zwalniał, Carewe'a zaś biły po twarzy drobne gałązki, no a potem wylądował na ziemi, jakimś cudem zachowując pionową pozycję. Przez bujną roślinność spadały z głośnym trzaskiem pozostałe fotele. Carewe nacisnął przycisk zwalniający, a kiedy metalowe ramiona schowały się do swoich gniazd, wstał swobodnie z fotela.

- Hej, hej! - usłyszał.

Zadarł głowę i zobaczył, że fotel Colleen uwiązł przechylony na bok w dolnych konarach rozłożystego drzewa. Dziewczyna znajdowała się około ośmiu metrów nad ziemią, ale mimo to uśmiechała się.

- Zaczekaj! - zawołał. - Wdrapię się na drzewo.

- Dobrze jest, jak jest. Bez rachuby nie ma zguby.

Colleen oswobodziła się z fotela i zrobiła krok naprzód w przepaść. Z rozwianą grzywą ciemnych włosów, przebierając leniwie nogami, poleciała jak kamień w dół i wpadła z impetem w krzaczastą kępę.

Carewe puścił się pędem po nierównym gruncie i trzęsącymi się rękoma rozgarnął krzew. Colleen była nieprzytomna, a po czole spływała jej pojedyncza, błyszcząca jak lakier strużka krwi. Uniósł jej jedną powiekę i opuszką palca dotknął gałki ocznej. Oko nie zareagowało, stąd na podstawie swojej skąpej wiedzy medycznej zorientował się, że Colleen znajduje się w stanie głębokiej utraty świadomości albo nawet doznała wstrząsu mózgu. Obmacał jej bezwładne ciało, a ponieważ nigdzie nie wyczuł złamania, wyciągnął ją z krzaka i ułożył na ziemi, na mchu.

Opadł na kolana u jej boku, obejrzał dokładnie wszystkie

zadrapania na swojej skórze i spróbował uporządkować w myślach całe wydarzenie. Przychodziło mu do głowy tylko jedno wytłumaczenie, a mianowicie, że do systemu klimatyzacyjnego wahadłowca wpuszczono przy pomocy mechanizmu zegarowego jakiś środek halucynogeny o szybkim działaniu. Nie był to illusogen ani żaden inny atestowany środek dostępny w handlu, ale specyfik powodujący zaburzenia w orientacji przestrzennej i ogólnej, a więc o właściwościach śmiertcionośnych w warunkach lotu. Wyglądało na to, że najpierw podzielał on na Carewe'a, być może dlatego, że jego jedyne czynne płuco pracowało z prawie maksymalną wydajnością, i przypuszczalnie z tego samego powodu również wcześniej został wydalony z jego organizmu. Dzięki temu Colleen została w porę ostrzeżona i katapultowała ich z samolotu, choć narkotyk działał na nią jeszcze po wylądowaniu i dlatego próbowała spaceru w powietrzu.

Czwarta z kolei próba morderstwa, pomyślał Carewe. W dodatku ten, kto za tym stał, okazał się na tyle bezwzględny, że gotów był za jednym zamachem posłać na śmierć niewinną kobietę. Zapałał na nowo bezsilnym gniewem. Znow ocalił mu życie pomyślny zbieg okoliczności, ale przecież los nie może mu sprzyjać bez końca...

Nasunęła mu się nowa myśl, wypierając inne. Jak dotąd zakładał, że ostatni zamach się nie powiodł, ale czyżby mimo to był skazany na niechybną śmierć? Wahadłowiec, bezduszna maszyna, leciał dalej na południowy zachód. Jego silniki, czerpiące z powietrza wodę, którą zamieniały w paliwo, prawdopodobnie miały go ponieść hen daleko przez Atlantyk. A wobec tego nie znał sposobu ściągnięcia ekipy ratowniczej na miejsce wypadku. Rozbili się pewnie ze sto kilometrów od najbliższej osady, i to w takim terenie, gdzie, jeśli ma się szczę-

ście, można zrobić najwyżej dziesięć kilometrów dziennie. On jednak, mając pod opieką ranną kobietę, posuwały się naprzód o wiele, wiele wolniej.

Brzęczenie skrzydlatych owadów w rozedrganym, ciężkim powietrzu nabrało złowróżbnych tonów i tak się wzmoгло, że trudno mu było zebrać myśli. Ścisnął dłońmi skronie. Rzeka, przypuszczalnie Kongo, którą dostrzegł opadając w fotelu, leżała w kierunku zachodnim - i tam właśnie unosiła się smużka dymu, która mogła oznaczać, że jest to jakaś osada. Spojrzał na Colleen i poklepał ją po twarzy w nadziei, że się ocknie, ale jej twarz pozostała blada i nieruchoma, jakby obca, odkąd osobowość przestała odciskać swoje piętno na jej rysach. Znów nawiedziło go uczucie, że właśnie przybył do Afryki i zaledwie przed kilkoma sekundami wyrwano go z Three Springs. Wstrząsająca obcość tego kontynentu rozpoczynała się od dziwnych i nieznanym mchów, na których klęczał, i rozpościerała we wszystkie strony na tysiące kilometrów, tajemnicza i wroga. On zaś, zagubiony w tym świecie, nie był przygotowany, żeby sobie z nim radzić. Nie miał nic do roboty w Afryce, nie miał prawa tu być, nie miał nawet prawa żyć. Rezygnację, jaka go ogarnęła, wyparł po chwili zacięty gniew, który stawał się stopniowo nieodłączną cechą jego charakteru.

Wsunął ręce pod leżącą Colleen, podniósł ją ostrożnie i ruszył na zachód, do rzeki.

Do zachodu słońca pozostało około godziny - nie mógł więc dotrzeć do rzeki przed zmrokiem - ale coś kazało mu iść i iść. Już po kilku minutach spłynął potem, a jego zdrowe płuco zachowywało się tak, jakby lada chwila miało pęknąć. Posuwał się naprzód jeszcze wolniej, niż przewidywał. Leśny teren był tak pofałdowany, że różnice wysokości wynosiły po wiele metrów, i nawet tam, gdzie nie blokowało mu przejścia poszycie i

pnącza, strome zbocza stanowiły przeszkodę nie do pokonania, zmuszając go do zbaczenia z prostej drogi. Szedł wytrwale - nie kładł teraz Colleen na ziemi, kiedy odpoczywał, tylko opierał ją o pień drzewa, by oszczędzić sobie morderczego wysiłku podnoszenia jej za każdym razem od nowa. Bezustanny skrzek małych ptaków chwilami przycichał brzmiąc jak echo wydarzeń z innego świata.

Kiedy ciemność rozstawiała pośród leśnych przejść swoje czujne straże, nogi zaczęły odmawiać mu posłuszeństwa. Dysząc chrapliwie rozglądał się dookoła w poszukiwaniu jakiego takiego schronienia. Colleen poruszyła się sennie w jego ramionach i jęknęła. Położył ją na ziemi, omal się przy tym nie przewracając, i wypatrywał pilnie kolejnych oznak jej powrotu do przytomności. Znów jęknęła, zadygotała i poruszyła bezładnie rękami. Spod półprzymkniętych powiek wyzierały białka oczu, a wstrząsające nią dreszcze gwałtownie się nasiliły.

- Colleen, słyszysz mnie? - zapytał natarczywie.

- Zi... zimno - powiedziała cienkim, dziecinnym głosem.

- Zaraz cię przykryję. Tylko... - mówiąc to, ściągnął tunikę, okrył ją starannie i ogarnął wzrokiem ciemniejącą panoramę lasu. Robiło się coraz zimniej, a do dyspozycji miał tylko trawę i liście. Zaczął więc rwać garściami wysoką trawę tam, gdzie powpadały w nią największe liście, i rzucał to wszystko na jej nogi i tunikę. Kiedy skończył, było już zupełnie ciemno, i teraz on z kolei zaczął dygotać z zimna. Wsunął się pod tunikę, starając się możliwie jak najmniej naruszyć pokrywającą ją warstwę roślinności, i objął Colleen. Poruszyła się u jego boku swobodnie i naturalnie, nasunęła nogę na jego nogę i ciało zalała mu fala ciepła. Leżał całkowicie nieruchomo, z zamkniętymi oczami, próbując odpocząć. Upływały niepostrzeżenie

minuty, może nawet godziny, w czasie których żeglował po płycznach oceanu snu. Chwilami przytomniał i wówczas jasne gwiazdy znajdowały się nie nad nim, lecz przed nim - przygwożdżony do najbardziej wysuniętego punktu umykającego świata, przelatował w zatrważającym pędzie przez zatłoczoną galaktykę. W końcu zorientował się, że Colleen nie śpi.

- Will? - spytała.

- Tak - odparł, starając się mówić spokojnie. - Jesteś bezpieczna. Nic ci nie będzie.

- Co się stało? Nachodzą mnie kompletnie zwariowane wspomnienia.

- Niestety, wplątałem cię w moje własne zagmatwane sprawy. Przedstawił jej swoją teorię wyjaśniającą, jak doszło do tego wypadku, a potem streścił dalsze wydarzenia.

- I chcesz mnie teraz zanieść na rękach aż do rzeki Kongo?

- Nie jesteś znów tak bardzo ciężka, przeszliśmy pewnie ze dwa kilometry - Spostrzegł, że nie cofnęła nogi przerzuconej przez jego nogę i że wciąż mocno przyciska piersi do jego boku.

Roześmiała się serdecznie w ciemnościach.

- Jesteś niemożliwy. Nie pomyślałeś, że...?

- Że co?

- Och, nic. Myślisz, że mamy jakieś szansę dotrzeć na piechotę do cywilizacji?

- Nie wiem - odparł przygnębiony. - Liczyłem, że dowiem się tego od ciebie.

Odczekała dłuższą chwilę, zanim znów się odezwała.

- Powiem ci jedno.

- Co takiego?

- Wcale nie jesteś ostudzony.

- O! - Zastanawiał się, czy nie zaprzeczyć, ale jego ciało dostarczało jej zasadniczego i niezbitego dowodu, że się nie myli. - Gniewasz się?

- A powinnam?

- Kiedy tu przylecieliśmy, widziałem, jak się opalasz.

- Coś mi się zdaje, że wcale nie dlatego udajesz, a zresztą już wtedy miałam wątpliwości. Ile kobiet udało ci się nabrać?

- Mnóstwo - zapewnił ją.

- W takim razie to nie były prawdziwe kobiety, Will.

Słowom tym towarzyszył łagodny, lecz sugestywny ruch biodrami, który odwzajemnił, gdyż nic w świecie nie mogło go od tego powstrzymać. Łapczywie przywarła ustami do jego ust i pił z jej warg oszołamiający nektar, który napełniał go ciepłem i otuchą. Czy potrzeba otuchy dostatecznie cię usprawiedliwia? - jego sumienie zadawało pytanie ciału. Opierał się przyływowi pożądania na tyle, żeby rozważyć argumenty przeciwko uleganiu nastrojowi chwili. Atena? Atena zmieniła zasady gry. A sama Colleen? Dotknął zaschniętej krwi na jej czole.

- Poraniłaś się - szepnął. - Czy to uczucie z mojej strony?

- Jestem nieśmiertelna, a nieśmiertelnym rany szybko się goją. - Czuł na podniebieniu jej gorący oddech. - A poza tym być może nigdy się stąd nie wydostaniemy.

- No dobrze - rzekł, przekręcając się i przenosząc ciężar ciała na giętką płaszczyznę jej bioder. - W takim razie oboje wygrywamy.

O świcie, kiedy nawzajem pomogli sobie ubrać się, Carrewe wziął Colleen pod rękę i chciał ruszyć na zachód, ale powstrzymała go.

- Nie w tę stronę - powiedziała. - Musimy wrócić tam, gdzie wylądowaliśmy.

- Co nam to da?

- Te fotele lotnicze to standardowy typ, używany przez Wspólnarody do akcji w dżungli; wszystkie mają nadajnik radiowy, który zaczyna wysyłać sygnały natychmiast po katapultowaniu.

Carewe chwycił ją za ramiona.

- To znaczy, że nie jesteśmy zgubieni? - zawołał.

- A czy ja mówiłam, że jesteśmy?

- Wczoraj powiedziałaś, że być może nigdy się stąd nie wydostaniemy - rzekł z wyrzutem.

Colleen wzruszyła ramionami z teatralną przesadą.

- Przecież mogły nas pokąsać jadowite żmije.

- Ach ty... - Potrząsnął nią, tłumiąc uśmiech. - Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym wczoraj?

- Hmm...

- Demonstrowałem hart ducha i szlachetność? Roześmiała się i objęła go w pól.

- Nie masz się czego wstydzić, Will, w tej roli jesteś niezrównany. Możesz powiedzieć żonie, że omotała cię pozbawiona skrupułów afrykańska pilotka.

- Skąd wiesz, że mam żonę?

- Ale masz, prawda?

- Jestem żonaty. Jeden na jeden. Czy to ma jakieś znaczenie? Zanim zdążyła dać mu odpowiedź, na którą się zastanawiała, od wschodu dobiegł ich warkot helikoptera.

- Musimy się pośpieszyć - powiedziała, wypytywać.

- Spodziewam się.

Carewe zmarszczył brwi. Wyratowanie ich z opresji oznaczało zarazem powrót do kłopotów, które jeszcze bar-

dziej się skomplikowały. Trudno o skuteczniejsze zniweczenie jego planu szybkiego i dyskretnego powrotu do Three Springs. Było do przewidzenia, że zniknięcie samolotu zwróci na niego powszechną uwagę, a tym samym zdradzi miejsce jego pobytu nieznanym osobnikom dybiącym na jego życie, może nawet zagrozi ujawnieniem tajemnicy E. 80.

- Czym się martwisz, Will? - spytała Colleen zaglądając mu w oczy. - Czy to było dla ciebie takie straszne?

- Było cudowne - rzekł z przekonaniem - ale to moje pełne tajemnic i niespodzianek życie z każdą chwilą coraz bardziej się komplikuje. Skorzystałem z twojego wahadłowca przede wszystkim dlatego, żeby szybciej dostać się do domu.

- Chcesz powiedzieć, że jeżeli będziesz musiał zatrzymać się na dłużej w Kinszasie, to grozi ci śmierć?

- Są jeszcze inne powody, których nie mogę ci wyjawić.

- Więc chodźmy. - Colleen puściła go i zaczęła iść. - Mam przyjaciół w Kinszasie, raz-dwa uporają się z formalnościami i wyprawią cię w dalszą drogę.

- Z formalnościami! - wykrzyknął Carewe, ruszając za nią. - Jak często zdarza ci się stracić samolot?

- Wcale go nie straciłam - odrzekła z politowaniem. - A od czego twoim zdaniem są systemy automatycznego lądowania? Wahadłowiec wylądował wczoraj w Kinszasie. Nie tak gładko jak pilotowany przeze mnie, ale jednak bez szwanku.

- Pełen gazu wywołującego halucynacje?

- Wątpię, ponieważ co cztery minuty system klimatyzacyjny całkowicie wymienia powietrze w kabinie.

- Naprawdę? - Pomógł jej przejść przez wykrot. - Ci, co na mnie polują, jak dotąd nie zostawili żadnych konkretnych śladów. Jeżeli pojemnik na gaz wykonano z samoniszczącego się plastiku, to nie pozostało nic... A jak wytłumaczymy fakt, że

opuściliśmy samolot?

- Powiem, że coś nawaliło. Zanim się w tym połapią, miną ze dwa dni.

- Jaka szkoda, że nie znam się na technice - powiedział z podziwem.

- Pomyśl, ile byś przez to stracił - odparła przekornie Colleen.

Z łatwością go wyprzedziła; mięśnie krzepkich, a mimo to zgrabnych nóg napinały jej się przy każdym kroku. Szli kierując się warkotem helikoptera i po kilkunastu minutach dotarli do miejsca, gdzie wylądowali. Kiedy odnaleźli pierwszy pusty fotel z samolotu, ubranie Carewe'a było mokre od rosy strząśniętej z potrącanych liści. Fotel leżał przewrócony na bok u stóp drzewa. Helikopter krążył cierpliwie nad baldachimem z gałęzi, które uginały się i kołysały pod naporem skierowanego, w dół strumienia powietrza.

- A gdzie mój fotel? - spytała Colleen.

Carewe rozglądał się przez chwilę i wskazał jej fotel, który do tej pory tkwił przekrzywiony w gałęziach drzewa.

- Tu wylądowałaś - powiedział. - A raczej zawisałaś.

Colleen gwizdnęła.

- I tak po prostu dałam krok?

- Jak to zobaczyłem, zupełnie straciłem głowę.

- Musisz przyznać, że to stawia sprawę w całkiem nowym świetle. Powiem koleżankom, co mają robić, kiedy znów będą lecieć na tej trasie.

Carewe z trudem zdobył się na uśmiech. Colleen zaczęła mówić tak jak te z jego sfrustrowanych znajomych, które często kończyły w Klubach Priapa, a mimo to wydawała mu się przy nich taka inna. Uprzytomnił sobie nagle, że zmiana zaszła w niej wtedy, gdy upewniła się, że jest żonaty. Obser-

wował z niepokojem, jak wspina się na drzewo i giętkim ruchem przerzuca ku tkwiącemu w gałęziach fotelowi. Wyjęła coś z niego, podniosła do ust i usłyszał jej głos ledwie przebijający się przez huk helikoptera. W chwilę później znalazła się z powrotem na ziemi poprawiając niebieską koszulową bluzkę, która wysunęła jej się zza paska spódnicy.

- Spuszczą po nas klatki - poinformowała go niedbałym tonem.

- Colleen - powiedział szybko - być może po raz ostatni mamy okazję porozmawiać na osobności.

- Możliwe.

Chwycił ją za obie ręce.

- Jestem żonaty od dziesięciu lat, ale dopiero wczoraj po raz pierwszy złamałem przysięgę małżeńską, pierwszy i jedyny - powiedział. Chciała wyrwać ręce z jego uścisku, ale jej nie puścił. - Tylko że wcale nie jestem pewien, czy nadal mam żonę. Coś między nami zaszło. Nie mogę ci o tym opowiedzieć, ale mój pobyt w Afryce w roli ostudzonego i starania, żeby nie dać się zabić, bezpośrednio się z tamtym wiążą.

- Dlaczego mi o tym mówisz?

- Bo nie chcę, żebyś myślała, że zmykam do ciepłego domowego zacisza i ciepłej żonki po małym skoku w bok. To nie w moim stylu.

- Ale dlaczego mi to wszystko mówisz?

- Bo liczę się z tobą. Mógłbym cię pokochać, Colleen. Spojrzała na niego wyzywająco.

- Tak ci się zdaje? - spytała.

- Wiem na pewno. - Własne słowa zasmuciły go, bo były bliskie prawdy, lecz nie całkiem z nią zgodne. Był wdzięczny Colleen, ale wdzięczność, której nie mógł wyrazić należycie, przerodziła się w poczucie winy. - Posłuchaj, jeżeli okaże się,

że nie mam już żony...

- Nie kończ, Will - przerwała mu z ironicznym uśmiechem. - Bo przesadzisz z tą szlachetnością.

Puścił jej ręce i instynktownie, zupełnie jakby się umówili, odsunęli się od siebie w chwili, kiedy wśród drzew pojawiły się dwie klatki spuszczone na chybił trafił z czekającego na nich helikoptera.

Rozdział jedenasty

Carewe odetchnął dopiero wysoko nad Atlantykiem, lecąc na zachód pojazdem podkosmicznym. Zamiast docierać odpowiednimi kanałami komputerowymi do kredytów Farmy i tym samym opóźnić podróż, wybrał inne wyjście - skorzystał z własnego kredytku, by opłacić przelot z Kinszasy do Lizbony, a stamtąd do Seattle. W Lizbonie przeżył nieprzyjemny moment, kiedy dowiedział się, że bilet będzie go kosztować ponad tysiąc nowych dolarów - przyszło mu na myśl, że jego konto bieżące okaże się niewystarczające. Jednakże sieć komputerowa potwierdziła jego wypłacalność i przypomniał sobie, że nowy dolar miał w tym miesiącu wyjątkowo korzystny kurs w stosunku do escudo.

Jednym z ubocznych skutków nieśmiertelności była konieczność zreformowania światowych systemów monetarnych. Pominąwszy nawet wynikający z niej wzrost wydajności pracy, średni dochód na głowę konsumenta w Stanach Zjednoczonych - szacowany na pięć tysięcy dolarów w połowie dwudziestego wieku, przy przewidywanej, skromnie licząc, stopie wzrostu wynoszącej dwa i pół procent - powiększyłyby się w ciągu trzech stuleci do sumy przekraczającej osiem milionów dolarów rocznie. Wejście w użycie biostatów, prowadzące do optymalnego wykorzystania potencjału umysłowego i dostępnych środków, wywindowało coroczny wzrost wydajności do poziomu dziesięciu procent i pojawiły się prognozy dochodów rzędu miliarda dolarów rocznie. Żeby nie dopuścić do tego, aby dolar stał się nic nie znaczącą jednostką monetarną, określono jego wartość jako stały i niezmienny ułamek produktu narodowego brutto, wyliczany raz na miesiąc. Na mocy międzynarodowego porozumienia inne państwa przedsięwzięły

podobne kroki, utworzono także pulę pieniężną Wspólnarodów, która miała wchłaniać różnice powstające pomiędzy walutami poszczególnych krajów.

Pojazd podkosmiczny schodził w dół przebijając się przez strefy gęstego powietrza, kiedy zagłębiony w fotelu Carewe dokonał zdumiewającego odkrycia. Przeleciał już z osiem tysięcy kilometrów i ani razu nie pomyślał, że - samolotowi grozi awaria. Ewentualne niebezpieczeństwa podróży powietrznej były niczym w porównaniu z tym, co przeżył w ciągu minionych dwu dni na ziemi - a przecież wyszedł z tego cało. Znalazł się w takich opałach, że jego los zależał wyłącznie od niego, i dał sobie radę. Myśl ta napełniła go tępym zdziwieniem, które nie opuściło go do chwili, kiedy wysiadał z niebotu w Seattle. Dzięki temu, że lecąc ze wschodu na zachód zyskiwało się na czasie, było tu dopiero późne popołudnie, więc udało mu się złapać podmiejski samolot, którym jeszcze przed zmrokiem dotarł do Three Springs.

Na pastelowe budynki padał coraz głębszy cień, w lustrzanych oknach i ścianach widokowych odbijało się niebo koloru patyny. Świat wydawał się znów krzepiąco znajomy i gnębiące Carewe'a poczucie zagrożenia osłabło. Pragnął już tylko jednego: dowiedzieć się, że Atena jest w domu i czeka na niego, a wówczas afrykański epizod rozwiąłyby się jak sen. W garażu na lotnisku wsiadł do bolidu i nie śpiesząc się pojechał do domu. Kopuiodom był pogrążony w ciemnościach, tak jak się spodziewał, dopiero jednak kiedy go zobaczył, przyznał sam przed sobą, że w skrytości ducha liczył, iż zastanie Atenę. Wszedł do środka i pozapalał światła. Przed wyjściem posprzątała dom tak starannie, że wyglądała, jakby nikt w nim nigdy nie mieszkał. Powietrze było sterylne.

Jak mogłem do tego dopuścić? - wyrzucał sobie. Przer-

ziła go własna głupota, rażąca niezaradność. Kiedy mgiełka E.80 rozsnuwała mu się w żyłach, powinien był zadzwonić do Barenboima i poprosić, żeby przekonał Atenę, jak wygląda prawda. Tymczasem on poświęcił swoje małżeństwo, żeby ochronić wynalazek, w który zainwestowała Farma, a jego poświęcenie okazało się zbyteczne, ponieważ wszystko wskazywało na to, że jacyś ludzie wiedzą już o E.80 albo przynajmniej coś podejrzewają. Był zmęczony i jego czynne płuco pompowało powietrze z takim trudem, jakby przed chwilą ukończył bieg, lecz mimo to postanowił jechać do Ateny i wszystko naprawić. W razie potrzeby gotów był zabrać ją do Barenboima - istniał jednakże prostszy, a zarazem przyjemniejszy sposób udowodnienia jej, że jest nadal sprawnym mężczyzną...

Podszedł do wideofonu i podał numer komuny, w której mieszkała Katarzyna Targett, matka Ateny, zanim jednak dokonano połączenia, odwołał je. Do komuny było stąd niecałe piętnaście kilometrów, mógł więc tam dojechać w ciągu kilku minut. Nie odwiedzał jej od ponad dwu lat, ale mógł wprowadzić telekomunikacyjno-kartograficzny numer budynku do drogowskiżnika w bolidzie i korzystać w trakcie jazdy z komunikatów dotyczących trasy. Zapadła już noc, kiedy zajechał przed dwupiętrową budowlę, którą łatwo było rozpoznać, bo takie właśnie oddawano do użytku kobietom pragnącym żyć grupowo. Znajdowały się tam oddzielnie mieszkania przeznaczone dla matek z córkami połączonych silną więzią rodzinną, a także służące przelotnym romansom z wędrownymi mężczyznami, poza tym jednak życie toczyło się wspólnie. Carewe'owi nie podobało się tutaj, głównie - jak przypuszczał - dlatego, że jego własna matka po odejściu ojca, który poszedł szukać szczęścia w innych związkach, mieszkała nadal w domu jednorodzinnym. Okazało się, że brama jest otwarta,

wszedł więc do środka na prostokątny dziedziniec, gdzie szczuła brunetka, na oko dwudziestokilkuletnia, doglądała klombu z kwiatami. Sądząc z wyglądu, mogła być matką Ateny, ale ponieważ nie miał pamięci do twarzy, nie był pewien.

- Pani Targett! - zawołał i podszedł bliżej. - Czy pani jest matką Ateny?

Zagadnięta obróciła ku niemu twarz z uśmiechem, który nie zdołał ukryć chłodu, jaki pojawił się w jej spojrzeniu, kiedy spostrzegła jego pozbawioną zarostu szczękę.

- Nie - odparła.

- Przepraszam. Wygląda pani...

- Na kogoś z rodziny? - dopowiedziała. Głos miała ciepły, dźwięczny. - Bo jestem. Jestem babką Ateny. A pan?

- Nazywam się Will Carewe. Nie wiedziałem, że...

- O, żyją tu nas cztery pokolenia. Targettówny to staroświecki ród, lubimy się trzymać razem.

Jego rozmówczyni zakopała ziarnko w wilgotnej ziemi, włączyła ręczny rzutnik biotroficzny kierując go na nasionko i śledziła krytycznym okiem, jak z ziemi węzowym ruchem wyskakuje pęd, rozrasta się puszczając liście i zakwita, zupełnie jak na przyśpieszonym filmie.

- To bardzo... ładne - rzekł niepewnie. Córki obsesyjnie przywiązane do swoich matek, które z kolei same były córkami związanymi uczuciowo ze swoimi matkami, i tak dalej, zawsze budziły w nim odrazę. W niektórych komunach mieszkało po osiem pokoleń kobiet, co przywodziło na myśl nie kończący się szereg mieszczących się jedna w drugiej lalek. - Więc rodzinna nie straciła całkiem swojego znaczenia.

- Owszem. - Babka Ateny, która właściwie mu się jeszcze nie przedstawiła, zgasiła rzutnik. Przyklęła, żeby obejrzeć z bliska nowy kwiat, syknęła niezadowolona i wyrwała go. Ci-

snęła roślinę na ziemię, gdzie jej białawe korzenie zadrgały anemicznie jak robaki. - Za wysoki. Kiedy się dobrze nie skupię, wyrastają mi za wysoko.

- Przepraszam.

Carewe przyglądał się błędzającym na oślepek korzeniom, a tymczasem babka Ateny przestawiła dźwigienkę rzutnika i ponownie skierowała go na kwiat. Roślina poczerniała i szczyła, zwracając swoje składniki glebie.

- Ma się z głowy całą robotę w ogródku i w dodatku nie trzeba czekać, co? - zagadnął.

- Jeżeli się panu nie podoba, Will, a widzę to po pańskiej minie, najlepiej powiedzieć wprost.

- Kto mówi, że mi się nie podoba? - odparł Carewe i zaśmiał się nieszczerze, przyglądając się plamie na ziemi i myśląc nie wiedzieć czemu o żabie, którą uratował od śmierci na parkingu Farmy.

- Atena mówiła, że w głębi ducha jest pan luddystą.

- Może nie jest aż tak źle, skoro tylko w głębi ducha - odparował, zastanawiając się, co to znaczy „luddysta”. - Chyba mnie za to nie aresztują.

Babka Ateny prychnęła.

- No więc? Gdzie jest Atena? - zapytała.

- O to właśnie chciałem panią spytać.

- A niby skąd ja mam wiedzieć? Wyjechała stąd wczoraj, zaraz po pańskim telefonie. - Babka Ateny podniosła się i zarzała Carewe'owi w oczy. - Jak to, czyżby...

- Wczoraj byłem jeszcze w Afryce - wyjaśnił ochryplym głosem. - Do nikogo nie dzwoniłem.

- Więc gdzie ona jest?

Słowa te już właściwie do niego nie dotarły, bo odwrócił się na pięcie i wybiegł, lecz pytanie to nie dawało mu spokoju

przez całą drogę do domu.

Staranne przeszukanie kopułodomu nie ujawniło żadnych śladów mogących naprowadzić na jej trop - nie był nawet pewien, czy Atena tu wczoraj zaglądała. Nie zostawiła żadnej nagranej wiadomości, żadnej karteczki. Zupełnie nic. Znów zabrakło mu nagle tchu w piersiach, podbiegł do wideofonu i podał numer dyrekcji Farmy. W ognisku projekcyjnym aparatu pojawiła się trójwymiarowa rysunkowa postać wyobrażająca tradycyjną sekretarkę.

- Z przykrością informuje panią (pana) - oznajmiła energicznie - że jest już po godzinach urzędowania i pracownicy Korporacji Farma zakończyli prace. Będą ponownie do dyspozycji dokładnie od godziny dziewiętej trzydzieści.

- Mam bardzo pilną sprawę służbową do pana Barenboima.

- Postaram się pomóc w miarę swoich możliwości. Czy zna pani (pan) kod uprzywilejowany?

Carewe podał kod celowo skomplikowany, którego uczyli się na pamięć wszyscy pracownicy Farmy wyższego szczebla, służący do kontaktowania się w sprawach niecierpiących zwłoki. Sekretarka, będąca obrazem w mózgu komputera Farmy, pokiwała w zamyśleniu głową.

- Mniej więcej do północy pana Barenboima będzie można zastać w domu pana Emanuela Pleetha - poinformowała go. - Mam połączyć?

Kiedy Carewe w odpowiedzi wyłączył aparat, rozczarowana zniknęła rozpluwając się w świetlistej mgiele. W pierwszej chwili chciał zadzwonić do Barenboima, ale ponieważ zniknięcie Ateny mogło mieć związek z wynalazkiem E.80, postanowił działać jak najostrożniej. Trudno było założyć podsłuch na łączach wideofonów, dopuszczał jednak taką możli-

wość.

Wrócił do bolidu szybkim, niezbyt skoordynowanym i dopiero co wyuczonym krokiem, dzięki któremu mógł się poruszać dostatecznie prędko, a nieczynne płuco nie obijało mu się o żebra. Nogi miał jak z waty, co przypomniało mu, że od dwóch dni właściwie nic nie jadł. Ponieważ jeszcze nigdy nie był w domu Pleetha, z grubsza tylko orientował się w jego położeniu, ale drogowski znak w bolidzie podał mu adres i pouczył go, którądy najlepiej się tam dostać. Pół godziny potem wjechał przez bramę niewielkiej posiadłości leżącej około dziesięciu kilometrów na północ od Three Springs. Dom, zbudowany z prawdziwego kamienia, był niski, ale obszerny. Z jego okien padało na schodzące tarasami trawniki ciepłe światło. Bujna roślinność i niezwykle ciepłe jak na tę porę roku wieczorne zefirki zdradzały, że cała posiadłość jest klimatyzowana. Wysiadając z bolidu Carewe rozejrzał się dokoła z podziwem i odetchnął głęboko wonnym powietrzem. Nie wątpił, że wiceprezes Farmy zarabia bardzo dużo, nie podejrzewał jednak, że sztucznie uśmiechający się Pleeth żyje aż tak dostatnio. Przeszedł przez małe patio i już podchodził do drzwi, kiedy te otworzyły się nagle. Wybiegł przez nie z wyciągniętymi do Carewe'a rękoma Barenboim, zaś rumianolicy Pleeth przyglądał się temu z nieprzeniknioną miną, stojąc w progu.

- Willy! Mój drogi! - zawołał Barenboim, a jego oczy, osadzone głęboko w oczodołach, wyrażały wielkie zaniepokojenie. - Co ty tu robisz?

- Muszę z tobą pomówić - odparł Carewe, który spozostzegając zatroskanie Barenboima pojął, że tamten odgrywa je specjalnie dla niego, nie potrafił jednak przejrzeć zamiarów dwustuletniego ostudzeńca i domyślić się, co się za tym kryje.

- Ależ proszę, proszę, wchodź i siadaj - zapraszał go Ba-

renboim, biorąc pod rękę i wprowadzając do środka za idącym w milczeniu Pleethem. - Doszły mnie wieści z Afryki, że rano no cię i trafiłeś tam do szpitala, potem znów, że zniknąłeś czy cos takiego. Martwiliśmy się o ciebie.

Weszli do dużego pokoju pełnego książek, w którym z lamp sączyło się łagodne światło, dobywając błyski z drewnianych mebli. Na samym środku na stole stał nieduży globus. Pozwalając się bezwolnie prowadzić, Carewe usiadł w fotelu na wprost kominka, na którym płonęły bierwiona łudzaco podobne do prawdziwych.

- To nie ja zniknąłem, tylko moja żona - sprostował.

- Niemożliwe, Willy, w naszych czasach kobieta nie może zniknąć. Zawsze pozostawia wyraźny trop w postaci operacji kredytowych w...

- Ja nie żartuję - przerwał mu ostro Carewe, odkrywając ze zdumieniem, że szacunek, jaki budził w nim kiedyś Barenboim, zniknął bez śladu.

- Ależ naturalnie, Willy. Nie chciałem wcale... - urwał i spojrzał na Pleetha, który stał w kącie przysłuchując się pilnie rozmowie. - Może w takim razie opowiesz mi, co się stało.

- Od jakiegoś czasu ktoś chce mnie zabić, a teraz na dobitkę zniknęła Atena - powiedział Carewe i zawiesił głos, żeby przyjrzeć się minie Barenboima, po czym przedstawił mu w skrócie wydarzenia minionych dwu dni.

- A więc to tak - rzekł Barenboim, kiedy Carewe skończył opowiadać. - I przypuszczasz, że ma to coś wspólnego z wynalazkiem E.80?

- A ty jak uważasz?

- Przykro mi to mówić, Willy - odparł Barenboim z twarzą zastygłą w wyrazie troski - ale skłonny jestem przyznać ci rację. Stało się dokładnie to, czego za wszelką cenę pragnęli-

śmy uniknąć.

- Ale... - W głębi ducha Carewe liczył na to, że jego domysły zostaną odrzucone. - Jeżeli ktoś uprowadził Atenę, to co się z nią stanie?

Barenboim podszedł do barku i nalał whisky.

- Jeżeli boisz się, że porwacze ją skrzywdzą, to możesz spać spokojnie - rzekł. - Eksperymenty interesujące naukowca specjalizującego się w biostatyce wymagają zachowania danego osobnika w idealnym zdrowiu.

- Jakże znowu eksperymenty?

- Może być szkocka? - spytał Barenboim, wręczając Carewe'owi szklaneczkę. - Manny wyjaśniłby ci to lepiej ode mnie, ale mówiąc krótko, chodziłoby im o upewnienie się, że płód rozwija się normalnie. To bardzo ważne, słyszałeś kiedyś o thalidomidzie?

- Hm... nie.

- Następna sprawa to dziedziczność. Przypuśćmy, że urodzi się chłopiec: czy budowa jego komórek i mechanizmy ich odtwarzania będą takie jak u człowieka śmiertelnego, czy nieśmiertelnego? Przypuśćmy, że męski potomek sprawnego mężczyzny, nieśmiertelnego dzięki E.80, okaże się niesprawny, co wtedy?

- Nie widzę, żeby to wiele zmieniało - zniecierpliwił się Carewe.

- Być może, ale chcę ci tylko dać jakieś takie pojęcie, dlaczego konkurująca z nami firma mogłaby się interesować twoją żoną. My też chcielibyśmy się tego dowiedzieć. Najważniejsze, że jest całkowicie bezpieczna, dopóki jej nie odnajdziemy i nie odzyskamy.

- Słusznie! - Carewe wychylił szklaneczkę i wstał. - Zaraz zawiadomię policję.

- Nie radziłbym ci tego robić - powstrzymał go Barenboim, a stojący wciąż w kącie Pleeth poruszył się niespokojnie.

- Dlaczego?

- Powiem ci szczerze, Willy, jak się sprawy mają. Jesteś zbyt uparty, więc nie liczę, że puściłbyś mi płazem, gdybym coś zataił. Jeżeli na tym etapie wprowadzimy do akcji policję, jutro rano o E.80 będzie wiedział cały świat. Chcemy oczywiście udostępnić światu nasz wynalazek, ale nie w taki sposób, żeby skorzystali na tym wszyscy nasi konkurenci...

- A tymczasem dzień w dzień tysiące mężczyzn się utrwała - wtrącił gniewnie Carewe, myśląc o afrykańskich tubylcach, których wbrew ich woli pozbawił męskości.

Barenboim wzruszył ramionami.

- To lepsze niż śmierć, Willy - rzekł. - Ale nie dałeś mi skończyć. Masz prawo iść na policję i mimo konsekwencji wynikających stąd dla Farmy nie śmiałbym cię powstrzymywać, ale chciałbym ci zaproponować inne wyjście.

- Zamieniam się w słuch.

- Moim zdaniem, dobry prywatny detektyw znajdzie twoją żonę szybciej niż wataha gorliwych, ale hałaśliwych policjantów, a w ten sposób i ty, i Farma lepiej na tym wyjdziecie. Znam właściwego człowieka, który chętnie się tego podejmie, i gotów jestem w tej chwili do niego zadzwonić. Proszę cię tylko, żebyś dał mi tydzień czasu. Jeżeli przez tydzień nic nie wskóramy, wezwiesz policję. Co ty na to, Willy?

- Czy ja wiem - bąknął Carewe. Przyglądając się szczerze zatroskanej twarzy Barenboima znów odniósł przelotne wrażenie, że nim manipuluje, musiał jednak uznać słuszność jego argumentów. - Czy ten twój człowiek jest na pewno najlepszy?

- Najlepszy z najlepszych. Zaraz do niego zadzwonię.

- W tym pokoju nie ma końcówki wideofonu - powie-

dział Pleeth, odzywając się po raz pierwszy od początku rozmowy. - Możesz skorzystać z aparatu w dużym salonie. Proszę tędy.

- Oto i grzech tradycyjnej architektury: nic dla wygody, wszystko dla efektu - westchnął Barenboim. - Nalej sobie jeszcze, Willy, a my pójdziemy zadzwonić. Jestem pewien, że gospodarz nie będzie miał nic przeciwko temu. Prawda, Manny?

- Czujcie się jak u siebie w domu.

Pleeth spojrział zaczerwienionymi oczami na Carewe'a i napiął jeszcze silniej cienki łuk ust, święcąc w duchu sekretne triumfy.

Po wyjściu ich dwóch z pokoju Carewe dołał sobie whisky i sącząc ten rozgrzewający słodowy trunek, podszedł do stołu, przyglądając się globusowi. Mały, mniej więcej wielkości pomarańczy, mieścił się w skomplikowanej obudowie z zawieszeniem kardanowym, zwieńczonej układem soczewek, a kontynty rozmieszczono na nim całkiem na opak. Przyjrzał się uważniej i spostrzegł, że wszystko jest odwrócone, jak w lustrze. Powierzchnia globusa była upstrzona tysiącami nazw geograficznych, z których żadna nie dawała się odczytać gołym okiem. Przypatrując się dokładniej podstawce, Carewe odkrył na niej dwa rzędy przycisków objaśnione napisami „Długość geograficzna” i „Szerokość geograficzna”. Nie mogąc wyjść z podziwu nad pomysłowością i precyzją urządzenia, nacisnął większy od pozostałych czerwony guzik. Globus zakręcił się, ustawiając zgodnie z zaprogramowanymi współrzędnymi, a w soczewkach rozbłysło światło.

Spoglądając na fragment globusa wyświetlony w postaci przeźrocza na suficie, łyknął ze szklaneczki i raptem alkohol utracił cały smak, bo na samym środku świetlistej mapy spostrzegł afrykańską miejscowość Nouvelle Anvers. A więc Ba-

renboim i Pleeth z jakiegoś na razie im tylko wiadomego powodu studiowali akurat ten niewielki skrawek kontynentu, na którym on o mały włos nie postradał życia.

Zgasił rzutnik i usiadł z powrotem na fotelu, chcąc za wszelką cenę wyglądać swobodnie, kiedy jego pracodawcy wrócą do pokoju.

Rozdział dwunasty

Po raz pierwszy w życiu znalazłszy się oko w oko z prywatnym detektywem, Carewe przyglądał się Teodorowi Gwynne'owi z zainteresowaniem. Ten niski, energiczny mężczyzna o czujnym spojrzeniu, wyglądający, jakby ostudził się około pięćdziesiątki, obdarzony był umysłem, który zdawał się pracować w przyśpieszonym tempie - pędził jak opętany, po to tylko, by puentować żartem wszystko, co się mówiło. W oczach Carewe'a Gwynne rzucał się na każdą choćby najbaldźniejszą uwagę, jak terier na zdobycz i targał ją tak długo, dopóki z niej nie wyszarpał jakiegoś aforystycznego strzępa. Każda krótka wymiana zdań z udziałem czterech panów zgromadzonych w bibliotece Pleetha kończyła się jakimś epigramem, który Gwynne wypowiadał ściszym głosem, odsłaniając przy tym w uśmiechu garnitur śnieżnobiałych zębów. Początkowo Carewe miał wątpliwości co do jego kompetencji, zauważył jednak, że Barenboim zwraca się do Gwynne'a z niejakim szacunkiem i przysłuchuje się uważnie każdemu słowu detektywa.

- Wygląda więc na to, Teodorze, że powierzamy ci naraz dwa zadania - powiedział w zamyśleniu Barenboim, składając pulchne ręce jak do modlitwy.

- Dwa zadania, ale spadłbyś z krzesła, gdybym zażądał podwójnego honorarium - odparł Gwynne, błyskając zębami w przelotnym uśmiechu. - Przepraszam cię, mów dalej.

Barenboim uśmiechnął się wyrozumiale.

- Prosimy cię o odnalezienie żony Willy'ego - rzekł. - Poza tym jest jeszcze jego osobista sprawa. Otóż Willy jest przekonany, że ktoś chciał go zamordować.

- O, to fatalnie - powiedział Gwynne, spoglądając ze

współczuciem na Carewe'a. - Tylko jedno jest gorsze od niedanego zamachu na nasze życie: zamach udany.

Nauczony doświadczeniem Carewe skinął głową. Już wcześniej zwrócił uwagę na sposób, w jaki Barenboim okazał brak wiary w autentyczność śmiertelnego niebezpieczeństwa wiszącego nad jego głową. Częstką swojego jestestwa odczuwał rozdrażnienie, że nie może przekonać nikogo, iż jest celem ataków mordercy; ale ogień na kominku tak miło grzał go w nogi, a szkocka tak miło grzała mu żołądek, że przeniknęła go rozkoszna błogość, zmieniając ogarniające go znużenie w zmysłową przyjemność.

- Nie widzę trudności - rzekł sennie. - Chciałbym współpracować z Teodorem, kiedy będzie szukał mojej żony. Domyślałam się, że jednocześnie zatroszczy się o to, żebym ja był zdrow i cały.

- Domyślałam się, że jako doktor Gwynne - wtrącił Gwynne zacierając ręce. - Wobec tego będę mógł zażądać dodatkowo honorarium za opiekę lekarską.

- A propos, Willy. Jesteś przecież jeszcze rekonwalescentem - powiedział Barenboim. - Byłeś już u lekarza?

- Jeszcze nie. Przyzwyczyliem się do funkcjonowania na pół pary.

- Nie znam się na tym, ale brzmi to groźnie. Przyślę ci naszego lekarza zakładowego.

- Nie rób sobie kłopotu - odparł Carewe, w którym odżyła gwałtownie świeżo nabyta niechęć do szpitali. - Rano wybiorę się do swojego lekarza.

- Dobrze. Każ mu przesać rachunek. do Farmy.

- Dziękuję. - Carewe przyłapał się na tym, że o mało me zasnął. - Powinienem chyba iść do domu.

- Nie ma potrzeby - odezwał się ze zdumiewającą żarli-

wością Pleeth, który cały czas siedział sztywno w nietypowym dla siebie bezruchu na niewidzialnym wiktoriańskim krześle, bawiąc się złotym wisiorkiem w kształcie cygara. - Proponuję nocleg u mnie, serdecznie zapraszam.

Carewe potrząsnął przecząco głową.

- Wolałbym jednak wrócić do siebie - odparł. - Tam najprędzej spodziewałaby się mnie znaleźć Atena.

Wstał i upewniwszy się, że Gwynne zna jego domowy numer, wyszedł i wszedł do bolidu. Kiedy dojechał do domu, nogi ugiwały się pod nim przy każdym kroku i ledwo się położył, zasnął.

Obudził się rano i od razu jego obawy o bezpieczeństwo Ateny, które wieczorem tak łatwo dały się rozproszyć argumentami Barenboima, powróciły ze zdwojoną siłą. Z rozmowania prezesa wynikało, że nikt nie ma powodu krzywdzić Ateny, jednakże rozumując podobnie, nikt również nie miał powodu krzywdzić jego. A przecież czterokrotnie w ciągu jednej doby otarł się o śmierć. Chociaż nie czuł głodu, zrobił sobie lekkie śniadanie, składające się z jajek i soku z owoców cytrusowych, a potem podszedł do wideofonu i połączył się z doktorem Westi. Umówił się z nim na dziesiątą, a wolny czas wykorzystał na depilację zarostu na twarzy i znalezienie czystego ubrania.

Gabinet doktora Westi mieścił się na ósmym piętrze siedziby sztuk medycznych w Three Springs. Carewe zjawił się tam nieco za wcześnie, ale cybernetyczna sekretarka nie kazała mu czekać i wpuściła go od razu do środka. Wyglądający na naukowca Westi, który ostudził się dopiero po sześćdziesiątce, wskazał mu krzesło.

- Dzień dobry, Will - przywitał go serdecznie. - Co to, masz kłopoty z przystosowaniem się?

- Jak to?

- Z twojej kompartki wynika, że oboje z Ateną zostaliście niedawno zarejestrowani w ministerstwie zdrowia jako nieśmiertelni. Pomyślałem, że może...

- Ach tak, już rozumiem. Nie, to nie hydra pożądania podnosi swój ohydny łeb, ale... czy możesz mi coś poradzić na podupadłe płuco?

Najlepiej jak umiał, Carewe opowiedział, co mu się przydarzyło, bez wyjaśniania, dlaczego nagle i bez uprzedzenia opuścił szpital polowy Wspólnarodów.

- Właściwie to powinienem ci podziękować, Will - powiedział Westi przyglądając mu się w zamyśleniu. - W ciągu blisko osiemdziesięciu lat praktyki lekarskiej po raz pierwszy stykam się z przypadkiem rany kłutej. Rozbierz się do pasa, a ja tymczasem sprawdzę, co też oni z tobą zrobili.

Włączył stojącą na biurku końcówkę komputera i zamówił szczegółowe informacje o leczeniu Carewe'a w szpitalu w Afryce. Po ledwie dostrzegalnej chwili zwłoki urządzenie wypluło pasek papieru, który Westi przestudiował z zainteresowaniem. Odłożywszy go, zdjął z piersi Carewe'a opatrunek. Kiedy ciepłymi, suchymi palcami obmacywał okolice rany, Carewe starał się nie patrzeć w dół.

- Wygląda dobrze - orzekł wreszcie Westi, choć w jego głosie pobrzmiwała wątpliwość. - Jak dawno temu, dokładnie, zrobiłeś sobie zastrzyk?

Carewe obliczył w myślach.

- Dziesięć dni temu - powiedział.

- Aha. A jakiej marki był pistolet?

- Pracuje dla Farmy - odparł Carewe jak mógł najspokojniej, mimo że poczuł dreszcz niepokoju - więc naturalnie...

- Czyli że użyłeś Farmy E.12?

- Oczywiście, a dlaczego pytasz?

- A, to drobiazg. Wydało mi się, że rana goi się trochę wolniej, za wolno jak na nieśmiertelnego. Prawdopodobnie coś zaburzyło proces gojenia. Teraz proszę usiąść, a ja obejrzę sobie to płuco.

Westi przyłożył do żeber Carewe'a holowziernik, żeby zbadać prawe płuco. Przerażony myślą, że mógłby przypadkiem zobaczyć przelotnie własne wnętrzności, Carewe zamknął oczy i nie otwierał ich aż do końca badania.

- Właściwie wygląda zupełnie zdrowo, myślę, że będzie je można znów uruchomić - oznajmił Westi.

- To znaczy co? Napompować?

- O, nic tak drastycznego - zapewnił go Westi z uśmiechem. Wstrzyknę ci do klatki piersiowej środek klejący i na powrót przyczępię płuco do żeber. Nic nie poczujesz.

Carewe skinął ponuro głową i wyteżając wyobraźnię przywołał w myślach twarz Ateny.

Zsuwając się niepostrzeżenie w dół po osiągnięciu zenitu słońce zmieniało kształt, przekraczając niewidoczne bariery oddzielające od siebie poszczególne strefy sterowania pogodą. Niczym ameba, lub kropla oliwy spływająca po szkle, jego owal ulegał zniekształceniu, wydłużał się, rozbryzgiwał tworząc krwawą rosę, która następnie zlewała się z powrotem. Słabnące żywioły zimy, pokonane przez okołoziemskie krzywizny, czaiły się od północy, ale utrzymywano je w ryzach. Carewe przechadzał się po ogrodzie, usiłując przystosować się do ilowego tempa wydarzeń. Od tamtego pamiętnego ranka, kiedy Barenboim wezwał go do swojego gabinetu, dni mijały mu zapalając się i gasnąc jak błyskawice, nieregularnie i z zawrotną szybkością. A tu raptem czas stanął w miejscu, on zaś czekając na wiadomość od Gwynne'a czuł się jak mucha uwię-

ziona w bursztynie. Przeszedł w tę i z powrotem kilka razy cały ogród, myśląc bez związku o tym, że przydałoby się doprowadzić do porządku kępy porostów z Marsa, które zaczynały się rozrastać samopas, jednakże nie był w stanie zająć się poważnie rzeczą tak banalną.

- Jak się masz, Willy - dobiegł go głos z sąsiedniego ogrodu. - Nie widziałem cię ostatnio, gdzie się podziewałeś?

Carewe obrócił się i zobaczył ogorzałą twarz Bunny'ego Costelli, który przyglądał mu się zza ogrodzenia.

- W Afryce - odparł, żałując daremnie, że nie spostrzegł go odpowiednio wcześniej, żeby się wycofać i uniknąć spotkania. Sąsiad, najstarszy człowiek, jakiego znał, starszy nawet od Barenboima, przyszedł na świat w pierwszej połowie dwudziestego wieku i był już jedną nogą w grobie, kiedy nastąpiła biostaty, w samą porę, jak obliczał Carewe, żeby uratować mu życie.

- W Afryce? Co ty powiesz - prychnął z niedowierzaniem Costello. - A szanowna małżonka razem z tobą?

- Co ty właściwie wiesz, Bunny?

- Co ja wiem? O czym?

- O mnie i o Atenie - wyjaśnił Carewe, wzdychając ciężko.

- Co o nas słyszałeś?

- Nic a nic. Zresztą nie mam zwyczaju powtarzać plotek, całym sercem jestem za staroświeckim małżeństwem, drogi chłopcze.

A więc wiedzą, pomyślał Carewe.

- To czemu sam nie spróbujesz? - spytał.

- To straszne, Willy. Okropne. Wiesz, ja już byłem kiedyś żonaty.

- Naprawdę? - rzekł Carewe i zaczął się wycofywać.

- Tak... ale nie mogę sobie przypomnieć rysów jej twa-

rzy. Ani nawet imienia.

Czoło Carewe'a, owiane popołudniowym wietrzykiem, zrobiło się nagle chłodne.

- Ależ ty masz pamięć, Bunny - powiedział.

- Nie gorszą od innych, sięgam pamięcią około stu lat wstecz.

- Znam takich, którzy sięgają dwa razy głębiej.

I jaki to ma sens, zastanawiał się. Po co ci, człowieku, milion nowych dni, jeżeli nie możesz zachować ich w pamięci?

- Grunt to zachować ciągłość - mówił Costello, osłaniając oczy przed słońcem. - Żeby zachować wspomnienia, trzeba je, rozumiesz, odświeżać. Prowadziłem przez jakiś czas pamiętnik i przechowywałem fotografię, ale jedno i drugie gdzieś mi przepadło. Trochę też podróżowałem, no i straciłem ciągłość. A ty, Willy, prowadzisz pamiętnik?

- Nie.

- Radzę ci, zacznij. Wystarczyłby mi jeden punkt zaczepienia. Jeden ślad, a odtworzyłbym pięćdziesiąt lat. Niestety w czasie Wielkiego Zjednoczenia byłem akurat w Ameryce Południowej i nikt nie mógł odnaleźć moich akt.

- A hipnoza nie pomaga?

- Nic z tego. Matryce komórkowe przepadły. Nawet u śmiertelnych ulegają z czasem zatarciu, a przypuszczam, że biostaty ten proces przyśpieszają. - Costello uśmiechnął się ze smutkiem. - Możliwe, mój drogi, że starzenie się i pamiętanie przeszłości to jedno i to samo. Więc jeżeli człowiek przestaje się starzeć...

Wiele czasu minęło, zanim Carewe uwolnił się od Costelli i wrócił do zacisza swojego kopułodomu. Wziął prysznic, a potem zrobił sobie herbakawę, jednakże przygnębienie, jakie ogarnęło go podczas rozmowy ze starym ostudzonym, nie

chciało ustąpić. Czy to możliwe, że nadejdzie dzień, może już za sto lat, kiedy będę musiał zajrzeć do pamiętnika, żeby przypomnieć sobie kolor włosów Ateny? - zapytywał siebie w duchu. - Czy w ogóle istnieje coś takiego jak nieśmiertelność bez zachowania absolutnej ciągłości osobowości? Czy też oznacza ona po prostu, że moje nieśmiertelne ciało zamieszkiwać będzie szereg nieznanomych, wtapiających się kolejno i niepostrzeżenie jeden w drugiego, w miarę jak czas będzie ścierał biologiczne zapisy?

Nie zastanawiając się po co to robi, przeszukał szuflady i szafki, aż wreszcie znalazł czysty notes. Na pierwszej stronie, u góry, napisał: 28 kwietnia 2176. Wpatrywał się w gładką, białą kartkę postukując piórem w zęby i nie wiedząc zupełnie, co napisać ani jak to sformułować. Czy miały to być potoczyste zwierzenia zaczynające się od zwrotu: „Kochany pamiętniku”? A może lepiej użyć tajemniczych słów: „Żona w ciąży, ojciec nieznan”, w nadziei, że przyszły Carewe będzie w stanie za sto lat na podstawie tych urywków odtworzyć całość?

Odsunął od siebie notes, podszedł do wideofonu i polecił mu dokonać samokontroli. Wszystkie obwody funkcjonowały prawidłowo. Niezadowolony i zirytowany obszedł cały kopalniodom oddychając głęboko i miarowo, żeby sprawdzić, jak pracuje prawe płuco. Wydawało mu się, że dobrze, nie czuł nawet nakłuć, jakie zrobił mu w klatce piersiowej doktor Westi. Był gotów na wszystko, byleby tylko Gwynne wreszcie zadzwonił. Przyszło mu na myśl, że znalezienie jakiegoś tropu może zająć detektywowi kilka dni, i głośno jęknął. Jeżeli tak wyglądała próbka nieśmiertelności...

Zadzwoniono do niego tuż po dziewiątej. Jakiś czas przedtem, po dłuższych staraniach, Carewe zapadł w niespokojny sen i teraz usiadł raptownie w ciemnościach, mając

wciąż jeszcze w uszach dzwonek wideofonu. Przez chwilę nic nie kojarzył, wpatrując się w jaskrawy obraz głowy Gwynne' a, który pojawił się w ognisku projekcyjnym aparatu, ale zaraz oprzytomniał. Raz-dwa dopadł wideofonu i wstrząsany dreszczem powiedział, że przyjmuje połączenie.

Wypatrujące ślepo oczy Gwynne'a ożywiły się.

- O, jest pan. Obudziłem pana? - spytał.

- Coś w tym rodzaju. Czuję się nieszczególnie.

- Wygląda pan, jakby do pana strzelano - powiedział Gwynne patrząc spode łba z teatralną przesadą. A może sąsiedzi celowali w pana dom otwierając butelki szampana!

- Dowiedział się pan czegoś o mojej żonie? - spytał lodowato Carewe, zastanawiając się w duchu, jakich to cudów zawodowej zręczności dokonał w swoim czasie ten człowiek, że zdobył takie uznanie i szacunek Barenboima.

Gwynne natychmiast przybrał skruszoną minę.

- To jeszcze nic pewnego - zaznaczył - ale mam wyraźny ślad.

- Jaki?

- No więc, zacząłem od telefonu do pańskiej żony, tego, który miał niby pochodzić od pana. Dzwoniono z publicznego aparatu w magistracie w Three Springs.

- Ale to chyba donikąd nie prowadzi?

- W mojej branży dojście donikąd oznacza często dojście do czegoś. Poza Farmą nie ma w rejonie Three Springs żadnego innego producenta leków, zgadza się?

- Tak jest.

- A więc skontaktowałem się z paroma znajomymi obsługującymi komputery w centralach kredytowych, naturalnie zachowując dyskrecję, i dowiedziałem się, że jakiś typ o nazwisku Hyman przyjechał do miasta na jeden dzień. Solly Hy-

man pochodzi z Seattle i pracuje dorywczo dla agencji o nazwie Soper Bureau.

- Ani to nazwisko, ani ta nazwa nic mi nie mówią.

- Może i nie, ale tak się składa, że wiem, kto utrzymuje tę agencję: firma o nazwie NorAmBio.

- Teraz rozumiem.

Carewe poczuł, jak zaczyna mu walić serce, a włosy jeżyć się. NorAmBio była bowiem średniej wielkości firmą farmaceutyczną, angażującą poważne środki w badania i produkcję biostatów.

Gwynne błysnął w uśmiechu białymi zębami.

- To nie koniec. W zeszłym roku podległa NorAmBio firma techniczna przejęła cokolwiek podupadłe przedsiębiorstwo Idealnie Gładkie Łożyska w Idaho Falls. Od wielu miesięcy fabryka jest nieczynna, ale podobno od dwóch dni, a raczej nocy, dzieją się tam jakieś dziwne rzeczy.

- Myśli pan...?

- Pewności nie mam.

- Ale przypuszcza pan, że jest tam moja żona! Gwynne wzruszył ramionami.

- Wkrótce się przekonamy - odparł. - Właśnie tam jadę. Pomyślałem, że interesuje pana, jak postępuje śledztwo.

- Jadę z panem - oznajmił Carewe.

Gwynne nie odpowiedział od razu, jego twarz z dużą, kanciastą szczęką wyrażała powątpiewanie.

- Nie powiem, żebym był tym zachwycony - rzekł. - Ta wyprawa może się okazać niebezpieczna, a to przecież mnie płacą za podejmowanie ryzyka.

- Mniejsza o to - uciął z miejsca Carewe. - Proszę mi tylko powiedzieć, gdzie pan jest, to zaraz tam przyjadę.

Parę minut później, właśnie kiedy wychodził, znów roz-

dzwonił się wideofon. Carewe odwrócił się zniecierpliwiony, spodziewając się ujrzeć Gwynne'a, ale w aparacie mrugało żółte światełko zapowiadające zamorską depeszę bez obrazu. Kiedy przyjął połączenie, w ognisku projekcyjnym pojawił się drukowany tekst. Pierwsza jego linijka informowała, że telegram wysłano z bazy Wspólnarodów pod Nouvelle Anvers, a brzmiał on następująco:

EKSPERTYZA ZATOPIONEGO PODUSZKOWCA
WYKAZAŁA ŚLADOWE ILOŚCI GORDONITU W MECHANIZMIE
CZUJNIKA WYSOKOŚCI LOTU. WINIEN JESTEM PRZEPROSINY
ZOSTANIE PRZPROWADZONE DROBIAZGOWE
DOCHODZENIE. PROSZĘ UWAŻAĆ NA SIEBIE. DEWEY
STORCH

Usatysfakcjonowany Carewe pokiwał głową i zrobił fotokopię depeszy, żeby pokazać ją Gwynne'owi i Barenboimowi. Potem jednak, w drodze do Three Springs, przyszło mu na myśl, iż jest coś idiotycznego w sytuacji, kiedy szklana figurynka odczuwa zadowolenie ze zdobycia niezbitego dowodu, że ktoś chciał ją roztrzaskać w drobny mak.

Rozdział trzynasty

- Wie pan, jak najłatwiej wprawić kogoś w zakłopotanie?
- spyta z przedniego biedzenia Gwynne, obracając się do Carewe'a bokiem. Za jego głową przemykały, uciekając w tył jak nierówna seria z miotacza, przyćmieni plastikową szybą tunelu światła odludnego osiedla w Idaho.

- Nie - odparł Carewe. Wolałby wcale się nie odzywać i rozmyśla o Atenie, ale ponieważ wprawiała ich w ruch pneumatyczna perystaltyk; tunelu, Gwyime nie musiał nawet sterować i był beczynny.

- Robi się to, co ja w tej chwili.

- To znaczy? - spytał Carewe, przyglądając się bacznie twarzy detektywa, który utkwiał w nim wzrok.

- Nie widzi pan?

- Tego, że się pan na mnie gapi?

- Nie na pana - odparł Gwynne, przysuwając twarz nieco bliżej. - Gapię się na pańskie usta. Jeżeli chce pan wprawić kogoś w zakłopotani wystarczy wpatrywać się w jego usta, kiedy ten ktoś mówi.

- Dziękuję za te bezcenną radę - rzekł przygnębiony Carewe. - Jestem pewien, że bardzo mi się przyda w dalszym życiu.

- Drobiazg, mam głowę nabitą takimi informacjami. To jedna z korzyść jakie daje czytanie.

Carewe zmarszczył brwi. Raz po raz ktoś napomykał mu o literaturze i, o ile sobie przypominał, byli to wyłącznie lub w większości ostudzeni. Czy w ten właśnie sposób spędzali czas? Zagłębił się w siedzeniu chcąc się odprężyć, a niepewność tego, co przyniesie najbliższa przyszłość, napełniła go takim ni pokojem, że poczuł nieprzewartą chęć porozmawiania z Gwy-

nnern.

- Naprawdę czyta pan książki? - spytał sceptycznie.

- Ależ oczywiście. A pan nie?

- Nie. Ale oglądam czasem Osmana w trójwizji - odparł obronnym tonem Carewe.

- Tego parweniusza! - wykrzyknął szyderczo Gwynne. - Czy to nie on powiedział kiedyś, że przewodzić innym to być ślepym na konieczność podążania za innymi?

- Nie wiem.

- Oczywiście, że on - zapewnił go Gwynne. - W roli filozofa ten człowiek jest po prostu żałosny. Weźmy na przykład Bradleya...

- Mógłby mi pan wyjaśnić - wtrącił szybko Carewe - kto albo co to było Btau Geste?

Gwynne potrząsnął niepewnie głową.

- Niewiele czytam beletrystyki. Zdaje się, że był to angielski arystokrata, który został zamieszany w rodzinny skandal, a potem uciekł z kraju i wstąpił do jakiegoś garnizonu o żelaznej dyscyplinie, gdzieś na pustyni. Prawdopodobnie do dawnej francuskiej Legii Cudzoziemskiej.

Carewe pokiwał głową - wyjaśnienie to pasowało do słów Kendy'ego komentujących jego przyjazd do Afryki.

- Co w takim razie pan czyta?

- Prawie wszystko. Książki historyczne, naukowe, biografie...

W tym momencie Carewe'owi przypomniały się słowa starego Costelli.

- A ile pan z tego zapamiętuje?

- O! - wykrzyknął Gwynne. - Rzecz wcale nie w tym, żeby zapamiętać. Po przeczytaniu książki z dowolnej dziedziny, nawet jeżeli nie zapamięta się z niej ani słowa, jest się nadal

ignorantem, ale odmienionym.

- Jak to?

Niełatwo to wytłumaczyć, można by powiedzieć, że człowiek uświadamia sobie wtedy ogrom swojej niewiedzy.

Carewe skwitował to milczeniem. Zastanawiał się, czy jest to wystarczające uzasadnienie nieśmiertelności - poszerzanie świadomości własnej ignorancji, tworzenie negatywu wiedzy. Czy można to utożsamić ze wzrostem mądrości? A może nowy rodzaj ignorancji Gwynne'a podlegał również wymazującemu działaniu czasu? Twarz Costelli wyrażała smutek i rozczarowanie człowieka, który wiele w życiu doświadczył, ale nic na tym nie skorzystał.

Łagodnie zwalniając, bolid przejechał przez szereg automatycznie otwierających się i zamykających śluz, po czym wsunął się do komory terminalu w Idaho Falls. Po króciutkiej przerwie w podróży, w czasie której automatyczna ładowarka umieściła bolid na podwoziu, natychmiast po uruchomieniu napędu Gwynne skierował się na południe. Ruch był niewielki, więc bez opóźnień dotarli na przedmieścia starego miasta, gdzie po obu stronach wyludnionych ulic ciągnęły się ponure zabudowania fabryczne. Niebieskozielone światło spływało po monotonnych ścianach i sączyło się ku gwiazdom tłumiąc ich blask. Carewe poczuł niemal przyjemny dreszcz podniecenia ten przedsmak niebezpieczeństwa był przeżyciem wciąż zbyt nowym i obcym, żeby w nim zagustował, wiedział jednak, że przynajmniej rozproszy narastające w nim od rana uczucie nudy. Poza tym spodziewał się, że lada chwila być może ujrzy Atenę. Odetchnął głęboko i raptem uderzyła go w nozdrza ostra, kwaśna woń potu. Rzucił okiem na Gwynne'a. Detektyw, który właśnie zatrzymał bolid w małej ślepej uliczce, miał czoło zroszone potem. Carewe'owi ten nieznanый zapach kojarzył

się jakoś z nerwowym napięciem, co go zarówno zaskoczyło, jak zaniepokoiło.

- Jak się pan czuje? - spytał od niechcenia.

- *Comme ci, comme ca, raczej comme ca* - odparł Gwynne.

- W moim fachu to rzecz na porządku dziennym. - Dotknął spoconego czoła. - Koniecznie trzeba zrobić porządek z tym grzejnikiem. Jest pan gotów?

Carewe skinął głową.

- Czy to już tu? - spytał.

- Niedaleko stąd. Resztę drogi najlepiej przejść pieszo.

Gwynne otworzył schowek i wyjął z niego małą latarkę. Carewe'owi wydało się, że wypełniająca pojazd woń jeszcze bardziej się nasiliła. Otworzył szybko drzwi bolidu i wysiadł, łapczywie wciągając do płuc chłodne wieczorne powietrze.

- Zdaje się, że ta fabryka jest tam - powiedział Gwynne, wskazując w głąb ślepego zaułka, gdzie światło lamp ulicznych ginęło w mroku.

Carewe, choć wyteżył wzrok, nie dostrzegł nigdzie żadnych napisów ani tablic - wszystkie budynki wydawały mu się anonimowe.

- Zna pan tę dzielnicę? - spytał.

- Trafiłem tu według mapy - odparł Gwynne.

Przeszedł na drugą stronę ulicy i stąpając ostrożnie skierował się do czarnej trapezoidalnej bramy, a tuż za nim dziwnie nieswój i onieśmielony podążał Carewe. Nagle ogarnęła go całkowita pewność, że w budynku fabrycznym, z którego nie dobiegał żaden dźwięk, nie ma nikogo oraz że wciągnięto go podstępnie w jakąś idiotyczną grę. Już chciał wyrazić swoje wątpliwości, kiedy z bramy wyskoczył prosto na nich parskając i obnażając kły jakiś szary cień. Gwynne uskoczył w bok osłaniając się wycelowaną latarką, a potem zaklął brzyd-

ko, zorientowawszy się, że jest to tylko spłoszony kot. Carewe przyglądał się w zamyśleniu uciekającemu zwierzęciu. Ta część jego świadomości, która dzień i noc strzegła zazdrośnie jego bezpieczeństwa, podpowiadała mu teraz, że coś tu jest nie tak.

- Widział już pan kiedyś takie coś? - spytał Gwynne.

Otworzył sakwę i wyjął metalowy pręt, który okazał się spiczasto zakończonym kluczem do drzwi. W słabym świetle ulicznym Carewe dostrzegł ząbki klucza, poruszające się gorączkowo jak krótkie nóżki gąsienicy. Potrząsnął w roztarznieniu głową, próbując zgłębić przyczynę swojego podświadomego niepokoju. Gwynne wsunął przypominający klucz przyrząd do zamka w małych drzwiach, które stanowiły część bramy. Drzwi otworzyły się natychmiast i z panujących za nimi nieprzeniknionych ciemności zionęło stęchlizną. Gwynne dał znak Carewe'owi, żeby wszedł do środka.

Carewe nie ruszył z miejsca.

- Jak można przywozić kogoś, kogo się chce obserwować, w takie straszne miejsce - rzekł. - Na pewno ma pan dobre informacje?

- Bardzo dobre. Proszę pamiętać, że wchodzimy od zaplecza przez hale i magazyny. Biura od frontu z pewnością bardziej nadają się do zamieszkania.

- Wszystko tu ziele taką pustką.

- Boi się pan ciemności, chłopcze?

Gwynne ostrożnie zapalił latarkę, wetknął ją w otwarte drzwi i wszedł do środka. Carewe wszedł również, pilnie przypatrując się detektywowi, gdy padały na niego przypadkowe refleksy światła odbijającego się od metalowych ścian pojemników wyglądających na silosy do magazynowania towarów. Odkąd dotarli do fabryki, Gwynne stał się nerwowy do

tego stopnia, że wystraszył się kota, którego spłoszyli przed bramą. Carewe zamarł w pół kroku. Przypomniał sobie, jak przerażony Gwynne skierował na kota latarkę odruchowo i tak obronnym gestem, jakby to była broń... I zapalał ją też ostrożnie... z szacunkiem należnym broni. A teraz poruszał się stąpając czujnie jak krab, w sposób, który byłby naturalny u człowieka z pistoletem w ręku, ale dziwny u kogoś trzymającego latarkę.

Carewe stał w miejscu czekając, aż jego towarzysz trochę się oddali. Czyżby ogarniała go chorobliwa podejrzliwość? W Afryce z pewnością ktoś chciał go zabić, lecz jeżeli Gwynne dołączył do tego spisku, oznaczać to mogło tylko jedno...

- Gdzie pan jest, Willy? - spytał Gwynne odwracając się i świecąc latarką do tyłu.

- Tutaj - odparł Carewe, boleśnie oślepiiony. Latarka przestała mu świecić w twarz. Spuścił oczy i na swojej piersi zobaczył drżącą, jaskrawo białą plamkę. Głupiec ze mnie! - pomyślał, lecz na wszelki wypadek rzucił się w bok w tej samej chwili, kiedy z ręki Gwynne'a wytrysnęła rubinowa strzała energii.

Wstrząśnięty i oślepiiony, pomknął przed siebie ile sił w nogach, rękami osłaniając twarz. Wpadł na jakiś słup, zwałił się na kolana i palcami dotknął metalowych stopni. Szukając po omacku poręczy, cicho wbiegł na schody, domyślając się, że dotrze na pomost, który zauważył wcześniej, przesuwał wzrokiem po silosach. Na pomoście padł plackiem i leżał zawięznięcie mrugając w ciemnościach oczami, sprzed których powoli ustępowały wielobarwne powidoki. Wzrok wrócił mu do normy i Carewe spostrzegł, że w budynku znów jest ciemno i tylko gdzieś na parterze widać dziwny, żarzący się czerwono punkcik. Kiedy mu się przypatrywał, zmienił on barwę na wi-

śniową, a potem zgasł i wtedy Carewe zrozumiał, że to promieniowała maszyna, w którą trafił strzał z lasera Gwynne'a. Na myśl o tym, co by go spotkało, gdyby w porę nie uskoczył w bok, czoło zapiekło go od potu.

W dole pojawił się punkcik białego światła, zatańczył chwilę po metalowych ścianach i zgasł. Carewe leżał bez ruchu, oceniając swoje szanse. W przeciwieństwie do niego Gwynne miał broń, i to ogromnie skuteczną - laser - ale żeby nim należycie wycelować, musiał wpierw oświetlić cel snopem rozproszonego światła. Robiąc to, zdradzał swoje położenie, lecz była to minimalna niedogodność. On sam, mając taki laser, czułby się stosunkowo bezpiecznie. Znowu rozbłysła latarka, świecąc w innym kierunku, więc przywarł mocniej twarzą do metalowej kratki pomostu.

Wlokące się sekundy zmusiły go do wyciągnięcia nieuchronnego wniosku, że jeśli będzie tak leżał nieruchomo i czekał, aż zostanie odkryty, to nie przeżyje tej nocy. Kilka razy odrzucał myśl o zaatakowaniu Gwynne'a, lecz wciąż wracała z tępym uporem, niemalże groźniejszym niż sam laser. W końcu uniósł twarz znad metalowej podłogi i odkrył, że w górze widać nikły wzór świetlików dachowych. Dla sprawdzenia wzroku rozejrzał się wokoło. Przez szyby nad jego głową sączyła się zielonkawa poświata, którą zobaczył dopiero, kiedy oczy przywykły mu do otoczenia. Stopniowo wyłowi wzrokiem skomplikowane zarysy maszyn i silosów, połączone mgliście ze słabiej widocznymi konturami pomostów, poręczy, dźwigarów i powyginanych rur. Czy w silosach znalazłby coś, co nadawałoby się na broń?

Zaczekał na następny wysłany na próbę błysk światła z dołu. Błysnęło bliżej, ale wykorzystał jego rozszczepione refleksy, żeby zajrzeć do znajdującego go się w zasięgu ręki zieją-

cego pojemnika. Miał on chyba ze dwa metry głębokości i do połowy wypełniały go jakieś połyskliwe bańki wielkości pięści. Widział je, migoczące jak bledziutkie gwiazdy, nawet po zgaśnięciu światła latarki. Chwilowo zdezorientowany przyglądał się im, aż z pokładów pamięci wypłynął zwrot użyty przez Gwynne'a we wcześniejszej rozmowie: „przedsiębiorstwo o nazwie Idealnie Gładkie Łóżyska” Łóżyska! Bańki w dole były kulami z litego metalu!

Ogarnięty nagle przekorną nadzieją przysunął się bliżej krawędzi pojemnika. Z takiej kuli wielkości pomarańczy byłaby nie najgorsza broń. Lewą ręką uchwycił się prętu poręczy, a prawą sięgnął w dół do pojemnika, aż dotknął chłodnych kuł. Zacisnął palce na jednej z nich, ale natychmiast mu się wyśliznęła. Spróbował jeszcze raz, chwytając mocniej, ale kula wymknęła mu się jak poprzednio. Zderzyła się z innymi głośno, z wielokrotnym trzaskiem, i z dołu od razu wystrzeliło badawcze światło latarki, obrysowując poręcz nad nim zimną poświatą.

Carewe zdał sobie sprawę, że popełnił straszliwy błąd. Bańki, których chciał użyć jako broni, nie były zwykłymi metalowymi kulami. Tradycyjne łóżyska zostały wyparte dziesiątki lat temu przez nowoczesną odmianę o powierzchni tak gładkiej, że aż całkowicie pozbawionej tarcia, zbudowanej ze spolaryzowanych poprzecznie cząsteczek. Jeśli nic nie przytrzymało takiej kuli z boków, to przy naciśnięciu wypryskiwała z rąk jak pestka. Łóżyska te znajdowały wiele zastosowań w technice, gdzie były niezastąpione, ale zupełnie nie nadawały się na miotane ręcznie pociski. A niczym innym nie dysponował.

Wstrzymując oddech, Carewe wsunął palce pod inną kulę, zakrzywił je w kształt koszyczka i uniósł w górę. Kiedy jego

dłoń znalazła się na wysokości twarzy, musiał zmienić pozycję ciała, a wtedy ciężka kula odskoczyła jak żywa, spiesząc do swoich towarzyszek. Zaklekotała w silosie i wtedy poręcz przeciął rubinowy miecz lasera, obsypując plecy Carewe'a kropelkami rozżarzonego do białości metalu. Carewe zacisnął zęby i ponowił próbę. Tym razem udało mu się unieść kulę jednym nieprzerwanym ruchem w chwili, kiedy na szczycie schodów pojawił się Gwynne. Carewe przeniósł kulę w bok i jęknął z rozpacz, bo wymknęła mu się z ręki na pomost i potoczyła lekko i sprężysto.

Zaskoczony Gwynne skierował światło na kulę, która mknęła w jego stronę wyraźnie nabierając szybkości. Carewe puścił się za nią. Przez mgnienie oślepiające światło latarki świeciło mu w twarz, a potem runął na Gwynne'a. Próbował go powalić, ale niski detektyw stawiał mu opór z desperacką siłą, więc odbijali się od poręczy do poręczy na całej długości pomostu. Carewe kwilił ze strachu wiedząc, że Gwynne nie wypuścił lasera z ręki. Poczł, że przeciwnik-stara się skierować broń na niego, i wszystkie mięśnie ciała naraz pobudziła mu ślepa energia.

Przelecieli obaj przez poręcz i runęli w dół do jednego z pojemników. Przez chwilę Carewe miał wrażenie, że zanurza się w zimnej wodzie, u potem zorientował się, że znajduje się w silosie wypełnionym drobniutkimi kulkami do łożysk. Nie uznające zjawiska tarcia małe metalowe kuleczki stawiały mniejszy opór niż woda, więc opadł od razu na dno. Kulki zaatakowały mu usta jak chmara rozjuszonych owadów. Czł, jak ochoczo postukują mu o zęby i wlewają się strumieniem do żołądka - metalowe gryzonie dążące pod wpływem siły ciężkości do najniższego punktu w pojemniku, w którym się znalazły. Było im obojętne, że dostępnymi dla nich pojemnikami

są w tej chwili jego żołądek i płuca.

Zamykając usta, wyprostował się z trudem i wynurzył głowę na powietrze. Wypluł kuleczki z ust, ale wargi miał tuż nad powierzchnią i nowa fala zalała mu brodę, wypełniając usta metalowym rojem. Każda próba wyplucia go musiała się skończyć kolejnym napływem kulek. Przełknął je spazmatycznie ze śliną i oddychając przez zaciśnięte zęby przedostał się do ściany silosu. Nie opodal biegła barierka. Chwytał ją, pokrępowany, podciągnął się na pomost, i na leżąco zwymiotował. Dopiero po zwróceniu wszystkich co do jednej diabelskich kulek z żołądka, przypomniał sobie o Gwynnie. Detektyw, sięgający mu do ramienia, nie był w stanie wystawić głowy ponad powierzchnię kulek. Carewe zajął do silosu, ale nic się w nim nie poruszało.

Gwynne albo... - szukał właściwego słowa - utonął, albo leżał żywy na dnie zbiornika. Myśl, żeby umyślnie zanurzyć głowę w srebrzystym „płynie”, napełniła Carewe'a przerażeniem, niewykluczone jednak, że detektyw mógł żyć jeszcze dłuższy czas, oddychając powietrzem przesączającym się między kulkami, i pozostawienie go tam było nie do pomyślenia. Spuszczał właśnie nogi przez krawędź silosu, kiedy w środku zaszła zmiana. Równa połyskliwa powierzchnia rozjarzyła się od spodu pięknym purpurowym światłem. Wyglądało to tak, jakby miliony stalowych kulek przemieniły się w rubiny oświetlone przez chwilę blaskiem słońca.

Światło nagle zgasło i Carewe, który właśnie opuszczał się do silosu, zamarł w bezruchu. Gwynne nacisnął spust lasera, to pewne. Ale czy niechcący? Środek zbiornika rozjarzył się ponownie, ale tym razem w jednym punkcie, przybierając kolor rozżarzonego metalu. Carewe poczuł na twarzy żar, a potem w nozdrzach zapach przypalonej stali i czegoś jeszcze.

Dławiąc się i dusząc, podpełzł do wąskich schodów prowadzących na parter. Na dole uświadomił sobie, że w spodniach i butach ma pełno kulek uwierających go przy chodzeniu. Usiadł, zdjął buty i wysypał z nich stalowe kuleczki przysłuchując się z roztargnieniem, jak zmykają wyzwolone, tocząc się po niedostrzegalnych pochyłościach podłogi. Gwynne zgiął!!! Z miliona nowych dni, które według Osmana stanowiły przyrodzone prawo każdego człowieka, nie zostało mu nic, nic! Przestał być człowiekiem, detektywem, wrogiem. Przestał istnieć. Smutek i zaskoczenie, jakie odczuwa nieśmiertelny w zetknięciu ze śmiercią, utrudniły Carewe'owi oddychanie. Potrząsnął głową, miotając gorzkie przekleństwa w obojętną ciemność, a potem otrzeźwił i zabrał się stanowczo do usuwania reszty kulek. Musiał w tym celu zdjąć całe ubranie i wywrócić je na drugą stronę. Zajmując się tym, odkrył dalsze stalowe kulki pod językiem i w głębi nosa. Dmuchał i pluł, a potem poczuł coś dziwnego w oczach. Kiedy nacisnął dookoła powieki, z oczodołów wyskoczyły kulki i ześliznęły się po policzkach.

Upłynęło dziesięć minut, nim się ubrał i dotarł do drzwi, przez które z Gwynne'em weszli do fabryki. Poszedł do bolidu detektywa, a kiedy przypomniał sobie, że nie ma kluczyka do zapłonu, ruszył na piechotę przez sterylne puste ulice, próbując w myślach odtworzyć trasę, którą tu przyjechali. Wypadki tej nocy sparaliżowały mu umysł, ale kilka wniosków nasuwało się nieodparcie.

Wiadomość, że Atenę wysledzono w Idaho Falls, została sfabrykowana - był to starannie zaplanowany podstęp, żeby wywabić go z rejonu Three Springs i spowodować jego „zniknięcie”. Ponieważ Gwynne'a wynajął Baienboim, wypływał stąd wniosek, że prezes Farmy obdarzył Carewe'a nowym ro-

dzajem nieśmiertelności, a potem zaaranżował serię zamachów na jego życie. Tylko dlaczego? Z jakiegoż to powodu...?

Przyszła mu do głowy nowa myśl, spychając analizę motywów postępowania Barenboima na dalszy plan. Jeżeli Barenboim chciał go zabić, to w takim razie cała historia ó machinacjach konkurencyjnej firmy farmaceutycznej też została wyssana z palca, a to oznaczało, że Atena również dobrze może już nie żyć. A zarazem, że jeśli żyje, to tylko Barenboim wie, gdzie jej szukać.

Rozdział czternasty

Posterunek policji tonął w mroku. Carewe, który swoją pobieżną wiedzę na temat działalności policji czerpał z przygodnych programów trójwizji, był tym zaskoczony. Wiedział, że w dostatnim i uporządkowanym babskim społeczeństwie przestępstwa popełniano stosunkowo rzadko, ale nie przyszło mu na myśl, że policja pracuje w zwykłych godzinach urzędowania. Stopy paliły go po godzinnych poszukiwaniach, które przywiodły go na ten posterunek, a klatka piersiowa dawała mu się we znaki. Prześladowało go podejrzenie, że trochę kulek dostało mu się do płuc, ale starał się nie myśleć o ewentualnych dalszych zabiegach chirurgicznych. Miał czas martwić się tym później.

Wspiął się po schodach do mrocznego wejścia na posterunek i załomotał do drzwi. Uderzenia jego pięści we wzmocniony plastik brzmiały zniechęcająco cicho. Kiedy rozgoryczony odwracał się od drzwi, w kącie ganku spostrzegł ekran wideofonu. Pod nim widniał miejscowy kod i napis: „W razie nagłych wypadków po godzinach urzędowania dzwonić pod ten numer”. Niezbyt tym udobruchany, wystukał podany numer i czekał, aż ekran ożyje. Najpierw rozbłysnął kolorami, a potem pojawił się na nim płaski obraz mężczyzny o ponurym spojrzeniu, ubranego w szary policyjny mundur.

- O co chodzi? - spytał sennie policjant.

Carewe nie odpowiedział od razu, zastanawiając się, od czego zacząć.

- Porwano mi żonę, a jeden z ludzi, którzy to zrobili, zginął - powiedział.

- Naprawdę? - spytał policjant tak, jakby nie wywarło to na nim najmniejszego wrażenia. - Uprzedzam, że aparat, przed

którym pan stoi, rejestruje automatycznie wzór siatkówek oczu, co nam pozwala odnajdywać i stawiać przed sądem kawalarzy.

- Wyglądam na takiego?

Policjant wpatrywał się w niego z rezerwą.

- Gdzie i kiedy to się niby stało? - spytał.

- Słuchaj pan - rzekł gniewnie Carewe. - Zgłaszam poważne przestępstwo i nie zamierzam z tego powodu spędzić całej nocy na waszym parszywym ganku.

- Jeżeli nie poda nam pan szczegółów, niewiele będziemy mogli dla pana zrobić, przyjacielu.

- Dobrze. Żonę porwano trzy dni temu w Three Springs na północ stąd. Natomiast ten człowiek zginął dziś wieczorem, tutaj w Idaho Falls, w fabryce łożysk tocznych.

Policjant wytrzeszczył oczy.

- Był pan dzisiaj w tej fabryce?

- Tak, ale...

- Jak się pan nazywa?

- William Carewe. Mógłby mi pan wyjaśnić, co w tym takiego nadzwyczajnego, że...

- Niech pan się stąd nie rusza do czasu przyjazdu policjanta, panie Carewe. Proszę pamiętać, że mamy wzory pańskich siatkówek.

Aparat zgasł, a Carewe pozostał z chaosem w głowie. Usiadł na najniższym stopniu i rozejrzał się po pustej, nieznaanej ulicy. Jego radiowy wytatuowany na przegubie zegarek wskazywał - nie do wiary - że minęła dopiero druga po północy.

Otwierając sakwę, żeby poszukać papierosa, usłyszał warkot helikoptera. Spodziewając się po trosze, że zwiastuje on przybycie policji, podniósł się i spojrzął w niebo, ale ma-

szyna była za duża jak na helikopter osobowy. Leciła na małej wysokości nad miastem, chłoszcząc łopatami nocne powietrze i wstrząsając ziemią. Wzdłuż jej kadłuba błyskały niebieskie światła przejmując Carewe'a dreszczem nagłego przecucia. Popatrzył na południe, skąd przywędrował, i dostrzegł na horyzoncie ruchomą czerwoną lunę. Miał ponurą pewność, że helikopter, w którym ostatecznie rozpoznał maszynę strażacką, leci właśnie tam. Piekielny żar rozpętany przez Gwynne'a przepalił widocznie ściany silosu i rozgrzane do czerwoności kulki rozpierzchnęły się po całej fabryce. Możliwe również, że detektyw nastawił wcześniej urządzenie zapalające, żeby zniszczyć dowody morderstwa.

Kiedy niemal bezgłośnie zatrzymał się przed nim wóz policyjny, Carewe wciąż wpatrywał się w krwawą smugę na południu. Z samochodu wysiadł wysoki, chuderlawy sprawny po czterdziestce. Miał pociągłą, ziemistą twarz i piwne oczy, które patrzyły na Carewe'a groźnie sponad rażąco czerwonego nosa.

- Prefekt McKelvey - burknął policjant, wbiegając susami po schodach, żeby otworzyć drzwi posterunku. -- Nazywa się pan Carewe?

- Tak. Wszystko zaczęło się od zniknięcia...

- Na razie proszę nic nie mówić - przerwał mu McKelvey. Wkroczył do środka, zapalił światło i wszedł do biura na parterze. Usiadł przy biurku i skinął na Carewe'a, żeby zajął krzesło naprzeciwko. - Niniejszym powiadamiam pana, że nasza rozmowa jest rejestrowana.

- To dobrze - odparł Carewe, rozglądając się na próżno za mikrofonem lub kamerą. - Mam dużo do powiedzenia i chcę, żeby to zostało zarejestrowane.

Twarz McKelveya wydłużyła się.

- W takim razie zaczynamy... Przyznaje pan, że był dziś w fabryce łożysk tocznych?

- Od której godziny do której?

- Wyszedłem około godziny temu, mniej więcej kwadrans po pierwszej, a przebywałem tam przez dwadzieścia minut, ale nie w tym rzecz. Jestem tu, żeby zgłosić uprowadzenie mojej żony.

- A ja prowadzę śledztwo w sprawie domniemanego podpalenia - odparował McKelvey.

- Wielka szkoda - oświadczył stanowczym tonem Carewe - bo nie mam zamiaru rozmawiać o błahostkach takich jak ten pożar, zanim nie zrobicie czegoś w sprawie mojej żony.

McKelvey westchnął i obejrzał sobie paznokcie.

- Mówi pan wciąż o swojej żonie - rzekł z niechęcią. - Czyżby to było...?

- Małżeństwo „jeden na jeden” - odparł Carewe. Spostrzegł, że prefekt odnotowuje spojrzeniem jego pozbawioną zarostu szczękę, ale odkrył, że nie dba już o to, czy ludzie mają go za ostudzonego, czy za sprawnego. - Nie odeszła ode mnie dlatego, że jestem nieśmiertelny; ktoś ją uprowadził.

- Domyśla się pan dlaczego?

- Tak. - Carewe wziął głęboki oddech i pomyślał mściwie: Mam nadzieję, że Barenboima będzie to kosztować miliard! - Firma, dla której pracuję, wynalazła nowy rodzaj biostatu, który pozostawia mężczyźnie pełnię sprawności.

- Co takiego?

- Preparat ten nazywa się Farma E.80 i na mnie pierwszym go wypróbowano - wyjaśnił Carewe. Postanowił pominąć co boleśniejsze szczegóły zerwania z Ateną i szachrajstwa, jakich się dopuścił. - Od tamtej pory moja żona zaszła w ciążę, przez co stała się przedmiotem zainteresowania pewnych lu-

dzi.

- Chwileczkę - przerwał mu z ożywieniem McKelvey. - Zdaje pan sobie sprawę, co pan mówi?

- Najzupełniej.

McKelvey wyciągnął szufladę biurka i przez chwilę przyglądał się czemuś w środku.

- Nie kłamie pan - przyznał ze zdumieniem. Oczy wypełniły mu się zachłannym podziwem. - Proszę mówić, panie Carewe.

Carewe opowiedział mu wszystko, opisując zamachy na jego życie w Afryce, potwierdzając je depeszą od Storcha, przedstawienie mu Gwynne'a przez Barenboima i wypadki, które doprowadziły do śmierci detektywa. Prefekt zerkał co chwila na aparat ukryty w biurku i kiwał potakująco głową.

- Fascynująca historia - powiedział, kiedy Carewe'owi zabrakło tchu. - Poligraf wykazywał od czasu do czasu niewielkie odchylenia, ale ponieważ jest pan uczuciowo silnie zaangażowany w sprawę, uważam, że mówił pan od początku do końca prawdę.

- Dziękuję. Co pan zamierza?

- Sęk w tym, że pańska opowieść nie trzyma się kupy. No bo po co ten Barenboim miałby pragnąć pańskiej śmierci albo porwać pańską żonę?

- Skąd mogę wiedzieć - obruszył się Carewe. - Nie wystarczy panu to, co powiedziałem? To oczywiste, że Barenboim zorganizował zamach na moje życie.

- Wcale nie takie oczywiste. Mógł przecież wynająć Gwynne'a w dobrej wierze.

- Ale...

Tu wchodzi w grę szalone pieniądze. I wielkie wpływy. Do Gwynne'a mógł się zgłosić ktoś inny - powiedział McKelvey

i pogładził szczeciniasty zarost z chrobotem słyszalnym w cichy biura.

- Chryste - rzekł z goryczą Carewe. - Teraz rozumiem, dlaczego Barenboim odradzał mi zwracanie się do policji.

McKelvey wzruszył ramionami.

- Musimy zdobyć szczątki Gwynne'a. Będą dowodem, że nastąpił zgon, a jeżeli zostało coś z lasera, pomoże nam to udowodnić zbrodniczy zamiar.

- Długo to potrwa?

- Z tego, co wiem o rozmiarach pożaru, ze dwa dni.

- Ze dwa dni! A co z moją żoną? McKelvey sięgnął do końcówki komputera.

- Zechce pan spojrzeć na to z mojej strony. Jedynym wskazanym przez pana dowodem na uprowadzenie żony jest nie potwierdzone oświadczenie jej babki, że otrzymała ona jakoby od pana telefon. Zastosuję komputerowy program śledzący, a jeżeli nie da on wyników, powiedzmy, do jutra wieczorem, wówczas będziemy mieli pretekst do dalszych poszukiwań.

- Nie mogę czekać tak długo, do jutra wieczór mogę już nie żyć - oświadczył prosto z mostu Carewe. - A może nie wierzy pan, że ktoś usiłuje mnie zabić?

McKelvey nieudolnie udawał cierpliwego.

- Panie Carewe - rzekł - wierzę, że ktoś na pana poluje, ale jako prefekt policji mogę działać tylko na podstawie wyraźnych dowodów. Proszę dać mi szansę je zdobyć, dobrze?

Uruchomił końcówkę komputera i zamówił akta Gwynne'a, Barenboima i Korporacji Farma. Kiedy skończył, podszedł do ściennego automatu i wrócił z dwoma parującymi kubkami herbakawy.

- Dziękuję - powiedział bez wdzięczności Carewe. Łyknął

gorącego płynu.

Prefekt uśmiechnął się poufale.

- Ponieważ i tak czekamy - powiedział - to pozwolę sobie spytać, czy ten biostat naprawdę działa? Chodzi mi...

- Wiem, o co panu chodzi. Nadal jestem sprawny, ale niech mnie diabli, jeżeli dostarczę panu na to wyraźnych dowodów.

- To nie będzie konieczne - odparł McKelvey, śmiejąc się nerwowo. - Wie pan, zeszłego roku omal się nie utrwaliłem. I pomyśleć... - Końcówka komputera zadzwoniła i wypluła kompkartę. McKelvey wsadził ją do czytnika. - To nasze akta Korporacji Farma - wyjaśnił. Manipulując regulatorami studiował przez jakiś czas treść kompkarty, coraz silniej marszcząc brwi.

- Coś nie tak? - zagadnął Carewe.

- Nie wiem. Nie wspomniał pan, że pańskiemu przedsiębiorstwu brak gotówki.

- To niemożliwe. Wiedziałbym o tym, pracuję w księgowości.

- Jest tu czarno na białym - upierał się McKelvey. - Według tych akt dochody Farmy spadają ód trzech lat, a straty w obrotach przewidywane na ten rok przekraczają osiem milionów nowych dolarów.

- Pan źle to interpretuje - zapewnił go Carewe. - Proszę mi dać ten czytnik.

Prefekt miał niepewną minę.

- Informacje uzyskane z komputerowej sieci nadrzędnej są poufne i tylko do użytku policji, ale z drugiej strony przychodząc tu wyświadczył mi pan osobistą przysługę - rzekł, spojrzawszy badawczo na Carewe'a i podał mu aparat.

Carewe przysunął go do oczu i ogarnęło go poczucie nie-

rzeczywistości, bo przekonał się, że prefekt się nie pomylił.

Na swoim poziomie cząsteczkowym kompaktka, którą uważnie czytał, zawierała zwięzłą analizę struktury finansowej Farmy, dział po dziale. Wyglądało na to, że jego dział, dział biopoezy i jeszcze jeden z trudem zamkną bilans bieżącego roku bez strat, natomiast wszystkie inne zmierzały prostą drogą do bankructwa. Przelatywał szybko wzrokiem kolumny po stronie „winien”, próbując ogarnąć całość finansów Farmy, kiedy jego uwagę przykuła jedna pozycja - „koszty kapitałowe, utrzymanie i amortyzacja laboratorium w Drumheller - 1 650 000,00 nowych dolarów”. Sprawdził bilans z poprzedniego roku i w tej samej rubryce odkrył mniejsze nakłady, ale żadnego wpisu rok wcześniej. Po stronie „ma” nie było nigdzie wzmianki o laboratorium w Drumheller. Poruszył pokrętlami, drążąc głębiej w sekretach ukrytych w zaszyfrowanych cząsteczkach karty komputerowej, ale McKelvey wyrwał mu czytnik z rąk.

- Wystarczy - mruknął. - Czego pan szukał?

- Niczego, fascynują mnie liczby.

Postanowił zachować dla siebie informację, że Barenboim wpakował dwa miliony nowych dolarów w laboratorium, które jak widać, nie zarobiło ani centa, żeby usprawiedliwić koszty swego utrzymania. Była to znacząca informacja, zważywszy wszystkie okoliczności, ale prawdziwa bomba polegała na tym, że samo istnienie laboratorium w Drumheller utrzymywano w tajemnicy nawet przed najlepiej poinformowanymi pracownikami Farmy. Carewe z chłodnym triumfem przyjął za pewnik, że już wie, gdzie przeprowadzono prace nad wyprodukowaniem E.80.

Znaczyło to również, że wie, gdzie znaleźć Atenę.

Rozdział piętnasty

Świtało już, kiedy wreszcie opuścił posterunek policji. Stosując się do wskazówek McKelveya, pojechał publicznym bolidem prosto do Three Springs i poszedł po zakupy. Domyślając się, że prefekt puścił za nim komputerowy program śledzący, kupił trochę żywności na kredyt. Przekazawszy w ten sposób wiadomość, że znalazł się w swojej dzielnicy, przystąpił do poważnych zakupów, których musiał dokonać za gotówkę.

Broń palna była niedostępna w wolnej sprzedaży na kontynencie amerykańskim od ponad wieku - w babskim społeczeństwie okazała się zbędna - lecz nie miał zamiaru zdobywać twierdzy Barenboima gołymi rękami. Włóczęg się bez celu obszedł kilka sklepów, aż wreszcie zauważył jeden specjalizujący się w sprzęcie kempingowym i kupił w nim tradycyjny nóż traperski, lekką siekierkę i skórzany worek. Niosąc z zaskupotaniem swoje zakupy, pojechał do domu taksówką, ponownie płacąc przy użyciu karty kredytowej, żeby wykazać McKelveyowi, że wrócił grzecznie do swojego miejsca zamieszkania.

W domu podczas jego nieobecności nic się nie zmieniło - panowała ta sama przygnębiająca cisza... a na wideofonie nie czekały na niego żadne wiadomości. Zjadł lekki posiłek, a potem zapakował nóż i siekierkę do worka. Po namyśle dołożył do nich kilka wafelków i lornetkę. Ranek jeszcze nie minął, a do laboratorium w Drumheller leżącym za byłą granicą z Kanadą miał zaledwie dwie godziny jazdy na północ, mógł więc zaspokoić swoją potrzebę snu. Położył się na kanapie i zmusił do odpoczynku, zastanawiając się, czy nie nazbyt optymistycznie oceniał, że zapadnie w sen, skoro głowę miał tak na-

bitą myślami o...

Obudził go blask późnopołudniowego słońca, które padało mu na twarz. Lekko dygocząc, podszedł do wideofonu i wydobył z jego banku informacji kod magistratu w Drumheller. Po nagraniu numeru zamówił rozmowę z biurem inspektora przemysłowego. W kilka sekund później w ognisku projekcyjnym aparatu pojawiła się głowa pulchnego, młodego sprawnego.

- Will Carewe, inspektor finansowy Korporacji Firma - przedstawił się lapidarnie Carewe. - Jak pańskie nazwisko?

- Spinetti - odparł młody człowiek, urażony jego tonem.

- A więc, panie Spinetti, mam dla pana złe wieści. Jedna z maszyn, które pan podobno dozoruje, przysłała nam kompletnie bezsensowne rozliczenia dotyczące naszej własności w Drumheller. Mój pracodawca traci już cierpliwość wobec takich praktyk i polecił mi, żebym...

- Chwileczkę - przerwał mu Spinetti z poczerwieniałą twarzą. - Może by tak najpierw pan sam siebie skorygował, zanim zacznie pan basować. Znam bardzo dobrze swoje programy i wiem, że Farma nie ma żadnej własności na tym terenie.

- Czy muszę tłumaczyć panu jak dziecku? - spytał Carewe wzdychając z rezygnacją. - Moim pracodawcą jest pan Hyron Barenboim. Mówi to panu coś?

- O! - Spinetti zamrugnął z zatroskaniem. - Laboratorium chemiczne na kilometrze dwunastym.

- Chyba trzynastym.

- Dwunastym, przy Radialu Trzecim. - Spinetti zgrzytnął zębami. - Chce pan przyjechać i zmierzyć osobiście?

- Żeby to było ostatni raz - ostrzegł go Carewe i przerwał połączenie licząc, że nie upuścił Spinettiemu zbyt wiele zółci.

Wziął worek, wyszedł do zaparkowanego bolidu i pojechał na północ.

Postrzępione przez chmury słońce wisiało tuż nad horyzontem, kiedy Carewe dotarł do Drumheller i odliczając kilometry pomknął z centrum miasta Radialem Trzecim. Teraz, kiedy stanął wobec perspektywy włamania się do najprawdopodobniej strzeżonego laboratorium, przytłoczyła go ona bardziej, niż przypuszczał. Wcześniejsze przekonanie, że znalazł miejsce przetrzymywania Ateny, nagle osłabło i niemal całkiem go opuściło, kiedy zatrzymał bolid na mrocznej drodze. Cienkie odnogi miasta przed kilkoma minutami zostały w tyle - tu, na kilometrze dwunastym, stały tylko dwa budynki przypominające dekoracje filmowe na tle wyschniętych łąk. Jeden z nich był z pewnością magazynem, drugi wydłużona wielopoziomową budowlą usadowioną na niewielkim pagórku. Od drogi do bramy w metalowym ogrodzeniu, które otaczało budynek, biegł wąski trakt sprasowanej ziemi. Carewe szukał wzrokiem śladów życia, ale laboratorium, połyskujące czerwono w zachodzącym słońcu, równie dobrze mogło być pozostałością po pradawnej cywilizacji, która miała tu kiedyś swoją siedzibę.

Pojechał dalej drogą, aż znalazł się poza zasięgiem wzroku ewentualnego obserwatora patrzącego ze szczytu pagórka, i zgasił silnik bolidu. Nie zwracając uwagi na zaciekawione spojrzenia rzucone przez ludzi z przejeżdżających samochodów, zagłębił się w siedzeniu i czekał, aż pociemnieje niebo widoczne przez koraloworóżową kratownicę smug kondensacyjnych. Kiedy zaczął się wspinać po stoku wzgórza, powietrze było chłodne, a wietrzyki obmacywały mu ciało gdzie popadnie niewidzialnymi palcami. Ujrawszy laboratorium, ucieszył się na widok światła wylewającego się z górnych okien, lecz

jednocześnie zorientował się, jak mało osłonięte są dojścia do budynku. Liczyć mógł tylko na to, że Barenboim nie był do tego stopnia wyczulony na sprawy bezpieczeństwa, żeby zainstalować czujniki ciepłe albo teledetektory podczerwone.

Poczucie ryzykownego wyeksponowania rosnęło w nim nieustannie aż do chwili, kiedy znalazł się w cieniu ogrodzenia mającego, jak się okazało, ponad trzy metry wysokości. Zbadawszy je z bliska, stwierdził, że jest to gładka metalowa konstrukcja bez choćby jednego nitu, na którego główce można by oprzeć nogę. Aby upewnić się, że nie sięgnie wierzchołka ściany palcami, Carewe podskoczył na próbę, a potem ruszył wzdłuż ogrodzenia, okrążył laboratorium od tyłu i wreszcie zbliżył się do bramy wjazdowej. Ściana była na całej długości jednolita i nie nadawała się do wspinaczki, a zamknięta brama wyglądała równie nieprzystępnie. Spojrzał bezradnie ponad cichą prerią tam, gdzie jak rozsypane żarzące się węgle płonęły światła Drumheller. Will Carewe, komandos amator, ugiął się przed pierwszą prostą przeszkodą, konstrukcją z blachy, którą prawdopodobnie dałoby się rozciąć domowym otwieraczem do konserw...

Natchniony tą myślą, wyjął z worka siekierkę i poszedł do ściany najbardziej oddalonej od drogi. Blisko rogu ogrodzenia zamachnął się siekierką, która weszła bez przeszkód i zaskakująco cicho w jasnoszary metal. Odczekał pięć minut w pewnej odległości, ale za ścianą nie podniesiono alarmu, więc wrócił i zaatakował je odmierzonymi, oszczędnymi uderzeniami. W kilka minut wyciął metrowej wysokości jęzor w kształcie odwróconego „V”, który dał się przygiąć do ziemi. Za pustą przestrzenią na tyle szeroką, żeby pomieścić wsporniki ścian, znajdowała się kolejna płaszczyzna z blachy.

Z wewnętrzną ścianą nie poszło mu tak łatwo, bo nie

mógł się dobrze zamachnąć, ale w końcu zdołał - tnąc ostrożnie i robiąc długie przerwy - wyciąć drugi jęzor. Odgiąwszy jego czubek odrobinę do siebie, wyjrzał przez utworzoną w ten sposób dziurę i zobaczył słabo oświetloną wybetonowaną przestrzeń, ograniczoną naprzeciw ścianą laboratorium. O ile mógł się zorientować, nie ściągnął na siebie niczyjej uwagi.

Zatknął ciężki nóż za pas i z siekierką w ręku przepchnął się przez otwór. Trójkątny kawałek blachy łatwo dał się podgiąć z powrotem w górę tak, że otwór mniej rzucał się w oczy. Kiedy Carewe był tym zajęty, nagle rozbłysło światło rzucając na ścianę jego cień. Obrócił się w miejscu z uniesioną siekierką i mignęły mu reflektory samochodu, który najwidoczniej wjechał przez bramę. Ich blask, odbijający się i przesuwający po wąskim skrawku pomiędzy ogrodzeniem a laboratorium, zdawał się wypełniać cały świat. Carewe był pewien, że kierowca go zauważył, nie mogło być inaczej, ale samochód skręcił i jechał dalej, aż zniknął mu z oczu po drugiej stronie budynku.

Czyżby cudem uniknął zdemaskowania? A może kierowca był na tyle sprytny, aby udać, że nic nie spostrzegł? Carewe wsunął siekierkę z tyłu za pas i podbiegł do najbliższej ściany laboratorium. Uchwycił się rynny i wspiął się po niej, poganiany strachem, który wyzwolił w nim instynktowną zręczność. Nad ścianą zwieszał się okap płaskiego dachu i kiedy Carewe wciągał się na niego, siekierka przechyliła się na bok i spadła. Brzęknęła głośno zderzając się z betonem. Carewe rozplaszczył się na dachu i wtedy spostrzegł, że tę część, na której leży, widać z okien na piętrze. Pomknął więc przez dach i przycupnął w kącie, z głową tuż poniżej okiennych parapetów. Po upływie pięciu, może dziesięciu minut uwierzył, że jego obecności nadal nie wykryto. Z nowym przyływem optymizmu,

który wcześniej skłonił go do tego przedsięwzięcia, rozejrzał się bacznie dookoła.

Z tej wysokości widział ponad ogrodzeniem prerię, która ciągnęła się na północ niknąc w beznamiętnych, połyskliwe szarych pofałdowaniach terenu - stamtąd nic mu nie zagrażało. W jednym z rzędu okien nad jego głową paliło się światło. Podczołgał się pod nie, wstał i odważył się zerknąć do środka. Zobaczył mały pokoik, którego całe umeblowanie stanowiły krzesło i składane łóżko, zajęte przez ciemnowłosą kobietę. Mimo że leżała odwrócona tyłem do okna, natychmiast rozpoznał - oczami, świadomością, każdą cząstką ciała - miękko zarysowaną krągłość jej bioder.

To była Atena!

Odruchowo zapukał w szybę i zamarł, ponieważ zastanawiając się, czy w niewidocznym kącie pokoju jest ktoś jeszcze oprócz niej. Atena uniosła lekko głowę i zaraz potem spokojnie ją położyła. Z bijącym sercem Carewe odczekał kilka sekund i zapukał głośnie, obserwując reakcje Ateny. Podniosła głowę, usiadła i spojrzała w jego stronę. Wytrzeszczyła oczy ze zdumienia i w jednej chwili znalazła się przy oknie, przyciskając ręce do szyby. Na widok poruszających się bezgłośnie warg Carewe dał się ponieść niepohamowanej radości - gdyby tylko udało się wydostać Atenę z pokoju, raz-dwa przedostaliby się przez ogrodzenie i uciekli w prerię.

Wysunął zza pasa nóż, chwycił go odwrotnie i dźgnął rękojeścią w szybę. Uderzenie, od którego zadrżał mu nadgarstek, rozległo się deprymująco głośno, ale twarda szyba pozostała nietknięta. Ponowił próbę i tym razem nóż omal nie wypadł mu ze zdrętwiałej dłoni. Atena przytknęła drżące palce do ust i zerknęła na drzwi pokoju. Skonsternowany odpornością szyby Carewe odłożył nóż i sięgnął po siekierkę, zanim

przypomniał sobie, że mu wypadła na ziemię. Dał nieokreślony znak Atenie, podbiegł do okapu i zwiesił nogi. Nie mógł stopami odszukać rynny, ale nie było czasu na ostrożność. Zsunął się z dachu, młóćąc w powietrzu rękami i nogami, żeby złapać równowagę, wylądował ciężko na ziemi i od razu zaczął po omacku szukać siekierki. Rynna, po której się wspiał, znajdowała się niecały metr dalej. Ale po siekierce nie zostało ani śladu. Przeklinając złośliwość przedmiotów martwych, rozszerzył pole poszukiwań.

- Jest tutaj, Willy - odezwał się zimny, ironiczny głos, jakim mógł przemówić tylko dwustuletni nieśmiertelny.

Słaniając się i dysząc chrapliwie, Carewe zerwał się na nogi i nie bez trudu wyteńczył wzrok.

Korpulentny, modnie odziany Barenboim wyglądał absurdalnie na tle ponurego ogrodzenia. Spoglądał na niego oczami czającymi się w głębi oczodołów, a w prawej ręce trzymał latarkę w sposób nie pozostawiający wątpliwości, że jest to broń.

- Barenboim - przemówił Carewe. - Miałem przecucie, że się pokażesz.

- I nawzajem, mój drogi - odparł Barenboim i skinął latarką. - Wejdź do środka.

- Chwileczkę, potłukłem się skacząc z dachu.

Carewe skrzywił się i wsunął rękę za pazuchę. Jego dłoń spoczęła na rękojeści noża.

- Trzeba było się nie silić na bohaterskie wyczyny, które tak żałośnie się dla ciebie kończą - wycedził Barenboim. - A teraz ruszaj.

- Czemu nie zabijesz mnie tutaj? Za bardzo na widoku? Carewe ostrożnie wysuwał nóż, aż spoczął w jego dłoni.

- Gdzie dokładnie rozstaniesz się z tym światem, to mało

ważne - odparł chłodno Barenboim. Zapalił latarkę i oświetlił snopem światła twarz Carewe'a.

- Moje oczy! - jęknął Carewe.

Odwrócił głowę, jednocześnie dobywając spod tuniki nóż. Barenboim stęknął, kiedy Carewe, wykorzystując jedyną szansę, z całej wspomaganej strachem siły cisnął ciężkim nożem. Nóż trafił Barenboima prosto w gardło, ale rękojeścią, i stary ostudzenie zatoczył się na ścianę, nie wypuszczając latarki z rąk. Carewe dopadł go, zanim tamten zdążył skierować na niego laserowy miecz. Chwycił Barenboima za przegub prawej ręki zmuszając do wypuszczenia latarki, i rąbnął go pięścią w pękaty brzuch raz, drugi, trzeci...

Ochłonął, kiedy spostrzegł, że chcąc dalej bić Barenboima, musi go podtrzymywać. Puścił go, a gdy tamten upadł, cofnął się, uprzytamniając sobie nagle, że robił wszystko, żeby go zabić. Widząc, że nóż trafił niewłaściwym końcem, poczuł dziki żal i gniew. Wydawało mu się, że powinien być bardziej wstrząśnięty, ale upodobanie do autoanalizy opuściło go gdzieś na trasie długiej podróży przez Nouvelle Anvers i Idaho Falls do Drumheller.

Ukląkł przy nieprzytomnym Barenboimie, podniósł latarkę o dwóch zastosowaniach, a potem otworzył jego sakwę i wyjął z niej wszystkie klucze. Pobiegł wąską betonową ścieżką przed front laboratorium. Na placyku przed wejściem stał samochód, na pewno ten, którym przyjechał Barenboim, a brama była otwarta. Podbiegł do drzwi budynku, ale okazało się, że są zamknięte, skąd płynął wniosek, że oprócz Ateny nie ma w środku nikogo. Wypróbował kilka kluczy, zanim otworzył drzwi. W hallu nie było żywej duszy, ale zawahał się przed wejściem, bo przecież nie miał pewności, że Barenboim nie ma w laboratorium żadnych pomocników.

Zbadał palącą się cały czas latarkę. Cofając wyłącznik gasiło się ją, a pchając do przodu zapalało. Wycelował latarkę w ziemię i przesunął wyłącznik dalej w przód. Poczł sprężysty opór i w następnej sekundzie powierzchnia betonu trysnęła lawą. Przez chwilę z szacunkiem ważył latarkę w dłoni, a potem wbiegł do budynku, nie obawiając się już, że natknie się na przeciwników. Po obu stronach hallu znajdowały się schody, ale do Ateny mogły go zaprowadzić najpewniej te na prawo. Wspiął się po nich pędem i pobiegł korytarzem ciągnącym się przez cały budynek. Na przeciwległym jego końcu natrafił na drugi poprzeczny korytarz z sześcioma drzwiami w szczytowej ścianie. Ocenivszy z grubsza, w którym z pokoi może być Atena, nacisnął klamkę. Drzwi nie ustąpiły, ale wyczuwał za nimi jej obecność.

- Ateno! - zawołał.

- Will! - odpowiedziała słabym głosem. - Och, Will, to naprawdę ty?!

- A któż by inny! - krzyknął. Czwarty z wypróbowanych kluczy otworzył zamek i w tej samej chwili Atena znalazła się w jego ramionach. - Cicho, cicho, cicho - szeptał, próbując uspokoić jej drżące ciało przy pomocy tej siły, którą odkrył w swoim.

- Will - powiedziała, odpychając go na krok. - Musimy stąd uciekać. Nie masz pojęcia, jacy naprawdę są ci dwaj...

Wpatrywała się w niego rozbieganymi oczami. Ścisnęło go w gardle, gdy zobaczył, że lewa powieka niemal całkiem jej opadła, co - jak dobrze wiedział - oznaczało wielkie zdenerwowanie.

- Po to tu przyszedłem, kochanie. Chodźmy - odparł.

Chwycił ją za rękę i pobiegli. Miał wrażenie, że unosi go potężny wiatr, czuł, że stopami ledwie dotyka podłogi. Pospie-

szyli w dół po schodach i wypadli przez drzwi na świeże nocne powietrze.

- Pojedziemy samochodem Barenboima - poinformował ją krótko. Wgramolili się do pojazdu i zamknęli drzwi. Przez chwilę, kiedy jeden po drugim próbował klucze w stacyjce, ogarnął go popłoch, ale wreszcie znalazł właściwy. Turbina zawirowała natychmiast. Bez świateł zawrócił gwałtownie samochodem na placyku i jak rakieta wystrzelił przez otwartą bramę. W ciemnościach z przeciwka sunęło coś dużego. W oka mgnieniu rozpoznał, że to najeżdżający samochód, a potem nastąpiło straszliwe zderzenie. Carewe poczuł, że jego pojazd staje dęba, i przez moment liczył niemądrze na to, że przejedzie przez drugi samochód o opływowych kształtach. Świat przechylił się na bok, Atena krzyknęła, a jej głos utonął w ogłuszającym huku, z jakim ich samochód uderzył w zbocze wzgórza.

Balony amortyzacyjne, które wyrosły z tablicy rozdzielczej pod ciśnieniem gazu z butli, ocaliły Carewe'owi życie. Ale kiedy siedząc uwięziony pod ich uporczywym naciskiem podniósł wzrok i zobaczył triumfującą twarz Pleetha, ogarnął go żal, że nie zginął.

Rozdział szesnasty

- Zanim wysiądą, wydostań moją latarkę - wydyszał Barenboim trzymając się cały czas za brzuch. - Nasz młody znajomy zabrał mi ją, zanim uciekł.

Pleeth skinął głową i wcisnął ręce pomiędzy plastikowe błony balonów amortyzacyjnych. Macał przednią półkę pojazdu, tak długo, aż znalazł latarkę i zabrał ją, z -zadowolenia wyginając cienkie usta.

- Dobra nasza, nie spodziewałem się, że króliki doświadczalne mogą być aż tak groźne - powiedział Barenboim, biorąc latarkę. - Czy z drogi zauważono by ten karambol?

Pleeth potrząsnął głową.

- Raczej nie. Obaj mieliśmy wygaszone światła.

- To już coś.

Barenboim obszedł swój samochód, badając go krytycznym okiem. Carewe czuł, że Atena porusza się koło niego reagując na wędrówkę Barenboima jak żelazne opiłki nękanie przez magnes. Starał się dosięgnąć jej ręki.

- Poszedł układ sterowniczy - oznajmił Barenboim, zatrzymując się koło Pleetha. - Masz może jakąś linę, żeby zaholować mój samochód na teren laboratorium?

- W magazynie powinna się znaleźć jakaś lina.

- Słusznie! Zajmij się tym, a ja wprowadzę naszych gości z powrotem do środka.

Barenboim nacisnął zawór spustowy z boku samochodu i z balonów zaczął z sykiem uchodzić gaz, gdy ich powłoki marszczyły się z trzaskiem. Natychmiast po odzyskaniu swobody ruchów Carewe wydostał się z samochodu i pomógł Ate nie wysiąść przez te same drzwi. Te po jej stronie tak się pogięły, że nie dawały się otworzyć. Trzymając się z dala od Ca-

rewelacji, z latarką w pogotowiu, Barenboim machnął ręką w kierunku laboratorium. Carewe wzruszył ramionami, objął Atenę i poszli. W hallu skierowali się do schodów po prawej.

- Nie tędy, schodzimy do piwnicy - oznajmił Barenboim, wskazując drzwi pod schodami.

Carewe otworzył drzwi i sprowadził Atenę po schodach do wielkiej piwnicy wyposażonej jak laboratorium wysokich temperatur. Jej środek zajmowało urządzenie, które w domysłach nazwał piecem elektronowym. Otaczały go telemikroskopy, automatyczne ręce i projektory ciepłochłonnych osłon.

- Will - szepnęła Atena - nie powinieneś być tu przyjeżdżać. On nas zabije.

Carewe na próżno usiłował wymyślić jakieś pokrzepiające kłamstwo.

- Na to wygląda - odparł ze smutkiem.

- A ja myślałam, że ze wszystkich właśnie ty będziesz... Nie boisz się?

- Powiedziałbym raczej, że jestem śmiertelnie przerażony.

Żałował, że nie może jej choć częściowo wyjaśnić dokonanego przez siebie odkrycia, że żyć w ciągłym strachu, a tak zawsze wyglądało jego życie, to trochę tak, jakby umrzeć na dobre, przypuszczał jednak, że zabrzmiałoby to bez sensu. A Atena, jak to ona, być może już go zrozumiała.

- Ateno - powiedział z rozpaczą. - Zawiodłaś się na mnie.

- Nie, Will, nie.

Zakryła mu dłonią usta, oczy zaszkliły jej się łzami.

- Tego już za wiele - oświadczył znudzonym tonem Barenboim. - Oszczędźcie mi, proszę, sceny pojednania.

- Bardzo żałuję, Barenboim - wycedził Carewe - że nie udało mi się wtedy przebić cię tym nożem na wylot. Pod pew-

nym względem nie ma to jednak większego znaczenia. Bo, widzisz, ciebie właściwie nie ma, więc nie było potrzeby cię zabić.

Mówiąc to, przypatrywał się oczom Barenboima. Pewną nikłą satysfakcją sprawiło mu odkrycie, że po raz pierwszy nawiązał kontakt z zimnokrwistym mózgiem swojego przeciwnika. Wiedział już, że od początku ich znajomości Barenboim wykorzystywał go z dokładnie taką samą obojętnością, z jaką kroiłby na drobne kawałki zwierzę doświadczone dla potrzeb eksperymentu. Nagle poczuł się staro, jakby miał tyle lat co Barenboim.

Kobiece usta Barenboima drgnęły, a potem rozciągnęły się w uśmiechu.

- Trafnie to ująłeś, Willy - rzekł. - Bardzo wnikliwie. Trzymając latarkę wycelowaną w Carewe'a, podszedł do pulpitu sterowniczego w ścianie i wcisnął szereg przełączników. Osem elektronowych działek wokół pieca rozjarzyło się jasnoczerwonym światłem, które lekko przygasło, kiedy projektory osłon cieplnych ustawiły przegrody sięgające od podłogi do sufitu. Wytwarzane przez nie pola magnetyczne były kolosalnie wzmocnionymi wersjami cienkich ekranów służących do sterowania pogodą, a ich zadanie polegało na zabarykadowaniu iście piekielnego słonecznego żaru powstającego w sercu pieca elektronowego. Okratowane wyciągi w suficie wprost nad piecem odprowadzały nadmiar ciepła do systemu kumulacyjnego wykorzystywanego do ogrzewania reszty budynku.

- Spóźniłeś się - powiedział Carewe, czując jak Atena wtula twarz w jego ramię. - Byłem już na policji, powiedziałem im wszystko, co o tobie wiem.

- A więc niewiele - odrzekł Barenboim, nastawiając śrubę mikrometryczną.

- Wiedzą, że nastąpiłeś na mnie morderców w Afryce i w Idaho Falls.

- Zgłaszam poprawkę, Willy. Wiedzą tylko, że ktoś chciał cię zamordować. A ponieważ Gwynne został wyeliminowany w tak dogodnych okolicznościach, żadnego związku ze mną nie da się udowodnić. A z jakiegoż to powodu miałbym cię zabijać?

- Z powodu pieniędzy - odparł Carewe. - Wiedzą, że Korporacja Farma zmierza prosto do wielkiego krachu.

Barenboim zachmurzył się przez mgnienie.

- Wiesz co, Willy, chyba się pomyliłem wybierając ciebie. Nie wiem, jak udało ci się pokonać Gwynne'a, a poza tym przez cały czas wykazywałeś nieoczekiwaną nieustępliwość, ale i tak nie możesz wytłumaczyć, w jaki sposób uśmiercenie ciebie pomogłoby mi rozwiązać kłopoty finansowe, gdybym takie miał.

- Liczyłem, że mi to właśnie wyjaśnisz.

- Liczyłeś, ale się przeliczyłeś! - Po dokonaniu ostatniej poprawki na pulpicie i odejściu od niego, Barenboim odzyskał dawną jowialność. - O ile wiem, w trójwizyjnych dreszczowcach łajdak składa zwykle w tym momencie szczegółowe wyjaśnienia, ale ja - żeby ci wykazać, jak bardzo jestem nieludzki - nie zastosuję się do reguł gry. Jak ci się podoba to mściwe posunięcie?

- Całkiem niezłe - przyznał Carewe, przenosząc dyskretnie ciężar ciała na drugą nogę. Kiedy spotkali się po raz pierwszy przed budynkiem, reakcje Barenboima wydały mu się trochę zwolnione, jedynej więc szansy ratunku upatrywał w niespodziewanym rzuceniu się na niego i odebraniu mu latarki. - Jednak ciekaw jestem, co cię do niego nakłoniło. Pysznisz się brakiem ludzkich odruchów, a więc pchnęła cię do tego... hm...

moja wzmianka o twojej nieudolności w interesach, tak?

- Nieudolności! - wykrzyknął z autentycznym gniewem Barenboim.

- A jak inaczej to nazwiesz? - Carewe odusnął się nieznacznie od Ateny. - Kiedy ktoś z dwustuletnim doświadczeniem doprowadza tak żywotne przedsiębiorstwo jak Farma do ruiny...

- Farma! - parsknął Barenboim. - Farma to drobnostka, Willy. **Za** kilka godzin ja sam zarobię dla siebie miliard nowych dolarów. Nazwiesz to nieudolnością?

- Ależ... - Z napięcia, jakim okupywał podtrzymywanie tej sztucznej rozmowy. Carewe'owi spotniało czoło. Poruszając się jak najniebalej, oddalił się o krok od Ateny. - Nie pojmuję...

- Jasne, że nie pojmujesz. Nie pojąłeś nawet tego, że E.80, cudowny biostat, który wstrzyknąłeś sobie pod tę grubą skórę, to od początku do końca mistyfikacja. Nie dotarło do ciebie, że was nabrałem, Willy. Ciebie i twoją żonę.

- Nabrałeś? - Carewe spojrzał na Atenę, której twarz tak zbladła, że stała się aż przezroczyta. - Ale przecież...

- Wymyśliłem tę historię z E.80, Willy. I nie trzymałem jej w tajemnicy, jak sobie wyobrażałeś. Żeby przekonać pewną euroazjatycką firmę, że to prawda, podsunąłem im niepostrzeżenie kilka danych. Wywiad przemysłowy to świetnie wyostrzona broń, ale obosieczna. Informacje, które uważali za wykradzione, przekonały ich znacznie skuteczniej, niż...

- Do diabła z nimi - przerwał mu opryskliwie Carewe, któremu pod czaszką pulsowały niedobre przecucia. - Co zrobiłeś ze mną i z Ateną?

Barenboim opanował się i uśmiechnął lodowato.

- Naturalnie, Willy, zapomniałem, że twoja szczególna

stałość uczuć zmąci twój pogląd na tę operację.

Carewe postąpił krok naprzód, nie dbając o wycelowany w niego laser.

- Ale co ze mną i z Ateną? - spytał.

- Człowieku, byliście królikami doświadczalnymi. Żeby wykazać skuteczność działania E.80, musieliście spłodzić potomstwo. Twój zastrzyk z E.80 był najzwyczajszą wodą, za to twoja żona dostała coś całkiem innego.

- To znaczy co?

- Nie zauważyłeś żadnej niezwyklej zmiany w jej zachowaniu po tym zastrzyku?

Carewe wrócił myślami do trzech dni spędzonych nad jeziorem Orkney, do Ateny trawionej nieugaszoną żądzą, która nie mogłaby się zrodzić w normalnym organizmie.

- Daliście jej...

- Bardzo kosztowny środek podniecający, ale to było konieczne, żeby jak najszybciej doprowadzić twoją żonę do zajścia w ciążę. - Barenboim znów się uśmiechnął. - A ty przy okazji też na pewno nie byłeś stratny.

Carewe obrócił się do żony.

- Ateno, chcę cię... - zaczął i głos uwiązł mu w gardle.

- Już dobrze, Will.

Ponownie stanął twarzą w twarz z Barenboimem i ruszył naprzód na sztywnych nogach.

- Zabij mnie już teraz - wyszeptał. - Bo inaczej...

Barenboim wzruszył ramionami i wycelował latarkę. Kciukiem przesunął włącznik do przodu.

- Stój! - zawołał ze schodów czyjś głos. - Co robisz, Hyron? To mi wygląda na...

Przez poręcz wychylił się Pleeth, mierząc twarz Barenboima zaczerwienionymi oczami.

- Na co ci to wygląda?

- Na morderstwo, a na to nigdy nie wyraziłem zgody.

Pleeth zeszedł po schodach ze złotym wisiorem w kształcie cygara dyndającym na piersi i ruszył ku nim przez laboratorium. Umysł Carewe'a, zamarły, jakby skuty lodem, wyłowił dziwaczny szczegół rozgrywającej się sceny - Atena wycofywała się przed Pleethem, człowiekiem, który targował się o jej życie.

- Daj spokój, Manny - powiedział znużonym tonem Barenboim. - Miałem cię za realistę.

- Powiedziałem: bez zabijania!

- Manny, już za kilka godzin dostaniemy miliard nowych dolarów. - Barenboim wciąż celował latarką w pierś Carewe'a.

- W zamian za ten miliard prześlemy wzór chemiczny niewart dosłownie nic. Kiedy nasi klienci odkryją prawdę, rozgniewają się. Czy jak dotąd wyrażam się dostatecznie jasno?

- Nigdy nie wyraziłem zgody na morderstwo.

Dalszych wyjaśnień Barenboim udzielał z obraźliwie drobiazgową starannością.

- Przewidując gniew naszych klientów, a w dalszej kolejności ich bardzo naturalną chęć zemsty, zaaranżowaliśmy wspólnie nasze zniknięcie. Żeby to nam się udało - nawet przy operacji maskującej, której przygotowanie zajęło mi cały zeszły rok - musimy mieć nad nimi kilka dni przewagi. Jak daleko twoim zdaniem uda nam się uciec we współczesnym świecie, jeśli nasi znajomi będą wrzeszczeć wniebogłosy?

- Moglibyśmy ich zwięzać i odurzyć narkotykiem.

- To prawda, ale ktoś inny mógłby ich rozwiązać i otrzeźwić. Czy wiesz, że Willy był już na policji?

Pleeth zwrócił swoje plastikowe gładkie oblicze do Carewe'a.

- Ale dlaczego? - spytał.

- Ponieważ twój wspólnik - wyjaśnił Carewe wymawiając ostatnie słowo z naciskiem - - wielokrotnie próbował mnie zabić w ciągu ostatnich dni. Wpakowałeś się w paskudną ka-
bałę, Pleeth.

- Całkowita racja - rzekł z ożywieniem Barenboim. - Na-
wet Willy rozumie, że za późno na skrupuły. A więc...

Atena, która wycofała się bliżej schodów, załkała spa-
zmatycznie i Barenboim skierował latarkę w jej stronę. Care-
we skoczył naprzód, ale nie dość szybko - uprzedził go Pleeth,
wkraczając pomiędzy laser i Atenę.

- Dobrze - powiedział szybko. - Zgadzam się, że Carewe'a
trzeba uciszyć, ale jej nie. Zabierzmy... zabierzmy ją ze sobą.

- Co cię naszło, Manny?

- Przecież ona jest w ciąży - wykrztusił Pleeth.

- I co z tego? - spytał Barenboim, lekko marszcząc czoło.
- Nie jesteś ojcem.

- Właśnie... - Gardło Pleetha zaciskało się konwulsyjnie, a
kreskowane usta wygięły się w górę w karykaturalnym uśmie-
chu. - Właśnie, że jestem ojcem. Nie odmówisz mi posiadania
dziecka.

- Czyś ty oszalał?

- Nie, Hyron, nie. - Otaczając dłońmi swoje złote cygaro,
Pleeth pokazał je Barenboimowi. - Miałem dwadzieścia lat,
Hyron. Dwadzieścia lat i jeszcze nigdy nie żyłem z kobietą. To
zasługa mojej mateczki - wychowywała mnie w przekonaniu,
że stosunki płciowe to plugastwo... choroby. - Drżąc nabrał
powietrza. - I właśnie ona, to znaczy moja mateczka - nie lubi-
ła, żeby o niej mówić „matka” - weszła któregoś dnia do mojej
sypialni i przyłapała mnie. Nazwała to samozbezczenie-
niem... miała pistolet do zastrzyków, nie wiem skąd, i strzeliła

do mnie... zmusiła mnie, żebym przed nią ukląkł... i strzeliła...

- Nie zbliżaj się do mnie - powiedział słabym głosem Barenboim.

- Miałem zaledwie dwadzieścia lat - wymruczał Pleeth ze wzrokiem utkwionym w złotym cygarze - ale oszukałem ją, moją mateczkę... miałem jeszcze dwa dni na zebranie swojego nasienia... jako studentowi chemii udało mi się przechować je w bakterioście... a potem trzymałem je w tym oto członku własnego pomysłu... i ona, moja mateczka, nigdy się o tym nie dowiedziała.

- Jesteś chory - wyszeptał przerażony Barenboim.

- O nie. - Ujawniwszy powód swoich sekretnych triumfów, Pleeth uśmiechnął się. - Jestem nadal sprawny, Hyron, nie to co ty... Nadal noszę godło męskości. Miałem też inne kobiety, nawet bez środków podniecających... ale żadna nie zaszła w ciążę. Kiedy dowiedziałem się, że zastrzyk dla Ateny zawiera i środek podniecający, i składnik zwiększający płodność... cóż, czy pełnokrwisty mężczyzna może się oprzeć takiej pokusie?

Rumiane krągłości twarzy Pleetha napięły się, kiedy uśmiechnął się do Barenboima.

- Poszedłeś do jej domu! - wykrzyknął Barenboim, szarżując na twarzy. - Naraziłeś miliardowe przedsięwzięcie dla czegoś takiego!

Wyrwał złote cygaro z rąk Pleetha i z całym rozmachem, aż pękł cienki łańcuszek, na którym wisiało, cisnął je do pieca. Cygaro zatoczyło błyszczący łuk, przeleciało przez osłony cieplne i wpadło do środka migoczącego jasnoczerwonego piekła. Zobaczyli króciuteńki błysk i cygaro zniknęło.

- Mateczko!!! - ryknął Pleeth. - Zabiję cię!

Rzucił się na Barenboima. Zwarli się ze sobą, a w sekundę potem laser wypalił dymiącą dziurę w ciele Pleetha, który

padł na miejscu. Carewe poruszał się jak we śnie, nawet otaczające go powietrze zamieniło się w przezroczysty lepki syrop. W momencie gdy laser zwracał się ku niemu, przeskoczył przez skwierczące zwłoki Pleetha i rąbnął Barenboima pięścią, ciężką jak ołów. Barenboim zwinął się, a Carewe, wykręcając mu palce, wyrwał z nich laser. Zaświecił mu świetlnym celownikiem w oczy, wpatrując się w jego źrenice, które kurczyły się jak oddalające się czarne światy, i lekko przesunął włącznik do przodu.

- Will! - dobiegł go gdzieś z oddali głos Ateny. - Nie! Znieruchomiał i z wysiłkiem odzyskał równowagę.

- Ja również nie jestem taki jak ty - powiedział do Barenboima wstając z podłogi.

Przeszedł przez laboratorium do Ateny, która klapnęła na schody, i usiadł przy niej.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi o Pleethsie? - spytał.

- Nikomu nie mogłam opowiedzieć o tej nocy. - Chwyła go za rękę i przywarła do niej ustami. - Nie wiedziałam, co się ze mną stało. Czułam się taka zbrukana, Will... musiałam cię jakoś odepchnąć od siebie.

- Przecież ja bym zrozumiał, jakoś się z tym pogodził. Atena uśmiechnęła się smutno, lewa powieka jej drgała.

- Naprawdę, Will? Nie uwierzyłam ci, kiedy mówiłeś mi o tym nowym środku... Jakie mieliśmy podstawy, żeby uważać siebie za ludzi tak wyjątkowych, że i nasze małżeństwo byłoby nieśmiertelne?

- Nie byliśmy do tego przygotowani - powiedział. - Ale już jesteśmy.

Rozdział siedemnasty

Atena chętnie udzieliłaby mu rocznej zwłoki, ale on ustalił, że odczekają dwa miesiące. Była pełnia lata i wody jeziora Orkney widoczne z okna hotelowego pokoju miały barwę ametystu i płonęły jak słońce.

Carewe wyjął z sakwojaża pistolet do zastrzyków i położył przy stosiku książek, które przywiózł ze sobą do przeczytania na wakacjach. Książki były tradycyjne, drukowane na papierze, nie dlatego, że akurat przeżywały swój renesans, ale dlatego, że dawały większe poczucie upływu czasu i jego ciągłości. Uczył się pojmować kawałek czasu, jaki jemu samemu przypadł w udziale, jako nierozzerwalnie wpleciony w całość czasu, a siebie samego jako cząstkę potęg historii i przyrody. Nadal nie przepadał specjalnie za czytaniem i powątpiewał, czy to zajęcie wypełni mu wszystkie następne lata, ale książki jako takie nauczył się szanować i poważać. Pierwsi nieśmiertelni...

- Idę popływać, dopóki jeszcze mogę pokazywać się ludziom na oczy - powiedziała Atena, oglądając swoje nagie ciało w lustrzanej ścianie. Figura zaokrągliła się jej przez dwa ubiegłe miesiące, ale tylko on dostrzegał pierwsze oznaki wypukłości, pod którą spoczywał rozwijający się płód, dziecko, które postanowili wychować.

- Wyglądasz cudownie - powiedział. - Nie zavrcaj sobie głowy kostiumem kąpielowym.

- Och, Will, myślisz...? - zaczęła obracając się, ale kiedy zobaczyła pistolet do zastrzyków, uśmiech zadowolenia znikł jej z twarzy. - Już? - spytała.

- Tak - potwierdził i spokojnie skinął głową.

- Chcesz, żebym z tobą została? - spytała Atena, podcho-

dząc do niego.

- Nie, idź na plażę i wchłoń trochę tego kosztownego słońca. Zaraz tam przyjdę. - Chciała zaprotestować, więc spytała: - Nie ufasz mi?

Zamknęła oczy do pocałunku. Potem zarzuciła na siebie i zawiązała zwiewną szatę i nie oglądając się wyszła z pokoju. Tam, gdzie przedtem stała, pyłki kurzu wirowały i tańczyły w ukośnych promieniach słońca. Carewe wziął pistolet i siedział przez chwilę opierając się lewą ręką o książki. Być może gdyby się dość naczytał, potrafiłby również sam pisać - kiedyś, za ileś tam lat. Gdyby któregoś dnia przyłożył pióro do papieru, spisałby filozofię życiową dla nieśmiertelnych.

Największy błąd to zachłanność, chęć zagarnięcia dla siebie całej swojej przeszłości i przyszłości. Nieśmiertelny musi się pogodzić z faktem, że nie kończące się życie to zarazem nie kończące się umieranie kolejnych osobowości, które zamieszkują jego ciało, stopniowo zmieniając się i zużywając wraz z upływem czasu, niesione zmiennymi prądami wydarzeń. Lecz przede wszystkim nieśmiertelność to nieustające narodziny coraz to nowych osobowości. Nieśmiertelny musi przyjąć do wiadomości - łagodnie i beztrąsko - że jego „ja” istnieje w określonym punkcie czasu i umrze tak nieodwołalnie jak te bezrozumne, anonimowe, małe skorupiaki, których kruchutkie szczątki należą do wieczności i spoczywają porozrzucane na wszystkich jej brzegach.

Przez chwilę ciepły, jasny pokój wydał mu się zimny, a potem zrozumiał, że nie jest już tym samym Carewem co przed trzema miesiącami, i nie żałował tej zmiany. Nie był ojcem dziecka, które nosiła Atena, lecz, w pewnym sensie, miał zostać ojcem wszystkich przyszłych Carewe'ów. Ta odpowiedzialność wystarczająco rekompensowała brak fizycznego

spełnienia potrzeby ojcostwa i musiała mu wystarczyć, gdyby kiedyś drogi jego i Ateny rozeszły się.

Ujął pistolet, wstrzelił sobie jego zawartość w przegub, który otoczyła lodowata mgiełka, a potem zszedł na plażę do żony, żeby spędzić z nią razem początek ich długich, wspólnych wakacji.